

PEGGY WEBB

Powracający blues

That Jones Girl

Tłumaczyła: Agnieszka Młodzińska

PROLOG

Tess Jones Flannigan Carson O'Toole leżała pogrążona w głębokim śnie. Ułożona w poprzek łóżka spała jakby na wyspie upstrzonej żywymi barwami i otoczonej oceanem ochrypłych tonów płynących z radia. Jej włosy były ognistą plamą na poduszce, jedwabny szlafrok – falą purpury. Jeden z pantofli na wysokim obcasie, zawieszony niepewnie na palcu, iskrzył się złotymi cekinami. Zegar wskazywał drugą po południu, a z radiowego głośnika dobiegały dźwięki rock and rolla.

Tess spała.

Na parapecie siedział, machając ogonem, kot syjamski i wpatrywał się w swoją panią. Po dłuższej obserwacji zeskoczył z legowiska na pobliskie krzesło, a stamtąd jednym susem na poduszkę. Siedział przez chwilę jak milczący Budda, po czym wyprężył się i pociągnął językiem po nagim ramieniu swojej pani.

Tess drgnęła. Różowy język kota znów zabłysnął na jej skórze.

– O'Toole, czy to ty?

Tess przeciągnęła się, ziewnęła, po czym przewróciła na drugi bok.

Mrucząc z zadowolenia, O'Toole usadowił się wygodnie na poduszce i zaczął pielęgnować łap.

– Domyślam się, że przespałabym każdy dzień, gdyby nie ty – rzekła pochylając się i głaszcząc jego łebek. – Dziękuję ci, O'Toole.

O'Toole kontynuował toaletę, jakby nie dbając o to, czy mu podziękowała, czy nie. Tess się uśmiechnęła. Kot przypominał zupełnie jej ostatniego męża; gdyby nawet czołg przetoczył się przez łóżko, żaden z nich nie ujawniłby odrobiny emocji.

Kiedy już spakowała walizki Roberta O'Toole'a, znalazła sobie syjamskiego kota, nazwała go O'Toole – ku przestrodze, że zrobiła już trzy błędy i powinna być ostrożna z czwartym mężem – kimkolwiek by on był.

Tess podniosła się z puszystego łóżka, w którym wszystko było miękkie, delikatne, głębokie i pieszczotliwe, tak jak najbardziej lubiła. Półsenna spacerowała po pokoju w poszukiwaniu drugiego pantofla. Leżał na półce przeznaczonej na kapelusze, a jego cekiny połyskiwały w świetle słonecznym, które wlewało się przez okno.

Tess zdjęła go bez mrugnięcia okiem, tak jakby pantofel miał znajdować się właśnie wśród kapeluszy. Nucąc nowoorleańskiego bluesa, założyła pantofel, niedbale zarzuciła szlafrok na ramiona i weszła do swojego zacisznego pokoiku, ciągnąc za sobą purpurowe koronki i strusie pióra.

Zadzwoił domofon.

– Telegram dla pani Jones.

Uśmiechnęła się. To zapewne jeden z wielbicieli. Zawsze dostawała listy i

kwiaty od swoich fanów.

– Poproszę na górę.

Doręczyciel z Western Union podał Tess telegram i patrzył, jak czyta. Była jego ulubioną piosenkarką i prawdopodobnie najbardziej ulubioną osobą w całym Chicago. Tess Jones miała styl. Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

– Złe wiadomości, pani Jones? – zapytał chłopiec.

– Niestety, tak. Moja dobra przyjaciółka z rodzinnych stron nie żyje.

Złożyła telegram w zgrabny kwadracik; czerwone paznokcie błyszcząły na tle sztywnego, białego papieru.

– Tak mi przykro, pani Jones – powiedział i zdjął czapkę w szacunku dla zmarłej.

– Dziękuję, Henry.

– Domyślam się, że pojedzie pani do domu na pogrzeb. Tess Jones Flannigan Carson O’Toole zrobiła niezwykłą rzecz, zadziwiając Henry’ego, aż omal nie upuścił czapki: uśmiechnęła się.

– Tak, jadę do domu, Henry. Ale nie na pogrzeb. Jadę świętować.

Po czym wytłumaczyła:

– Było nas sześcioro: trzech chłopców, trzy dziewczyny – bliscy przyjaciele. Najkrzykliwsza grupa w college’u. Jeśli wypełniony wodą balon spadł na profesora, każdy twierdził, że to zrobił ktoś z nas. Jeśli wykradzono maskotkę rywalizującej uczelni, automatycznie przyznawano punkt naszej grupie. – Zamilkła, uśmiechając się do starych wspomnień. – Żyliśmy intensywnie i szybko, twardo i dobrze. Uzgodniliśmy, że kiedy jedno z nas umrze, reszta zgromadzi się i urządzi wielką pożegnalną zabawę.

– Pożegnalną zabawę, pani Jones?

Tess sięgnęła ręką i poklepała go po policzku.

– Śmierć jest tylko podróżą z jednego królestwa do drugiego. Pamiętaj o tym, Henry.

Kiedy odszedł, Tess oparła się o drzwi, stukając paznokciami w telegram. Nagle zadrżała. Ale nie na myśl o śmierci, nie na myśl o Babs. Babs żyła w ten sam sposób, co ona – z klasą. Według telegramu Johnny’ego rozbiła samolot o skały. Śmierć przyszła nagle: szybka, czysta i prosta.

Nie. Nie zadrżała na myśl o Babs, ale o sobie. Przyjdą wszyscy z paczki. Nie było wątpliwości. Zjawi się Flannigan. Jeśli Johnny go odzyska, Mick powinien przybyć do Tupelo w Missisipi.

Oparła się o drzwi, wspominając Micka Flannigana, najlepszego przyjaciela, pierwszego kochanka, swą pierwszą miłość. Człowieka, który ją opuścił dziewięć lat temu po zaledwie sześciu miesiącach małżeństwa.

– Niech cię piekło pochłonie, Micku Flanniganie. Nie płakałam po tobie wtedy, nie będę płakać teraz.

Wlokąc za sobą koronki i strusie pióra oraz niebiański zapach jaśminu,

podeszła do telefonu, by zawiadomić o swoim wyjeździe.

ROZDZIAŁ 1

Mick Flannigan nie był przygotowany na widok Tess. Oparty o grecką kolumnę na werandzie Johnny'ego i Babs obserwował, jak Tess wysiada z taksówki i zbliża się ceglana ścieżką. Była piękna dziesięć lat temu, ale teraz zadziwiająca. Kasztanowe włosy wydawały się dłuższe i bujniejsze. Zachodzące letnie słońce dodawało im iskier, otaczając głowę ognistą obwódką. Oczy – takie same – zielone, z długimi rzęsami, tajemniczo skośne. Chód również ten sam. Wciąż kroczyła, jakby miała pod sobą cały świat.

Twarz przyciągnęła jego uwagę. Czas wyrzeźbił kości policzkowe, wyostrzył rysy. W wieku dwudziestu pięciu lat Tess miała delikatny wygląd zroszonej róży w pierwszym rozkwicie. Teraz przypominała jakiś egzotyczny kwiat; gładki, doskonały i niezwykły. Ogarnął go żal, ale zaraz sobie przypomniał, że jest zbyt późno, by poddawać się temu uczuciu.

Wyjął z ust cygaro i wypuścił dym, obserwując ją przez tworzące się kółka.

Tess zatrzymała się z jedną ze swoich wąskich stóp uniesioną nad górnym schodkiem. Odwróciła powoli głowę, jak nieoswojone stworzenie, które przeczuwa pułapkę. Flannigan wyszedł z cienia.

– Witaj, Tess.

Jej nozdrza uwypukliły się na moment; po chwili podała mu rękę: królewna udzielająca swych łask jednemu z unizonych poddanych.

– Flannigan – to wszystko, co powiedziała.

„Flannigan”. Zwykle mówiła do niego Mick, chyba że była bardzo zagniewana, oraz oprócz tych chwil, gdy się kochali. W gorączce namiętności powtarzała bez końca:

Flannigan... Flannigan... Flannigan...

Zastanawiał się, o czym teraz myślała.

Ujął jej rękę w swe dłonie i trzymał przez dłuższą chwilę, wpatrując się głęboko w oczy Tess. Nic mu one nie powiedziały. Nie wiedział dokładnie, czego oczekiwał, ale na pewno czegoś więcej niż tak chłodnego powitania, które równie dobrze mogłaby zgotować komuś najzupełniej obcemu.

Odwrócił rękę Tess, pochylił się, pocałował dłoń i z czystej złośliwości pociągnął językiem po ciepłej skórze aż do momentu, gdy poczuł drżenie jej dłoni. Jeszcze raz wysunął język, Tess znów zadrżała, ale nie cofnęła ręki. To była kobieta z klasą. Zawsze ją za to podziwiał – Dziesięć lat wcale cię nie zmieniło, nieprawdaż, Micku Flanniganie? Wciąż wypróbujesz swoje wdzięki na każdej kobiecie.

– Czy jesteś oczarowana, Tess? – zapytał, następnie wyprostował się i uśmiechnął do niej.

To był ten uśmiech, który tak dobrze pamiętała. Zawsze mówiła, że nawet

anioły wzdychały, gdy Mick Flannigan się uśmiechał. Teraz doszła do wniosku, że było to wytrenowane, zbyt wygładzone, zbyt doskonałe, zbyt wykalkulowane.

– Już nie, Flannigan. Przestałam być tobą oczarowana od czasu, kiedy mnie opuściłeś, zabierając swoje rzeczy – odrzekła.

Mick spoważniał, teraz była jej kolej. Uraczyła go swoim najwspanialszym, najbardziej zachwycającym uśmiechem, który zjednywał nawet najchłodniejszą widownię.

– Ale, do diabła, co było, to było. Nie wolno pozwolić, aby nasze małe pomyłki zepsuły ten weekend – rzekła, po czym zbliżyła się i uszczypnęła go w policzek. Wchodząc do domu, odwróciła głowę. – Będziesz tak miły i wniesiesz moje torby. Uważaj na klatkę. Nie chcę niepokoić O’Toole’a – rzuciła przez ramię.

– Kim jest O’Toole, do diabła?

– Był moim trzecim mężem, a obecnie jest moim kotem. Wkroczyła do domu, nawet się nie odwracając. Flannigan poczuł, jakby przeszedł nad nim huragan. Jej trzeci mąż. Cholera. Zmieniała mężów tak często, jak swoje szlafroki. W dodatku nazwała swojego kota po jakimś idiocie O’Toole’u. Zastanawiał się, czy nazwała coś Flanniganem.

Właściwie nie miało to znaczenia. Ścisnął cygaro między zębami i pomaszerował ścieżką. Rzeczy Tess tworzyły wysoką górę – w sumie cztery torby włącznie z klatką – i czekały na jakiegoś durnia, który by je wniósł. Nie, nie czuł się ogłupiały ani przez chwilę. Ale bawiła go ta sytuacja, Tess wciąż wydawała polecenia. Zawsze miała wokół siebie ludzi, w większości mężczyzn, oczekujących na jej rozkazy.

Oparł stopę o jedną z toreb i głęboko zaciągnął się cygarem. Nazwała ich małżeństwo „małą pomyłką”. Dziwne, jak to zabolalo. Przez te wszystkie lata myślał, że owa pierwsza miłość była najśodsza i najlepsza, a ona sądziła, że to „mała pomyłka”.

Jaką to robi różnicę? „Co było, minęło” – pomyślał.

Wypuścił trzy kółka dymu w powietrze, później ścisnął cygaro między zębami i podniósł torby.

Przyjaciele będą na niego czekali.

Johnny Kalinopolis siedział w swoim pokoju otoczony przyjaciółmi, którzy przyjechali z różnych zakątków świata, aby pomóc mu odpowiednio pożegnać ukochaną Babs.

Tess celowo usadowiła się na sofie obok Johnny’ego, tyłem do wyjściowych drzwi. Nie chciała widzieć wchodzącego do domu Flannigana. Cholera, wyglądał dobrze. Zawsze był niesamowicie przystojny. To się nie zmieniło. Wciąż miał tak niebieskie oczy, że wyglądały jak kawałek nieba, a jego czarne, poskręcane i zmierzwione włosy, ciągle nieposkromione, kusily ręce

każdej kobiety.

Ale to nie jego wygląd spłoszył ją odrobinę. To coś innego, czego nie potrafiła opisać. Jakiś wewnętrzny instynkt podpowiadał Tess, że ten starszy Flannigan powinien nosić znak ostrzegawczy – świecąca tabliczkę z napisem: NIEBEZPIECZEŃSTWO; NIE DOTYKAĆ.

Skierowała swą uwagę na przyjaciół. Lovey i Jim Hawkins pobrali się pierwsi. Ceremonia miała miejsce na drugim roku w obecności całej grupy z college'u. A teraz Lovey siedziała na fotelu, Jim leżał wyciągnięty na dywanie u jej stóp i oboje trzymali się za ręce. Tess im zazdrościła.

– Wyglądacie na tak zakochanych, jakimi byliście w dniu swego ślubu – powiedziała Tess. – Pamiętasz ten dzień, Lovey?

– Jak mogłabym nie pamiętać? – zaśmiała się Lovey. – Jim był przerażony.

– Ale nie małżeństwem, kochanie. Obawiałem się, że urodzisz nasze dziecko w Pałacu Ślubów, zanim jeszcze zdążę cię poślubić – rzekł Jim, poklepując jej nabrzmiały czwartym dzieckiem brzuch.

– Nie ufałeś swoim przyjaciołom? – zapytał Johnny. Pochylił się i szturchnął Jima w ramię. – Byłem przygotowany odbierać dziecko, a Mick czuwał w pobliżu, w razie gdybym potrzebował pomocy.

– On stał obok w karawanie. Pamiętacie wyraz twarzy doktora, kiedy schodziłam z tego starego zwariowanego wehikułu, ciągnąc za sobą płatki róż i biały welon? Ciekawa jestem, co się stało z tym karawanem? – powiedziała, zanosząc się śmiechem.

– Znalazł miejsce spoczynku na dnie rzeki Tombigbee. Byliśmy wtedy nieźle naładowani whisky.

Huczący głos Micka zapowiedział jego wejście do pokoju. Buty uderzające o drzewo podłogi akcentowały jego słowa.

Ustawił torby przy schodach, wyciągnął z ust cygaro i skierował się w stronę sofy. Kiedy był już przy Tess, stanął i uśmiechnął się do niej.

– Sądzę, że mam coś, czego pragniesz, moja droga.

– Flannigan, nie pragnę niczego od ciebie, nawet gdyby to było podane na srebrnej tacy.

Pokój wypełnił się oczekiwaniem; Johnny, Lovey i Jim obserwowali, jak dwoje ich starych przyjaciół załatwia swoje porachunki. Ich temperamenty stały się już legendą. W młodzięcym okresie błogiego szczęścia burzliwe zaloty Micka i Tess bawiły, ale i zadziwiała resztę paczki.

Dostrzegli, jak Mick pochylił się nagle tak blisko nad Tess, że ustami niemal dotknął jej policzka.

– Nikt nigdy nie próbował tego położyć na srebrnej tacy. Pewnie dlatego, że nie mógł znaleźć odpowiednio dużej – odparł Mick.

– Widzę, że wiek nie pomniejszył twego ego.

– Albo mojego uroku – zareplikował, po czym wyprostował się

roześmiany. Następnie wyciągnął klatkę z kotem zza pleców. – Oto, co miałem na myśli, kochanie. Twojego kota.

– Wiedziałam o tym od początku.

Sięgnęła po klatkę, ale Mick zatrzymał ją w oddaleniu.

– Nigdy nie robię przysługi bez wyznaczenia ceny.

– Słucham.

Tess stanęła vis-a-vis niego. Kobiety zwykły padać przed Mickiem Flanniganem jak kręgle, szczególnie te ciche, nieśmiałe. Tess się zamyśliła. Jedynym sposobem na przetrwanie przy nim jest bycie silnym. Już raz przetrwała przy Micku Flanniganie. Teraz planowała zatriumfować.

– Żadna cena, którą ustalisz, nie będzie ponad moje możliwości – czy też ponad moją siłę.

– Więc to powinno być proste dla ciebie – rzekł Mick i trzymając w rękę klatkę z kotem, usadowił się wygodnie w fotelu. – Zaśpiewaj dla mnie.

– To świetny pomysł – podchwycił Johnny, podnosząc się z sofy. – Poczekaj chwilę, przyniosę Babs.

Zniknął z pokoju i wrócił niosąc urnę. Trzymając prochy żony, usiadł z powrotem na sofie.

– Teraz grupa jest kompletna. Zaśpiewaj.

– Jim, zagrasz? – poprosiła Tess. Przeszła przez pokój i oparła się o pianino.

– Co chcesz, bym zaśpiewała? – zwróciła się w stronę Micka.

– „To musiałeś być ty”. – Wyraz twarzy Micka był zawsze ten sam, gdy wspominał piosenkę, którą Tess śpiewała podczas ich pierwszego spotkania.

Śpiewała w małym klubie niedaleko collegu’u, gdzie zarabiała na swe studenckie życie. Mick Flannigan wszedł do środka i skierował się ku stolikowi tuż obok sceny. Ani na chwilę nie odrywał od niej swych błękitnych oczu. Od tego momentu śpiewała tylko dla niego.

Teraz, patrząc mu głęboko w oczy wiedziała, że wszystkie piosenki swojego życia wykonywała dla Micka Flannigana. Niezatarcie wspomnienie o nim w tym zadymionym i tłoczonym klubie nocnym wciąż trwało, nawet po tym, kiedy ją opuścił.

„Niech cię piekło pochłonie, Micku Flanniganie – pomyślała. – Drugi raz już mnie sobą nie oczarujesz”.

– Tonacja c – mol, Jim.

Tess nawet na chwilę nie odrywała oczu od Micka. Zabrzmiały pierwsze bluesowe dźwięki i zatoczyły czarowny krąg wokół Tess. Muzyka zawładnęła jej ciałem, sercem, duszą. Rozmarzona zaczęła śpiewać. Stała oparta biodrami o pianino. Jedną ręką odgarnęła z szyi pukiel włosów. Wszystkie ruchy wykonywała naturalnie i spontanicznie. Przejęta śpiewem była zupełnie

nieświadoma wrażenia, jakie robi na słuchaczach.

Mick poczuł się jak schwytyany w pułapkę. Sięgnął po cygaro. Miał nadzieję, że nikt nie dostrzeże drżenia jego rąk. „O mój Boże – pomyślał, pocierając zapalką o obcas buta. – Ona wciąż kocha się ze swoją widownią, kiedy śpiewa”.

Obserwował Tess poprzez obłoki niebieskiego dymu, ale ta zasłona nie pomniejszyła wrażenia. Przeklinał chwilę, w której poprosił, by zaśpiewała. Do diabła, był za stary i zbyt doświadczony, żeby igrać z ogniem, szczególnie z ogniem w rodzaju Tess Jones. Ta dziewczyna Jones zawsze była zbyt gorąca, aby nad nią zapanować. A ta kobieta Jones... Zadrżał na myśl o zbliżeniu się do niej.

„Dosyć tego, Flannigan. Porzuć te myśli.”

Usadowił się głębiej w fotelu i usiłował okazać uprzejme zainteresowanie. Miał nadzieję, że udaje mu się oszukać przyjaciół. Swego czasu każde z nich mówiło mu, iż rozwód z Tess był błędem. Musiał im udowodnić, że się mylili.

– Mick. Mick?

Nagle uświadomił sobie, że Tess już skończyła śpiewać i Johnny coś mówił do niego.

– Przepraszam, Johnny. Co powiedziałeś?

– Pytałem, czy ciągle jeszcze grasz na harmonijce.

– Tak. Właściwie to na tej samej starej bluesowej harmonijce, którą kiedyś zawsze nosiłem w kieszeni jeszcze za naszych czasów w Missisipi.

– Zagrajcie nam coś razem z Tess, jak dawniej. Mick miał już odmówić, kiedy Johnny dodał:

– Babs uwielbiała waszą muzykę. Mówiła, że jej słuchanie to niczym umieranie i unoszenie się w niebiosy.

– Tess? – zapytał Mick. Spoglądał na nią, szukając potwierdzenia.

– Jestem gotowa, jeśli ty również, Flannigan. – Podniósł się, a wtedy Tess dodała: – Ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić.

– Jestem twoim niewolnikiem. Czego żądasz?

– Wypuść z klatki O’Toole’a.

– Twojego trzeciego męża czy kota? – zażartował Flannigan, otwierając drzwiczki klatki.

– Czasami wydaje mi się, że są jednym i tym samym. Obaj są zwierzakami.

Przyjaciele zaśmiali się; również Flannigan uśmiechnął się, ale nie sądził, by było to tak śmieszne. Prawdę mówiąc, im dłużej o tym myślał, tym bardziej nie podobało mu się nazwanie trzeciego męża zwierzakiem. Czy to znaczyło, że był on w łóżku jak tygrys? Nagle odkrył, że nie odpowiadała mu myśl o Tess w czyimś łóżku, tym bardziej w łóżku jakiegoś zwierzaka. Trzech mężów. Niech to diabli.

Nigdy się ponownie nie ożenił. Przez lata wyobrażał sobie, że Tess żyje również samotnie, pracuje ciężko dla kariery, być może trochę za nim tęskni.

Żałował, że w ogóle dowiedział się o jej kolejnych mężach.

Przeszedł dumnym krokiem przez pokój, aż znalazł się tak blisko Tess, że dostrzegł ten złośliwy bursztynowy błysk w jej oczach i poczuł jaśminowy zapach jej skóry.

– Pamiętasz, jak to robiliśmy, Tess, kochanie?

– Tak. Ty grałeś. Ja śpiewałam...

– Och, moja ślicznotko. Twoja pamięć nie słabnie z wiekiem. Flannigan sięgnął nogą po stojący przy pianinie fotel i przysunął go do siebie. Jednym płynnym ruchem usiadł, umieszczając sobie Tess na kolanach.

– Zawsze siedziałaś na moich kolanach. Pamiętasz?

– Pamiętam. – Uśmiechając się złośliwie, Tess pochyliła się tak blisko, że musnęła go koniuszkiem nosa. – Ale, Flannigan... Obawiam się, że twoje kolana osłabły z wiekiem.

Reszta przyjaciół wybuchnęła śmiechem. Sam diabeł zdawał się tańczyć w niebieskich oczach Flannigana, gdy jednym ruchem uniósł ku górze jej brodę.

– Uważaj, Tess, kochanie. Mógłbym ci udowodnić, że się mylisz.

– W takim razie, Flannigan – zawiesiła głos, wyciągając dłoń, by ją zanurzyć w jego włosach – to ty powinieneś być ostrożny.

ROZDZIAŁ 2

– Nigdy nie byłem ostrożny, Tess. – Zacisnął dłonie na jej nadgarstkach. Przez moment udało mu się zatrzymać spojrzenie Tess; później dodał cicho, tak że reszta przyjaciół nie mogła tego dosłyszeć: – ...Szczególnie przy tobie.

– Co zamierzasz zrobić, Flannigan? Zakuć mnie w kajdanki?

– To jest myśl.

Tess zawsze jednakowo przygotowywała się do walki: uwypuklone nozdrza, napięta twarz, oczy nabierające jaśniejszego odcienia zieleni. Widział te pierwsze sygnały i mimo że nie zawsze był ostrożny, czasami potrafił być rozsądny. To nie był dobry moment na walkę, zwłaszcza na walkę z Tess Jones.

Sięgnął do kieszeni po harmonijkę, Tess uśmiechnęła się figlarnie. Mieli teraz zawieszenie broni, ona jednak uzyskała przewagę. Oboje o tym wiedzieli.

Zagrał kilka początkowych dźwięków, po czym uśmiechnął się do niej.

– Czy jesteś gotowa, Tess?

– Jestem zawsze gotowa. To ty potrzebujesz rozgrzewki. Bez wcześniejszego ustalenia zaintonował pierwsze takty „Burzliwej pogody”. Odchyliła się do tyłu z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy i, kiedy przyszedł jej czas, zaczęła śpiewać. Rzeczywiście zamierzał być ostrożny. Słuchał wielu syrenich śpiewów, ale jej wydał mu się teraz najbardziej zachwycający ze wszystkich. Ach, ale to nie potrwa długo. Był tak niespokojny, wciąż niespokojny, zawsze w drodze. I wcale nie pragnął, tak jak dziesięć lat temu, ciągnąć ją za sobą w poszukiwaniu swej ulotnej tęczy.

Tess miała w sobie magnetyczną siłę przyciągania, potrafiła wygrywać na Micku najczulsze melodie. Zawsze tak było między nimi; kiedy wchodziła do pokoju, on automatycznie poddawał się jej sile przyciągania. Już na pierwszym spotkaniu, kiedy żadne z nich nie miało ochoty na miłość, nie potrafili się od siebie oderwać. Jeśli chciał wskoczyć w samochód i pojechać do klubu na bilard, dzwonił po Tess. A kiedy ona miała ochotę przesiedzieć całą noc zagryzając prażoną kukurydzę i oglądając telewizyjne horrory, dzwoniła po niego. Tak żyli – najbliżsi przyjaciele, nie tyle w sobie zakochani, co świadomi tego, że zawsze się kochali.

Wciąż grał na harmonijce. „Skończ z tym raz na zawsze – mówił sobie. – Wyjedź z Tupelo i nie oglądaj się za siebie”. Przetrwał te wszystkie lata bez Tess, nigdy nie oglądając się za siebie.

Wykonali trzy piosenki, każda następna przychodziła z coraz większym trudem. Żałował, że w ogóle posadził ją na kolanach. Ale teraz było już za późno. Na szczęście Lovey, Jim i Johnny jakby nie zauważali, iż oprócz muzyki między nimi jeszcze coś się dzieje innego.

A kiedy skończyli, Tess podniosła się niczym królewna, odwróciła i

uścisnęła dłoń Micka. Uścisnęła dłoń! Naprawdę umiała zachować powściągliwość.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował mnie do pomocy, zadzwoń, Mick.

– Jeżeli jeszcze kiedykolwiek do ciebie zadzwonię, nie będzie to telefon w sprawie pracy.

– W takim razie będziesz musiał poczekać na swoją kolej.

– Zapewne dzwoni do ciebie wielu dżentelmenów?

– Tak, choć większość z nich to nie dżentelmeni. Wolę drapieżne typy.

– Zawsze wolałaś.

Wyciągnął z kieszeni cygaro i potarł zapalką o obcas buta. Oslaniając rękoma ogień, zapalił i zaciągnął się głęboko w zamyśleniu. Zastona niebieskiego dymu wcale nie zacierала żywego obrazu Tess. Może wręcz wydawał się on bardziej realny.

Za szkolnych czasów zawsze patrzył na nią poprzez niebieskie obłoki dymu w małym nocnym klubie, obserwując z daleka, jak oczarowuje widownię.

– Przypuszczam, że byłem najbardziej drapieżnym ze wszystkich – dodał, oczekując potwierdzenia.

– Wiesz – Zawadiacko przechyliła głowę i rozważała coś przez chwilę, wystarczająco długą, by pożałował swego ostatniego zdania. – Właściwie honory należą się mojemu drugiemu mężowi. Carson potrafił ujarzmić samego diabła. – Zadawszy ten ostatni cios, odeszła.

Zacisnął mocno w zębach cygaro, niemal odgryzł końcówkę. „Carson”. Co to za nazwisko, do diabła? Wydawało mu się mało męskie. W ogóle nie chciał znać imienia jej drugiego męża. Niedługo zaczną wymieniać swych kochanków.

Wcześniej przeszła przez pokój, a teraz stała przy Lovey. Odetchnął z ulgą i zaciągnął się głęboko cygarem, przypatrując się Tess przez kółka dymu. Zastanawiał się, czy miała też kochanków. Kobieta taka jak Tess...

– Założę się, że wszyscy umieracie z głodu – powiedział Johnny, przerywając ciąg myśli Flannigana. – W kuchni jest wystarczająco dużo jedzenia, aby nakarmić całe Tupelo. Wiecie, jak to jest, kiedy ktoś... „odchodzi”.

Ominięcie słowa „śmierć” nie było podobne do Johnny’ego. Przyjaciele to zauważyli. Z całej paczki był najbardziej pragmatyczny, najbardziej bezpośredni. Poza tym to lekarz, który patrzył na śmierć każdego dnia. Używając teraz eufemizmu, dokładnie wyraził, jak bardzo dotknęła go śmierć Babs.

Zaprowadził ich do kuchni; wciąż mówił:

– Większość ludzi nie potrafi zdobyć się na to, by po prostu wypowiedzieć, co czują, więc przygotowują góry jedzenia, żeby w ten sposób okazać cierpiącym swe współczucie. Piękny zwyczaj.

Rozproszyli się po kuchni. Brali papierowe tacki, napełniali szklanki lodem i zaglądali do półmisek – wszystko w atmosferze żartów i wzajemnej

przepychanki.

– To mi wygląda na kukurydzę. – Jim podsunął żonie talerz. – Czy sądzisz, że to kukurydza, Lovey?

– Możliwe, kochanie. – Pochyliła się nad talerzem i powąchała. – Hm, pachnie bosko. Powinieneś spróbować.

– Wiesz, że nie potrafię się oprzeć kukurydzy. Roześmiana Lovey postawiła półmisek na stole wśród innych naczyń, wypieków, ciastek, kanapek i słoików.

– To dopiero uczta – powiedział Flannigan.

– Czyż jej by się to nie podobało? – zapytał Johnny, uśmiechając się do zgromadzonych wokół stołu. – Zaraz, zaraz. Gdzie jest Babs?

– Myślałam, że wzięłaś ją ze sobą – powiedziała Tess.

– Nie. Postawiłem ją na chwilę na pianinie... Poczekajcie. Zaraz będę z powrotem.

Johnny wrócił i postawił urnę na honorowym miejscu na środku stołu. Przyjaciele zamilkli. Jim objął ramieniem Lovey, a Johnny przysunął się bliżej prochów żony.

Tess spojrzała na Micka. Stał oparty o ścianę, jego twarz pociemniała i spoważniała. Nagle poczuła się bardzo samotna. Wyobraziła sobie, jak przedzie kolorowe nitki życia i odkłada je pojedynczo za siebie. A kiedy odejdzie, ktoś weźmie w ręce jej purpurowy szlafrok, złociste buty i powie: „Czy to wszystko, co pozostało po Tess? Czy nie miała dzieci?

Ani męża? Nikogo, kto będzie za nią tęsknia? Czy to wszystko, co pozostało po Tess Jones Flannigan Carson O’Toole?”

Nie chciała wyobrazać sobie, jak znika, jak umiera i staje się praktycznie niewidzialna. Może tak nie będzie. Może kot przeżyje jej śmierć. Może usiądzie przed urną i będzie lizał łapy udając, że go to mało obchodzi. Ale jednocześnie będzie mu bardzo brakowało jego pani i nic nie ukoji złamanego bólem kociego serca.

Jeszcze raz popatrzyła na Flannigana. Wydawał się większy, silniejszy, bardziej realny, niż gdy spojrzała na niego ostatnio. To dziwne, jak śmierć wyolbrzymiła to, co żywe.

– Wiecie, jestem na nią wściekły – powiedział spokojnie Johnny. – Nie powinna była mnie opuścić i pozostawić samego.

– Złość jest naturalnym uczuciem, Johnny. Prawdopodobnie będziesz jeszcze czuł się za to winny. Większość tych, którzy przeżywają, tak to odczuwa – mówił Jim.

To on za szkolnych czasów zawsze tłumaczył ich uczucia i racjonalizował nastroje. Był z zawodu psychologiem, obecnie już z dużym doświadczeniem. „I nic dziwnego” – pomyślała Tess. Już się czuła lepiej. Sama była odrobinę zła na Babs.

– Jak sądzisz, co ona teraz robi? – zapytał Johnny. Przyjaciele stali, patrząc na niego w milczeniu. Jim i Lovey siedzieli na sąsiednich fotelach, trzymając się za ręce, tak jakby śmierć ich zatrwożyła. Tess poczuła ogarniającą ich ze wszystkich stron falę chłodu. Chciała ją odepchnąć, otrząsnąć się z tego uczucia i krzyknąć, że jest ono nieproszonym gościem tutaj w Tupelo, na pożegnalnym spotkaniu. Ale stała nieruchomo, bezradnie wpatrując się w urnę.

– Do diabła, Kalinopolis. – Głos Flannigana zagrział w pokoju, rozpędzając ponure myśli. Odepchnął się od ściany i ruszył przez kuchnię. Kiedy zatrzymał się przy Tess, niedbale położył rękę na jej ramieniu. – Gdzieś tam dyskutuje na temat latania z Amelią Earhart i Charlesem Lindberghiem.

Tess zrozumiała. Zawsze działali razem z Flanniganem. Podtrzymywali żartobliwy nastrój, kiedy tylko przyjaciele tego potrzebowali.

– Jeśli dali jej skrzydła – podchwyciła – to już pomalowała je w błękitno-złote paski i wypisała czarnymi literami po bokach: Johnny K. Wicie, że każdej ze swych latających maszyn nadawała imię Johnny K.

Na twarzach Johnny’ego, Jima i Lovey pojawił się uśmiech. Flannigan i Tess żartowali dalej.

– Pamiętacie, jak zbombardowała dom zgromadzeń stowarzyszenia Sigma Chi? – przypomniał Flannigan, ściskając rękę Tess. Znała ten sygnał. Teraz jej kolej.

– Miesiąc zajęło nam odszukanie i zakupienie tych wszystkich plastikowych osiołków.

– Brałaś w tym udział?

– No jasne. Sądzisz, że Babs znalazłaby tyle cierpliwości, aby przelecieć przez setkę plastikowych osiołków i odciąć im zadki?

Przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

– Szkoda, że nie widzieliście twarzy tych ludzi następnego dnia, gdy o tym opowiadali – rzekł Johnny. – Z nieba spadały zadki tych plastikowych osiołków, a Babs krążyła tak nisko, jakby chciała zerwać dach z ich domu zgromadzeń.

– Dobrze im tak, dupkom – powiedziała Lovey. – Pomysł był dobry. Nie dopuścić nikogo ze studentów do ich stowarzyszenia.

– Ja nic do nich nie miałem. Brakowało mi tylko wąsów i broni, żeby wyglądać, jakbym właśnie wrócił od rodzinki z Sycylii Ożywieni wspomnieniami swych młodzieńczych wygłupów delikatnie przywoływali obraz Babs.

Flannigan obserwował kątem oka kasztanowe włosy Tess. Subtelny zapach kwiatów poruszył jego zmysły. To było zbyt błogie uczucie stać tak blisko niej. Zdjął rękę z jej ramienia i się odsunął. Ale niedaleko.

Była częścią tej paczki, starą przyjaciółką. To oczywiste, że mógł godzinami siedzieć blisko starej przyjaciółki i snuć wspomnienia. Powtarzał to sobie bez końca.

Nagle przyłapał się na tym, że przysuwał się coraz bliżej, aby wsłuchiwać

się w delikatne, bluesowe brzmienie głosu Tess. Wówczas powiedział sobie jeszcze raz, że to, co czuł, to jedynie przyjaźń i nostalgia. Kiedy dotknął jej dłoni, sięgając po czekoladowe ciastko, mówił sobie: „To przecież naturalne, że jej dotyk jest inny, delikatniejszy, słodszy, bardziej elektryzujący niż każdej innej kobiety. W końcu kiedyś byli mężem i żoną”.

Jako ostatni opuścili kuchnię.

Tess oblizwała umazane czekoladą palce i uśmiechnęła się do Flannigana.

– Byłeś cudowny, Mick. Gdyby nie ty, jeszcze chwila, a wszyscy byśmy się popłakali.

– Ty też nieźle potrafiłaś się zachować, Tess, kochanie. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Smakujesz jak czekoladka.

– Twoim ulubionym smakiem był czekoladowy.

– Ciągle jest. – Wierzchem dłoni uniósł jej brodę. W blasku oświetlenia kuchennego przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę. Twarz Micka nabrała czułego wyrazu i Tess pomyślała, że może będzie chciał ją pocałować.

Wiedziała, jak się zachować. Odpowie na jego pocałunek... w imię wspomnień przeszłości. Niespodziewanie się odsunął.

– Dobranoc, Tess, kochanie.

– Dobranoc, Mick.

Poszli razem schodami na górę pełni paraliżującego skrępowania, z którym nie wiedzieli, co zrobić. Na górze zawahali się, spoglądając na siebie. Mick chciał powiedzieć dobranoc, ale przecież już raz się pożegnali. W końcu tylko skinęli głowami i każde z nich poszło w swoją stronę.

Mick stanowczo zamknął za sobą drzwi i położył się w ciemności, rozmyślając o czekoladowym smaku jej skóry i o tym, jak włosy falowały i muskały twarz, gdy odwracała głowę. Nawet nie próbował zasnąć.

W drugim pokoju Tess usiłowała ułożyć się do snu. Leżała samotnie na świeżej pościeli z rękami podsuniętymi pod brodę. Zamknęła oczy. Tak trwała dwie godziny, spoglądając od czasu do czasu na stojący obok łóżka zegarek, żeby upewnić się, czy czas mija odpowiednio szybko.

Ale nie mogła zasnąć, nawet w zacisznej ciemności południowego miasteczka, nawet przy spokojnym szumie gałęzi ocierających się o szyby. Do snu nie potrafiły utulić jej nawet przyjazne plamy księżycowego światła na suficie. Żeby już dłużej nie przewracać się z boku na bok i aby, broń Boże, nie dociekać przyczyny tej nagłej bezsenności, wysunęła się spod przykrycia i wygrzebała z łóżka O'Toole'a. Zamiauczał niezadowolony, ale ucałowała go w pyszczek i uspokoiła.

– Cicho, O'Toole. Pomóż mi lepiej odszukać pantofle.

Nie był jednak szczególnie skory do pomocy, leżąc i wygrzewając się w jej ramionach, ale w końcu odnalazła je i wsunęła na nogi. Później chwyciła

jedwabny szlafrok i zarzuciła na ramiona.

Postanowiła jeszcze raz zejść do kuchni. Zdecyduje, co robić, kiedy będzie już na dole. Gdy była małą dziewczynką, ciotka Bertha mówiła, że życiowe problemy najlepiej rozwiązuje się w miłej, przytulnej kuchni. Uważała, że to jedno z niewielu zdań wypowiedzianych przez ciotkę Berthę, które godne było uwagi.

Gdy schodziła w dół po schodach, wysokie obcasy tonęły w puszystym dywanie. Urna stała na stoliku w hallu, obok bukietu gardenii. Tess postanowiła zabrać Babs ze sobą.

– Zawsze kochałaś gardenie – powiedziała, biorąc urnę ze stolika.

Niosła O'Toole'a w jednej, a Babs w drugiej ręce, co stanowiło w sumie spory ciężar, ale Tess to nie przeszkadzało. Czowała się już lepiej. Towarzystwo przyjaciół zawsze podtrzymywało ją na duchu.

Postawiła kota i przyjaciółkę na kuchennym stole i zaczęła szperać w szafkach.

– Czy ciągle jeszcze tutaj trzymasz szampana? – Szukała za lodówką i w końcu natknęła się na butelkę. Korek tkwił bardzo mocno, a drucik nie chciał ustąpić. Nigdy nie umiała poradzić sobie z otwieraniem butelek. To była jedyna zaleta Carsona, jej drugiego męża. Świetnie dawał sobie radę z korkami.

– No, dalej – powiedziała, zmagając się z drucikiem. – Jeśli mi skaleczysz palec i korek wyleci w powietrze jak pocisk, będę krzyczała.

– Pijesz sama, Tess?

Niemalże upuściła butelkę. Mick Flannigan stał w progu, półnagi, w obcisłych dżinsach. Był ostatnią osobą, którą chciała widzieć w tym momencie. To przecież jego wina, że jeszcze nie spała i kręciła się po kuchni o tak późnej porze.

– Co ty tutaj robisz, Mick?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. – Wziął od niej butelkę i zręcznie odkorkował. Nie miał zamiaru mówić jej o tym, że leżał w łóżku, nasłuchując każdego dobiegającego z drugiej strony hallu szelestu.

– Zeszłam na dół na nocną pogawędkę z Babs.

– Mogę się dołączyć? – Wręczył jej szampana, następnie sięgnął nagą stopą po krzesło i podsunął je Tess.

– Nie. – Usiadła, oparła się o tył krzesła i rzuciła na niego odważne spojrzenie. – Tej nocy nie mam ochoty na półnagiego mężczyznę.

Na myśl o tym, że kiedykolwiek mogłaby mieć ochotę na jakiegoś półnagiego mężczyznę innego niż on, ogarnął go zimny dreszcz. Wiedział, że jeśli się nie opanuje, może to się źle skończyć. Tess potrafiła mu odpowiedzieć słowem za słowo; im ostrzej, tym lepiej.

Przysunawszy drugie krzesło, usiadł naprzeciwko niej, tak blisko, że prawie mógł jej dotknąć. Prawie, ale nie całkiem.

– W takim razie, kochanie, mógłbym zdjąć te dzinsy.

– Nie kłopotz się. Już się tego naoglądałam.

Oparła się łokciem o stolik i napełniła kieliszek szampanem, robiąc to bardzo powoli, tak że każda kropla zdawała się spadać pojedynczo i tanecznym ruchem docierała do dna szklanki. Kątem oka dokładnie widziała, jak bardzo go to denerwowało.

– Szczerze mówiąc, Flannigan, już mnie nie interesujesz. – Podniosła do ust kieliszek.

– Jeśli bym zechciał, mogłabyś odwołać te słowa, kochanie. – Sięgnął ręką i chwycił Tess za nadgarstek, właśnie wtedy, gdy pierwsza kropla złocistego płynu spadła na jej język. O, Boże, była pociągająca.

– No, tak... – Usadowiła się wygodniej na krześle i powoli pociągnęła językiem wokół ust. Kiedy zabłyszczały od szampana, uśmiechnęła się do niego.

– Uzgodniliśmy, że nie jesteśmy już sobą zainteresowani. O czym tu jeszcze mówić?

– Kiedyś mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

– To było dawno temu.

– To prawda.

Nastąpiła krępująca cisza. By ukryć zakłopotanie, Tess skoncentrowała się na sączeniu szampana.

Mick obserwował jej szyję, gdy przełykała. Pamiętał gładkość jej skóry pod swoimi ustami, cudownie chłodnej, nawet w najgorętszych miesiącach lata, a teraz widział puls drgający w dole szyi jak wiosenny liść tańczący na wietrze.

Aby odwrócić swą uwagę od jej skóry, oparł się o tył krzesła i obserwował ubranie. Miała na sobie szlafrok, który doprowadziłby do szaleństwa nawet świętą istotę: kremowy atłas ozdabiany tu i ówdzie strusimi piórami. Aż do tego momentu nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęsknił za jej przytulną, seksowną bielizną i lekkimi pantoflami. Spojrzał w dół na jej stopy. Ciągle nosiła te niesamowite pantofle z cekinami, które iskrzyły się przy każdym kroku.

Coś go ścisnęło za serce, ogarnęła go fala tklivości i czułych wspomnień.

– Pamiętasz, jak piłem z twojego pantofla? Zaskoczyły ją te słowa. Nie patrząc na niego, ostrożnie postawiła kieliszek na stole. Nie chciała siedzieć w kuchni i myśleć o tym, jak Jim i Lovey trzymają się za ręce i jak by to było dzielić podobne chwile z Flanniganem.

– Pamiętasz? – zapytał jeszcze raz, tak delikatnie, że musiała podnieść na niego oczy.

Jak dobrze знаła ten wyraz zadumy na jego twarzy; wyglądał tak, kiedy mieli się kochać. Powoli wyciągnął rękę i ujął Tess za kostkę. Kciukiem zataczał kręgi na nodze, przesuując jednocześnie dłoń w stronę kolana.

Poczuła, jakby wszystkie zakończenia nerwów miała skupione w miejscu, które dotykał. Okłamała go. Od momentu gdy wszedł do kuchni, miała ochotę

pociągnąć paznokciami po jego piersiach, by poczuć twardość mięśni pod lśniącą skórą. Tylko jeden raz. Tylko na tyle, aby się upewnić, czy to wciąż to samo przyjemne uczucie, które tak dobrze pamiętała. Och, to było niezłe kłamstwo. Pragnęła tego półnagię mężczyzny. Pragnęła go wtedy, a teraz pragnęła go nawet bardziej.

I gdzie podziła się jej niezależność? Równie dobrze mogłaby teraz dzielić los Babs, jak i na nowo związać swoją niepewną dolę z Flanniganem.

Wyswobodziła nogę z jego objęcia, bardzo powoli, tak by *me* zauważył jej podniecenia.

– Byłeś wtedy młody – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– To, że z wiekiem bardzo przygasł twój młodzieńczy żar.

– Przygasł?

Ten głos przyprawił Tess o dreszcze. Powinna pamiętać, co to znaczy sprowokować Flannigana. Dostrzegła w tej chwili iskrzące się oczy, dostrzegła napięte mięśnie szczęki, dostrzegła zeszywniałe ramiona. Nie miała jednak zamiaru opuszczać z tonu. Było na to zbyt późno.

– Tak, dokładnie tak powiedziałam. Zauważyłam to od razu, kiedy na ciebie spojrzałam. – Wstał z krzesła. Tess poczuła szalejącą w niej falę zwycięskiej energii. – Jaka szkoda, że utraciłeś swój dawny wigor.

Odchylił głowę do tyłu i się zaśmiał. Następnie zbliżył się i podniósł ją z krzesła. Szal zsunął się z jej ramion i spadł na podłogę. Podniosła oczy na Micka i przez moment miała wrażenie, że cofnęła się w czasie. Rozchyliła usta.

Flannigan znał tę pokusę. Tam, gdzie trzeba, Tess zachowała jędrność ciała, zaś inne miejsca były odpowiednio miękkie i przytulne. Przypominała bukiet kamelii, śmietankowy, atlasowy i pachnący. Pochylił się tak blisko, że niemal dotykał jej ust.

– Czy myślisz, że cię pocałuję, Tess, kochanie? Zacisnęła usta.

– Do tego potrzeba zgody dwojga, Flannigan. A ja nie mam zamiaru cię pocałować.

– W porządku. Więc się zrozumieliśmy.

Przerzucił ją przez ramię, pośladkami do góry. Kiedy odzyskała oddech, uderzyła go pięścią w plecy.

– Co ty wyprawiasz? Puść mnie.

– Najpierw muszę dostać to, czego chcę. Przytrzymał jedną ręką szamoczące się nogi, a drugą zdjął lewy pantofel.

– Dobrze. Wystarczy.

Bezceremonialnie zsunął ją na podłogę i stała tak w jednym pantoflu, przechylona, spoglądając wrogo na Flannigana. Zrozumiała teraz, jak poczuł się O'Toole, kiedy wyciągnęła go z łóżka.

Flannigan śmiejąc się trzymał w górze pantofel.

- Myślałaś, że klękę przed tobą, żeby go zdobyć?
- Nigdy nie wiem, co zamierzasz zrobić.
- Powiedziałaś, że utraciłem swój młodzieńczy żar.

Sięgnął po butelkę. Gdy nalewał szampana do pantofla, jedna kropelka spadła na podłogę. Powoli, bardzo powoli podniósł go do ust. Nie mogła oderwać oczu od jego warg – soczystych, ciepłych, miękkich niczym atlas. Dobrze знаła ich smak.

- Chciałam cię sprowokować – rzekła.
- Dlaczego? – Spoglądał na nią znad pantofla.
- Nie wiem. – Nagle usiadła i zwróciła wzrok ku urnie. – Zawsze wywoływałam u siebie to, co najgorsze.

– I to, co najlepsze.

Tess patrzyła, jak przechylił pantofel i spijał iskrzący się, musujący płyn. Jedna mała kropelka zwilżyła mu brodę. Chciała ją zetrzeć, ale oparła się pokusie i położyła dłoń na urnie.

- Nie pozwól, bym się ośmieszyła, Babs – wyszeptwała.
- Czy coś mówiłaś?
- Powiedziałam, że najwyższy czas wracać do łóżka.

Nie wiadomo dlaczego, Mick nagle zapragnął przedłużyć tę chwilę spędzaną wspólnie w kuchni.

- Nie wypijaś swego szampana – zwrócił się do Tess.
- To prawda.

Tess podniosła kieliszek i opróżniła go jednym haustem. Chciała wyjść z kuchni, zostawić Micka Flannigana, ale nigdy by się do tego nie przyznała. Zamiast się wycofać, ponownie naląła sobie szampana.

- Na zdrowie, Flannigan. – Podniosła kieliszek.
- Na zdrowie. – Wyciągnął rękę z pantoflem i uderzył o krawędź jej szklanego naczynia.

- Za Babs – wzniosła toast.
- Za stare dobre czasy.

Sącyli szampana. Ich spojrzenia się zderzyły.

– Zawsze mówiła, że nikt inny na świecie nie mógłby mnie zaspokoić, tylko ty. Pamiętasz to, Tess?

- Myliła się. – Tess odwróciła głowę w stronę urny. – Wybacz, Babs.
- Ja również... bardzo przepraszam. – Flannigan wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł pantofel. Później przyklęknął i wsunął go na stopę Tess. – Wciąż i wszędzie nosisz te lekkie pantofle.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają, Flannigan. – Tess odzyskała równowagę po podniecającym wrażeniu, jakie wywołała spoczywająca na jej udzie ręka Flannigana.

- Masz rację. – Powoli zatoczył krąg dłonią po jej nodze, po czym ją

odsunął. – Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Następnie wstał, a ona dostrzegła w nim małego zagubionego chłopca, jakim go niegdyś знаła. Był twardy, silny i nieposkromiony, ale od czasu do czasu wymykał się sobie spod kontroli i dało się zauważyć w jego oczach naturę przerażonego dziecka. Teraz rozczulił ją ten znajomy widok.

– Wciąż w pogoni za tęczami, Mick?

– Zawsze. Wydaje mi się, że ta największa znajduje się właśnie za najbliższym wzgórzem.

– Gdzie było poprzednie wzgórze?

– W Ameryce Południowej. Prowadziłem tam szkółkę latania.

– Brzmi interesująco.

– Zawsze tęskniłem za czymś ekscytującym. To chyba ze względu na to, że wychowałem się w lunaparku.

– Myślę, że masz to we krwi, Flannigan.

Tess otuliła dłońmi jego twarz i pocałowała go prosto w usta. Po czym, wciąż z jedną dłonią na policzku Micka, wyszeptła:

– Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdziesz to, czego szukasz.

Wyszła pospiesznie z kuchni, ciągnąc za sobą strusie pióra, zapach jaśminu i niezadowolonego kota. Mick był zbyt zaskoczony, by przypomnieć jej o Babs.

– Niech mnie piekło pochłonie.

Dotknął ręką ust i spojrzał na opustoszałe po niej miejsce. Wydawało się, że Tess wciąż tam stała. Z nią było tak zawsze. Wyciskała swe piętno na każdym miejscu tak, że część jej istoty pozostawała przypieczętowana na nim na zawsze. Wszystko, czego dotykała, nawet samo powietrze, którym oddychała, napępniało się życiem. Dlatego też po tym, jak ją opuścił, pozbył się kolejnych rzeczy: starej sponiewieranej walizki, której czasami używała podczas artystycznych wojaży za miasto, ulubionego podkoszulka, który zwykle miała na sobie, gdy coś nuciła, kręcąc się po kuchni – najczęściej przypalając hot dogi, szczotki do włosów z wplątanymi w nią kasztanowymi kosmykami włosów, czerwonych wełnianych skarpetek, które zimą zakładała do łóżka, kiedy marzły jej stopy.

Sięgnął po kieliszek i napęlnił go szampanem.

– To za przeszłość, Babs. Zanim tutaj przyjechałem i ponownie ją ujrzałem, zawsze sądziłem, że to już wygasło.

Przechylił kieliszek i opróżnił go jednym szybkim haustem. Po chwili znów dolał sobie szampana i wyciągnął nagie stopy na stół.

– Wybacz, Babs. Kiedy się pije, dobrze to robić w wygodnej pozycji.

To jedna z prawd, której nauczył się od wuja Artura: pij w wygodnej pozycji. Stary, dobry wuj Artur. Boże, miej go w swojej opiece. Niewiarygodny Połykacz Ognia, gwózdź programu w Cyrku Braci Brinkley. Artur oczywiście nie był jego wujkiem. Nie miał żadnych wujków. Ani rodziców. Nalewając kolejny kieliszek szampana, pomyślał, że Mick Flannigan był samotnym człowiekiem,

który wiedział, co to znaczy wędrować z miejsca na miejsce w poszukiwaniu tego, za czym się tęskni.

Kiedy miał dwanaście lat, zapragnął porzucić szare, rygorystyczne życie w sierocińcu. Więc uciekł i dołączył do wesołego miasteczka. Zaopiekował się nim wuj Artur. Polubili się. Później, kiedy ukończył college, ruszył na poszukiwanie wielkiego szczęścia. Nie odnalazł go do tej pory. Zaledwie kilka miłych chwil, nie zaspokajających jednak jego prawdziwych tęsknot, podtrzymywało go na duchu. A kiedy opuścił Tess...

– Podniósł do góry kieliszek i obserwował złocisty napój. Czego poszukiwał od momentu, kiedy zostawił Tess? Do diabła, sam nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Nawet teraz, dziesięć lat później, wciąż nie wiedział, do czego dąży. Czuł jednak, że musi trwać w szukaniu. Syreni śpiew nie dawał mu spokoju, wzywał go po imieniu, kusił i wabił ku następnemu wzgórzcu.

– Oto kolejne wzgórze...

Siedział w kuchni aż do momentu, kiedy opróżnił butelkę. Wówczas wstał, by wyjść. Jego nagie stopy dotknęły czegoś delikatnego i jedwabnego. Szal Tess. Uśmiechnął się, spoglądając w dół na ten nierozłączny rekwizyt, który zgubiła po drodze.

– Zawsze zostawiałaś po sobie jakiś ślad, Tess. – Podniósł szal i przytrzymał go przez chwilę przy twarzy, po czym niedbale zarzucił na ramię udając, że ta mała część Tess nie miała już dla niego żadnego znaczenia.

Wrzucił butelkę do kosza na śmieci, wziął Babs i wyszedł z kuchni. Ostrożnie postawił urnę na stoliku w hallu i poszedł schodami na górę. Krok miał pewny i równy. Wuj Artur nauczył go również tego, jak się dobrze trzymać po alkoholu.

Był już prawie pod drzwiami sypialni, ale nagle zmienił decyzję. Uśmiechnął się, zdejmując z ramienia jedwabny szal.

„Dlaczego właściwie nie miałbym zwrócić zguby właścicielce?” – pomyślał.

ROZDZIAŁ 3

Tess leżała na łóżku niczym dorodny kwiat. Jej kremowa koszula delikatnie mieniła się w księżycowym świetle. Na nogach wciąż miała pantofle.

– Tess? – Flannigan stał w progu, wywołując jej imię przyciszonym głosem. Wiedział jednak, że nie usłyszy odpowiedzi. Tylko tornado mogło obudzić śpiącą Tess.

Wszedł na palcach do pokoju. Kiedy był w sierocińcu, nauczył się skradać na palcach, aby nie obudzić dzieci, które śniły o prawdziwych różach pnących się po białym płocie i o prawdziwych rodzicach czekających na nich przy kominku. To były również i jego sny, gdy był sześciolatkiem. Na szczęście wyrósł z tych fantazji, kiedy miał około dziesięciu lat. Nauczył się twardej prawdy, że one nigdy się nie spełniają i od tamtej pory już nie pozwalał sobie na podobne sny.

Zbliżył się do łóżka. W pierwszej chwili pomyślał, że zostawi szal na posłaniu, gdzie na pewno znalazłaby go raniem; później postanowił otulić nim jej ciało. Jak zwykle leżała odkryta. Pamiętał, że zawsze, nawet latem, miała chłodne stopy.

Przycupnął na łóżku, by okryć jej nogi szalem. Wyglądała tak subtelnie, tak czule. Odruchowo położył rękę na udzie. Czuł ciepło skóry przez koszulę.

W jednej chwili przeniósł się myślami do nowojorskiego mieszkania, do którego trzeba było się wspinać po schodach, w którym farba odpadała ze ścian, a kanalizacja nigdy dobrze nie działała. Przesunął rękę w dół nogi oczekując, że Tess odwróci się do niego i powie: „Flannigan, Flannigan” głosem, który zawsze przypominał mu muzykę.

– Och, Tess, kochanie. Jak mogłem cię opuścić?

Oczywiście nie odpowiedziała. Wciąż spała, dokładnie tak jak dziesięć lat temu, gdy po cichu spakował walizki i wyszedł z domu. Czy był to odruch tchórzostwa czy odwagi? Nie znał odpowiedzi wtedy, nie znał i teraz. Swego czasu wierzył, że bardzo poświęcił się dla jej dobra. Musiał wyruszyć dalej w drogę i nie miał prawa skazywać jej na tułaczkę, kiedy zaczynała robić karierę. Ona oczywiście mogła mieć co do tego wątpliwości. Patrząc teraz na Tess, na malujący się na jej twarzy upór, pomyślał sobie, że na pewno tak sądziła. Odszedł wtedy bez słowa, by uniknąć jakiegokolwiek na ten temat dyskusji. Zostawił wiadomość na nocnym stoliku i wyszedł. Nie obejrzał się za siebie ani razu.

– Czy twoi pozostali mężowie również od ciebie odeszli, Tess?

Nie potrafiłby sobie tego wyobrazić.

– A może sama ich odesłałaś?

Miał nadzieję, że tak właśnie się stało. Miał nadzieję, że nie byli na tyle

męscy, by zaspokoić taką kobietę jak Tess Jones Flannigan.

To dziwne, ale odruchowo dopisywał jej swoje nazwisko. Być może dlatego, że przy okazji spotkania z przyjaciółmi obudziły się w nim stare wspomnienia.

Przykrył jej nogi szalem, szczególnie troskliwie otulając stopy.

Tess poruszyła się. Coś przerwało jej sen. Na wpół przebudzona, wciąż tkwiła myślami w śnie, w którym biegała po mieszkaniu, trzymając w ręku pozostawioną dla niej wiadomość. Gwałtownie otwierała drzwiczki szafek w łazience, później pobiegła do kuchni. Szukała szczoteczki do zębów, skarpetek, pary suszących się szortów – czegokolwiek, co powiedziałyby jej, że Flannigan jednak nie odszedł. Wówczas poczuła na udzie jego dłoń. Wiedziała, że to Flannigan, gdyż jego dotyk był tak charakterystyczny – wyjątkowo tkliwy i jednocześnie całkowicie obezwładniający.

– Mick?

Usiadła, pocierając zaspane oczy. Oto i on: siedział na brzegu łóżka, wyglądał znakomicie.

– Wróciłeś.

Rzuciła mu się w ramiona, wtulając twarz w ciepłe wgłębienie pomiędzy pokrytym zarostem policzkiem a umięśnionym ramieniem. Jej łzy zwilżyły mu skórę.

– O Boże, Mick. Myślałam, że odszedłeś. Myślałam, że mnie zostawiłeś.

Obsypywała jego szyję i ramiona deszczem pocałunków. Delikatnie objął twarz Tess i zwrócił w swoją stronę.

– Och, Tess... – Jego oczy błyszczały w księżycowym świetle i wiedziała, że on też płacze.

– Myślałam, że mnie nie kochasz, Mick. Myślałam, że nikt mnie nie kocha.

Ukołysani wspomnieniami i szampanem zeszli się jak dwie niezależne gwiazdy, których przeznaczeniem było odnaleźć na niebie powrotną drogę do domu. Jej usta miały słodki smak, jego były tak czułe. Jej ramiona miały w sobie tyle ciepła, jego zaś pełne bezpieczeństwa. Jej westchnienie – pełne czułości, jego – przesycone żalem.

Pocałował ją wiedząc, że nie powinien, wiedząc, że przepelniony jest szampanem i nostalgią. Ona całowała go z rosnącym zdumieniem, powoli wracała do przytomności z półsnego stanu, zostawiając za sobą opary przeszłości i lądując w środku rzeczywistości.

Mick wcale nie wrócił. Znajdowała się w Tupelo, w obcym łóżku, w ramionach swego pierwszego męża. „Pierwszego i najlepszego” – pomyślała, całując go. Flannigan zawsze był najlepszy. Kiedy ich usta wciąż jeszcze trwały spojone pocałunkiem, wyobrażała sobie, że sami aniołowie pochylają się, by westchnąć z zazdrości. Flannigan całował więcej niż z wprawą, więcej niż z doświadczeniem specjalisty, całował całą swoją duszą. Czowała jego nadzieje i

marzenia, smutek i rozczarowanie, siłę i radość promieniującą z gładkich jak aksamit i rozkosznie obezwładniających ją ust.

Gdy przerwali, aby zaczerpnąć oddechu, Tess otworzyła oczy i skłoniła ku niemu głowę.

– Ach, Flannigan. Jak my moglibyśmy się kochać. Koniuszkami palców gładził jej szyję.

– Nie myśl, że tego nie pragnę, Tess. – Pochylił się i musnął ustami jej szyję, na której natychmiast pojawiła się gęsia skórka. – Pragnę ułożyć cię na tym łóżku i całować twoje całe ciało. – Podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. – Czy wiesz, że wciąż jesteś najbardziej zmysłową kobietą na świecie?

– Tak. – Jej śmiech brzmiał gardłowo.

– Ciągle niezrównana Tess Jones.

Oczywiście skłamała. Ale nie miała zamiaru wyznać prawdy. Nawet kiedy byli najbliższymi przyjaciółmi, zawsze jakaś jej część stanowiła dla niego sekret. Sądził, że ta kobieta jest nie do pokonania, niezniszczalna, podobnie zresztą mniemała cała reszta świata. Tego właśnie potrzebowała. Tego właśnie od nich wszystkich oczekiwała.

Flannigan ponownie ogarnął jej dało namiętym spojrzeniem, po czym się odwrócił. Wstał, a uwolnione od jego ciężaru sprężyny materaca podskoczyły lekko do góry.

– Nie powiem, żebym żałował tego, co właśnie między nami zaszło, Tess.

– Ani ja.

Podniosła wzrok na niego; zmierzwione włosy opadały obficie na szyję, a obsunięte ramię odsłaniało ponętne ciało. Jej oczy miały barwę głębokiej zieleni, niczym drzewa późnym letnim wieczorem. Oddałby majątek, żeby się dowiedzieć, o czym teraz myślała. Ale nie posiadał majątku. I nie potrzebował już odczytywać jej myśli.

Obydwoje byli jedynie przechodniami w tym mieście. Najprawdopodobniej po tym weekendzie już się nigdy więcej nie zobaczą. I tak być powinno. Nie istniała możliwość powrotu.

Mick już miał wychodzić, gdy zatrzymał go głos Tess.

– Skąd się tutaj wzięłeś... w mojej sypialni?

– Przyniosłem twój szal. Zostawiłaś go w kuchni.

– Dziękuję, Mick.

– Proszę.

Podsunała sobie dwie poduszki i ułożyła się ze splecionymi pod głową rękami.

– Nie mówiłam prawdy, Mick. – Kiedy?

– Kiedy powiedziałam, że straciłeś swój młodzieńczy żar. – Uśmiechnęła się. – Wcale nie przygasł.

– Wiedziałem o tym od początku.

– Ale to nie znaczy, że coś się między nami jeszcze wydarzy.

– Masz rację. Nie wydarzy się. Obiecuję.

Te słowa dotknęły ją do żywego. Poczowała, że ulatuje z niej wszelki entuzjazm. Nie musiał przemawiać tak stanowczym tonem. Skąd u niego ten nagły dystans? Może miał kobietę w Ameryce Południowej? Jakąś gorącą Latynoskę, która była jego mużą w łóżku? Albo może czekały na niego dwie lub trzy kobiety. Każda w innym porcie.

Nawet nie miała siły dłużej o tym myśleć.

– Możesz już wyjść – powiedziała. – I nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi.

Wyszedł. Pomyślała, że odgłos zatraskiwanych drzwi niósł w sobie coś nieodwołalnego.

– Nawet się nie pożegnał – powiedziała do O’Toole’a.

O’Toole spojrział do góry ze swego przytulnego, wyściełanego poduszką zakątka na małym bujanym fotelu. Ziewnął, odsłaniając zaostrome zęby i różowy język. Następnie odwrócił się do niej tyłem i, zwinąwszy się w kłębek, udawał, że śpi.

Tess wiedziała, o co chodzi. Ten tajemniczy kot po prostu nie miał ochoty, by mu zakłócano spokój.

Całe jej życie było zakłócaniem czyjegoś spokoju. Najpierw ciotki Berthy, która wzięła na siebie ciężar wychowania dwóch dziewczynek po śmierci ich matki. Tess już wtedy, jako dwunastoletnia dziewczynka, nie dawała się poskromić, istny diabeł wcielony. Przynajmniej tak twierdziła ciotka Bertha. Jej siostra, Margaret Leigh, była zawsze spokojna i posłuszna, ale Tess większość swego czasu spędzała na wymyślaniu różnych sposobów łamania nałożonych przez ciotkę Berthę zasad.

Kiedy miała czternaście lat, wykradła dziadkowi Jonesowi paczkę „Lucky Strike” i paliła papierosy za stodołą, stojąc wyzywająco w rozkroku, z ręką opartą na biodrze tylko dlatego, że ciotka Bertha mówiła, iż prawdziwe damy nie palą w pozycji stojącej. Prawdziwe damy również nie przeklinają. Tess czasami używała nieprzyzwoitych słów właśnie po to, by rozzłościć ciotkę Berthę. A może, by zwrócić na siebie uwagę.

Tess leżała wsparta na poduszkach i snuła wspomnienia. Margaret Leigh wszyscy kochali jako miłe i posłuszne dziecko, ale ciotka Bertha ciągle starała się zmienić Tess. Tak jak i inni wokół: rodzina, nauczyciele, nawet jej liczni mężowie. No, może nie każdy z nich. Nie Flannigan. On po prostu ją zostawił. Ale dwaj pozostali – Carson i O’Toole – usiłowali ją zmienić od samego początku, kiedy tylko minął czar pierwszych dni miodowego miesiąca.

– Jeśli się poprawisz – mówili – pewnego dnia naprawdę będziesz czegoś warta.

Niekoniecznie zależało jej na tym, aby stać się czegoś wartą, zwłaszcza

jeśli ktoś inny o tym decydował. Chciała, żeby ją kochano taką, jaką była.

Nigdy tego nikomu nie wyznała, nawet Mickowi. Wszyscy wokół sądzili, że jest odważna, nieposkromiona oraz silna. I potwierdzało się to w większości wypadków. Ale czasem, kiedy nocą wiatr wył za oknami i poduszka nie starczała, by się odizolować od tych groźnych dźwięków, i nawet kot ją ignorował – wówczas Tess czuła się zupełnie inaczej. Była delikatna, wrażliwa i tak samotna, że żadna ze śpiewanych przez nią bluesowych piosenek nie mogłaby wyrazić głębi jej smutku.

– Tess Jones – powiedziała do siebie stanowczym głosem – jeśli nie przestaniesz się nad sobą rozczulać, nigdy nie zaśniesz i nie będziesz się mogła pokazać jutro ludziom na oczy.

Następnego ranka, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, wszyscy przyjaciele ubrani w wygodne letnie stroje wyruszyli na piknik. Miał on być wspomnieniem wszystkich pikników, jakie kiedykolwiek wspólnie urządzali. I zabrali ze sobą urnę.

Jim trzymał wypełniony po brzegi jedzeniem koszyk; Lovey – koce, na których mieli siedzieć. Mick miał torbę z dużą ilością kanapek, napoi i z ciastem czekoladowym, przy którym najbardziej upierała się Tess; ona zaś wzięła fajerwerki, a Johnny niósł ze sobą Babs. W szampańskich nastrojach wsiadali do jego samochodu. Każdy starał się wywalczyć miejsce przy oknie.

– Ty prowadzisz – rzekł Jim do Micka.

– Ale nie w taki wariacki sposób jak dawniej – dodała Lovey. – Nie chcę urodzić dziecka przed czasem.

Tess celowo zajęła tylne siedzenie, z dala od Micka. Powiedział, że wczorajsza noc już się nie powtórzy, ale widząc go dzisiejszego ranka, straciła wiarę w te słowa. To, co było dla niej tak pociągające kilka lat temu, wciąż na nią działało: jego szeroki i swobodny uśmiech, ironiczne spojrzenie, żartobliwe usposobienie, namiętny charakter.

O, mój Boże! Namiętność po prostu emanowała z całej postaci Micka. Właściwie to już chciała mieć ten weekend za sobą.

Zgodnie z prośbą Lovey Mick spokojnie wjechał do parku miejskiego przy Alei Joyner.

– Hej, zobaczcie. – Jim wyglądał przez okno, rozglądając się na wszystkie strony. Mick właśnie parkował samochód. – To miejsce nie zmieniło się od czasu, kiedy zebraliśmy się tutaj z okazji ślubu Johnny’ego i Babs. Te same stare huśtawki.

– Mam ochotę na konika – powiedziała Tess.

– Do tego potrzeba dwojga ludzi. – Mick uchwycił jej spojrzenie we wstecznym lusterku.

– Wiem. Zamierzam posadzić Lovey na drugim końcu, tak żeby mnie

wysoko uniosła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Tess patrzyła w lusterko. Przez chwilę przetrzymała spojrzenie Micka.

- Czy sugerujesz, że jestem gruba? – Lovey poklepała się po brzuchu.
- Nie chciałabym cię dotknąć, Lovey. Ale to jest niezaprzeczalny fakt.
- To wszystko przez Jima.

Znów się śmiali. Ale za tym śmiechem kryło się uczucie zdumienia. Każdy z siedzących w samochodzie mógł to wyczuć. Coś się kończyło i coś zaczynało. Cykl się nieustannie powtarzał. Babs wyruszyła w tajemniczą podróż do innego królestwa, podczas gdy mała istotka oczekiwała przyjścia na ten świat.

Tess patrzyła w lusterko na odbicie twarzy Flannigana i pomyślała, że całe jej życie było podróżą. Nawet kolejne małżeństwa. Sądziła, że podróż z Flanniganem potrwa najdłużej. Ale tak się nie stało. Wsiadł gdzieś po drodze. Ona jednak pojechała dalej, zabrała ze sobą kolejnego towarzysza i kontynuowała podróż. Dokąd? Po szczęście? Nie bardzo. Szczęście to nie miejsce, do którego można dotrzeć, niczym do odległego punktu na mapie. Szczęście rodziło się spontanicznie, jak dzikie fiołki wyrastające w nieoczekiwanym miejscu.

W tej chwili Tess czuła się szczęśliwa. Słońce świeciło, koszyk wypełniały smakołyki, wokół niej znajdowali się przyjaciele.

- Hejże! – krzyknęła. – Czy zamierzamy tylko siedzieć w samochodzie?
- Ależ nie. – Jim otworzył drzwi i cała gromadka wysypała się na zewnątrz.

Mick wysiadł ostatni, najbardziej roześmiany i najbardziej rozgadany. A jednak unikał bezpośredniego kontaktu z Tess.

Zauważyła to. Tłumaczyła sobie, że to mądre z jego strony. Tłumaczyła sobie, że to nie powinno ranić. Ale raniło.

Ten piknik przypominał ich stare wyprawy. Teraz było ich pięcioro, urządzali wyścigi z jajkami na łyżeczkach, bujali się na huśtawkach, grali w tenisa, jedli więcej niż powinni i bez końca plotkowali. Przez ten cały czas Tess i Flannigan omijali się z daleka, choć nie na tyle, by zauważyli to inni.

Kiedy zaczęło zmierzchać, Lovey i Jim wzięli koc i udali się w spokojniejsze miejsce, aby odpocząć przed fajerwerkami. Johnny zabrał urnę i poszedł na długi spacer. Nagle więc Tess i Flannigan zostali sami.

Mick usiadł na jednym końcu drewnianej ławki pod rozłożystym dębem, a Tess na drugim. Alejka wypełniła się żyjątkami, które wyszły ze swoich kryjówek. Mały zajaczek wyskoczył z krzaków i przycupnął obok, przeżuając młode zielone liście.

Świerszczową melodię niósł w powietrzu delikatny wietrzyk, który pojawił się wraz z nastaniem zmroku. Nad młodą sosną unosił się krąg świetlików, ozdabiając gałęzie migoczącymi, żółtymi światełkami.

Tess i Flannigan w milczeniu obserwowali ten wieczorny spektakl, dziwnie poruszeni nagłym odizolowaniem od reszty przyjaciół. Wreszcie Mick się

odezwał.

– To nie było zaplanowane.

– Wiem. Tak samo nie chcę być z tobą sama, jak ty nie chcesz przebywać ze mną.

Ta jadowita uwaga całkowicie go zaskoczyła. Przesunął się ku niej na drugi koniec ławki.

– Nie to miałem na myśli – powiedział. – Przyszło mi do głowy, że reszta może źle zrozumieć fakt, że siedzimy w takim oddaleniu.

– Jak to „źle zrozumieć”?

– Że niby mamy powód... że znów obawiamy się wzajemnej bliskości.

– To dziwne. – Przysunęła się bliżej do niego, tak że ich uda i ramiona stykały się ze sobą. – To, że kiedyś byliśmy mężem i żoną, nie przeszkadza temu, byśmy mogli zostać przyjaciółmi.

– Oczywiście. – Był zadowolony z tego, że zmrok ukrył jego uszczęśliwiony uśmiech. Chociaż dlaczego, do diabła, miałby czuć się szczęśliwy z tego powodu, że siedział obok kobiety, z którą już nie miał zamiaru się wiązać. Nie chciał tego analizować. Czuł się spokojny, a ona była, mimo wszystko, starą przyjaciółką, i o to w zasadzie chodziło.

– Więc powiedz mi, Tess... – Odwrócił się, aby zajrzeć jej w oczy. To nieprawda. Zapomniał, jak czarująco wygląda Tess w smudze wieczornego światła. Wszystko wydawało się tak delikatne. Jej ogniste włosy, żywe rumieńce, błyszczące oczy. Zbliżył dłoń do policzka Tess i wtedy przypomniał sobie, że miał jej nie dotykać.

– To komary – powiedział, wymachując ręką w powietrzu. Uśmiechnęła się. Do diabła, chyba go przejrzała. Co gorsza, zapomniał, co miał powiedzieć.

– O co chciałeś mnie zapytać, Flannigan?

– Czy już wybrałaś sobie czwartego męża?

Drgnęła. Zesztywniałe ciało wyrażało dokładnie, co czuła i bardzo dobrze potrafił to odczytać. Ale było już za późno, by odwołać uszczypliwą uwagę.

– Czy wybrałam już sobie czwartego męża? – Przeciągała każde słowo, obracając się powoli ku niemu, by ostatecznie przeszyc go swoim spojrzeniem. – Czy dobrze słyszałam, Flannigan?

Uniósł się gniewem. Czego od niego oczekiwała? Że pogratuluje jej tak wielu małżeńskich doświadczeń? Był tylko człowiekiem.

– Tak, o to właśnie pytałem.

– Czy mam przez to rozumieć, że jesteś mną zainteresowany, czy to po prostu ciekawość?

– Do diabła, Tess. Byliśmy kiedyś małżeństwem.

– Co to ma oznaczać? Twoja rola pierwszego w kolejności męża nie uprawnia cię do tego, żeby...

– Moja rola pierwszego w kolejności męża! – Czuł się coraz bardziej

rozwścieczony.

Ona podobnie. Pochylona tak blisko, że prawie dotykała jego twarzy, krzyknęła:

– Jeśli sobie dobrze przypominam, to ty mnie zostawiłeś, a nie ja ciebie.

– To nieprawda, Tess.

– Niech to diabli! Zostawiłeś po sobie liścik, Flannigan! Nędzny liścik!

– Wiedziałem, że nie zrozumiesz. Dlatego też nigdy o tym z tobą nie rozmawiałem.

– Nawet nie dałeś mi szansy na zrozumienie, kiepski bałamutniku.

– Bałamutniku! – Jego głos zabrzmiał głośnym echem, wystraszając ją. Po chwili przemówił delikatnym, miękkim tonem, który sygnalizował prawdziwe zakłopotanie: – Czy powiedziałaś „bałamutniku”?

Tess wiedziała, co nadciąga, ale pozostała niewzruszona. Od dziesięciu lat czekała na tę kłótnię. Dziesięć lat minęło jej na zadawaniu sobie pytań, kojeniu złamanego serca i kumulowaniu gniewu. Teraz chciała się od tego wszystkiego uwolnić.

– Tak właśnie powiedziałam, Flannigan.

– Czy nie wiesz – Zacisnął dłoń na jej ramieniu, a twarz nabrała dzikiego wyrazu. – Czy nie wiesz, Tess? – Pochylił się nad nią. Ich usta prawie się stykały. – Nigdy nie było innej kobiety. Nigdy nie było. Ty byłaś moją jedyną kobietą. Zawsze byłaś i zawsze... – „O mój Boże! Co ty mówisz, Flannigan” – pomyślał.

Złożył na jej ustach pocałunek, który przeszył go dreszczem rozkoszy.

„I zawsze będziesz, Tess. Zawsze” – dokończył w myślach. Poruszyła go jasność tej wizji. Nie wiedział, jak zareagować na to olśnienie. Nie przestawał jej całować.

Odpowiedź Tess pozwoliła mu się do końca zatracić. Gniew zawsze rozpałał jej pocałunki. Stawały się tym gorętsze, im bardziej była rozwścieczona. Pomyślał, że cały park zapłonie ogniem. Przecież to, co się między nimi wydarzyło, nie mogło być niczym innym, jak oślepiającym ogniem.

Tess wtuliła się w ramiona, które tak dobrze знаła. „To z przyzwyczajenia” – powiedziała sobie, trwając w pocałunku. Pierwszej miłości nie zapomina się łatwo. I na pewno nie można jej zignorować, szczególnie gdy pierwszy kochanek siedział obok w delikatnej, subtelnej ciemności letniego wieczora i trzymał ją przy sobie, niczym najcenniejszą rzecz na świecie.

Och, pragnęła jego pocałunku, potrzebowała go. Przez chwilę zdawało się, jakby podniosła się zasłona czasu i znów byli młodymi kochankami, podróżującymi razem w przyszłość.

Przesunął się tak, że nagle znalazła się na jego kolanach. Jakież to było proste – wśliznąć się na kolana Micka tak, jakby robili to jeszcze wczoraj.

Pocałunek wspinał się ku górze, coraz wyżej i wyżej, aż dotarł tam pomiędzy gwiazdy, gdzie sam już nie wystarczał. Mick przejechał ręką ku

przodowi jej bluzki, ku delikatnym guzikom.

– Och, Tess. Zawsze nam tak dobrze było ze sobą.

Dźwięk jego głosu przywiódł ją z mglistej krainy przeszłości z powrotem na parkową ławkę, z powrotem do Tess Jones, która już od dawna była z nim rozwiedziona. Kolejny raz przemykał się jedynie przez jej życie. Musiała się z tym pogodzić, gdyż nie zniosłaby ponownej rany w sercu uczynionej przez Micka.

Z trudem łapiąc oddech, odsunęła się od jego piersi i ześliznęła z kolan na drugi koniec ławki.

– Czy sądzisz, że to takie proste, Flannigan? Czy myślisz, że wystarczy, abyś kiwnął małym palcem, a znów znajdę się u twojego boku?

Flannigan również oprzytomniał. Wiedział, że niewiele brakowało, a popełniłby straszliwy błąd.

– Nie chcę, byś do mnie wróciła.

– No tak, ale z pewnością dałeś mi niezły przykład na to, że chcesz mnie z powrotem widzieć w swoim łóżku.

– To brzmi zachęcająco... Ale nie, nawet tam cię nie potrzebuję, Tess.

– Więc dlaczego? – Rozłożyła ręce, prosząc o wyjaśnienie. – Dlaczego mnie całowałeś?

– Nie broniłaś się.

– Niech cię piekło pochłonie, Flannigan.

Zanurzyła dłoń we włosach. Poczowała tę wilgoć, która pojawiała się zawsze wtedy, gdy jej temperament docierał do tak gorących stref klimatycznych, że wilgoć stawała się niezwykle gęsta; czuła prawie jej smak w ustach.

– W porządku. Przyznaję, że się nie broniłam. – Odgarnęła włosy z szyi. – Zawsze potrafiłeś doskonale całować. A wiesz, jak bardzo to lubię. Nigdy nie umiałam się oprzeć pokusie pocałunków.

Nie odpowiedział natychmiast, ale zapalił cygaro i obserwował Tess poprzez obłoki dymu. Wachlowała się ręką.

– Tess, nie planuję z tobą ponownie zaczynać.

– Możesz czuć się bezpiecznie. Miałeś już jedną okazję, Flannigan. Druga się już nie pojawi.

Patrzyli na siebie w rozjaśnionej migotaniem światełek ciemności. Oboje wspominali tę pierwszą okazję, wspominali i czuli żal w głębi serca.

Nagle Mick podniósł głowę nasłuchując.

– Słyszałaś, Tess? – Nie.

– Wydawało mi się, że słyszałem jakiś szelest między drzewami. Przypuszczam, że to moja wyobraźnia. – Przerwał na chwilę, by wypuścić kółka dymu i obserwować, jak łączą się z ognikami światełek. Po chwili odwrócił się z powrotem do Tess. – Wydaje mi się, że jestem ci coś dłużny.

– Co?

- Wyjaśnienie.
 - To niczego nie zmieni – To prawda. Ale może przynieść ulgę mojemu sumieniu. Bardzo źle się czułem po opuszczeniu ciebie bez żadnych wyjaśnień.
 - To dobrze. Mam nadzieję, że przyniosło ci to trochę bólu.
 - O tak. Zwłaszcza przez pierwsze dwa dni.
 - Dwa dni. Tylko dwa dni, Flannigan? Przez dwa tygodnie dochodziłam do siebie po twoim odejściu.
 - Zauważ, że ja nie spieszyłem z następnym romanssem.
 - Ja się nie spieszyłam. Długo błądziłam. Żyłam z Carsonem przez dwa lata, zanim go poślubiłam. A z O’Toole’em...
 - Do diabła, Tess...
 - To nie trwało długo. Tak jak z tobą.
 - Zostawili cię ci durnie?
 - Nie. To ja ich odesłałam.
 - Dobrze.
 - Dlaczego? Jakie to może mieć dla ciebie znaczenie, że ja ich odesłałam?
 - Zasługujesz na kogoś lepszego. Rozejrzała się rozmarzonym wzrokiem po alejce.
 - Miałam kogoś lepszego... kiedyś.
- Siedzieli obok siebie, a jednak w oddaleniu, jakby oboje jechali jednym pociągiem i planowali wysiąść na różnych stacjach. Zastygli w ciszy i zadumie przez tak długą chwilę, że zając ponownie odważył się wyskoczyć na alejkę.
- Tess się odezwała.
- Napisałeś: „Przepraszam, ale muszę odejść. Kochający Mick”. Dlaczego podpisałeś się: „Kochający Mick”?
 - Bo to była prawda. Powód, dla którego cię opuściłem... Bo cię kochałem.
- Podniosła się nagle z ławki i stanęła przed nim rozwścieczona, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami wspartymi na biodrach.
- Kochałeś mnie i potrafiłeś odejść, gdy spałam, bez pożegnania, bez wyjaśnienia, dlaczego odchodzisz i dokąd? To nie jest miłość, Flannigan. To egoizm.
 - Masz rację. To był egoizm. Ale mimo to kochałem cię.
- Odwróciła się i chciała odejść, ale szybko zgasił butem cygaro i dogonił ją. Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił w swoją stronę. Ujrzał twarz kipiącą gniewem.
- Nie dziwię się, że jesteś na mnie zła.
 - Czułam się dużo gorzej po tym, jak mnie zraniłeś. Ja cię chciałam zabić, Flannigan.
 - Wygląda na to, że wciąż masz takie zamiary. – Uśmiechnął się ponuro.
 - To by nie było takie głupie.
 - Och, Tess... Tess, kochanie. – Dłońmi gładził jej ramiona rozgrzane po

dniu spędzonym w pełnym słońcu.

– Odszedłem, bo musiałem odejść i nie mogłem cię zabrać ze sobą.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego nie mogłeś? Byłam twoją żoną.

– I poszłabyś ze mną ze względu na wierność.

– Poszłabym ze względu na miłość. Do diabła, kochałam cię, Mick.

– To nie byłoby w porządku, Tess... ciągnąć cię ze sobą po całym świecie, by gonić za tęczą... tęczą, o której marzyłem od dzieciństwa.

– A czy twoje odejście było uczciwym krokiem?

Nagle znów złagodniała. Kiedy Mick patrzył na nią czule swymi błękitnymi oczami, nie potrafiła się złościć. Nieważne, że kiedyś ją zranił.

– Być może nie, Tess... – Jeszcze raz przesunął palcami po jej skórze i cofnął rękę. – Być może to nie było w porządku, ale inaczej postąpić nie mogłem.

Oddalił się na parę kroków. Tess kopnęła leżący na ziemi patyk. Łzy napłynęły jej do oczu, ale natychmiast je otarła.

– Do diabła, już raz cię oplakiwałam, Micku Flanniganie. Drugi raz nie będę tego robić. Nigdy.

Wróciła do ławki i usiadła. Delikatny zapach cygara wciąż jeszcze unosił się w powietrzu. Sięgnęła po leżący na ziemi niedopałek.

– Po twoim odejściu znalazłam coś podobnego. Na wpół wypalone cygaro. Pożegnalny prezent.

Zamyśliła się przez chwilę pochylona nad cygarem. Na jej ręce usiadł świetlik. Spojrzała na małego robaczka. Był czarno-pomarańczowy, miał złożone skrzydełka i świecący ogonek. Jego dolna część oświetlała skórę Tess złotym płomykiem.

– Mówi się, że świetliki przynoszą ludziom szczęście. Odfrunął, iskrząc swym światełkiem w ciemności.

– Zawsze wierzyłam w szczęście. – Wciąż trzymała w dłoni cygaro. Jednym ruchem rzuciła je na ziemię. – Ale nie w szczęście z Mickiem Flanniganem.

Podniosła się z ławki i odeszła, by odszukać Jima i Lovey.

Z ukrycia, za pobliskim drzewem obserwował ją stary człowiek. Patrzył i przysłuchiwał się przez chwilę, wystarczająco długo, by zrozumieć, co się dzieje pomiędzy Tess a Flanniganem.

Kiedy tylko odeszła na tyle, że nie mogła go już słyszeć, zaśpiewał: „Pewnego słodkiego dnia spotkamy się na tym cudownym brzegu”.

Gdy Tess zniknęła mu z pola widzenia, stary człowiek przestał śpiewać i się zaśmiał.

– Mam nadzieję – oznajmił drzewom – że ten robaczek świętojański przyniesie jej odrobinę szczęścia.

ROZDZIAŁ 4

Flannigan zajął się fajerwerkami.

Tess siedziała na kocu obok Lovey i Jima, patrzyła na niego i rozmyślała, że było słuszne, iż to właśnie Flannigan, a nie kto inny, podpałał fajerwerki i wysyłał je w kierunku nieba. Jasne ogony czerwonych, żółtych i zielonych płomieni. „Flannigan zawsze był odpowiedzialny za ogień – różnego rodzaju” – pomyślała rozgoryczona.

Próbowała zapomnieć o tych ogniach na parkowej ławce i ciężko westchnęła. O mało nie straciłaby wtedy kontroli nad sytuacją.

– Co ci jest, Tess? – spytała Lovey.

– Chyba zrobiło mi się smutno.

– Mnie również. Mimo że miała to być pożegnalna zabawa dla Babs, nic na to nie poradzę, ale czuję smutek i osamotnienie. Brakuje mi jej.

– Mnie również.

Tess poczuła się winna. Jej smutek dotyczył nie tyle Babs, co jej samej. Wydawało się, że znów traciła Micka.

Oczywiście to nie miało sensu. Ale zawsze wybaczała sobie odrobinę głupoty. Kobieta nie może zachowywać się rozsądnie i racjonalnie, kiedy odchodzi od niej najlepsza przyjaciółka, a pierwszy kochanek zachowuje się jak lew, dziki zwierz, który się podkrada, wyskakuje z zarośli w najmniej oczekiwanym momencie i długo krąży, zanim dojrzewa do ostatecznego skoku.

Aż drgnęła.

– Wiem. – Lovey ścisnęła jej rękę. – Wiem, co czujesz. Jakby ból przeszył ci serce.

Tess słuchała pocieszeń Lovey. Mimo wszystko nie należało lekceważyć serdecznego, przyjacielskiego uścisku.

Po fajerwerkach zabrali rzeczy i wyruszyli z powrotem do domu, dużo spokojniejsi, niż kiedy tu przybywali. Flannigan znów prowadził. Tess jakimś trafem znalazła się na przednim siedzeniu, wciśnięta między Micka a Johnny'ego tak, że nie wiedziała, gdzie są granice między ich stłoczonymi ciałami. Obojętne jej były nogi Johnny'ego. Ale nogi Flannigana! Bardziej przypominały płomienie – czuła ich żar pod swoją skórą.

Flannigan jakby niczego nie zauważał. Jego dłonie swobodnie spoczywały na kierownicy. Od czasu do czasu odwracał głowę i lekko się pochylał, omijając ją, gdy rozmawiali z Johnnym. Nie miała pojęcia, o czym mówili. To jej nie obchodziło. Ważne było tylko to, żeby wreszcie wydostać się z samochodu.

W końcu dotarli do domu Johnny'ego. Każdy poszedł w swoją stronę, by zmyć całodzienny brud, a potem zgromadzili się przy kolacji.

Johnny zamówił wcześniej chińskie potrawy. Leżały na tacach w jadalni.

Stał też projektor filmowy. Johnny zawsze był ogromnym zapaleńcem, nigdy nie rozstającym się z dobrą kamerą.

Flannigan siedział w przeciwnym niż Tess kącie pokoju, z nogami wyciągniętymi na stołku od fortepianu i Oglądał klatkę po klatce utrwalonych chwil ich szkolnego życia. Oto Tess biegnąca boso przez szkolne podwórko, wymachująca egzaminacyjną kartką. Kiedy kamera zrobiła zbliżenie, usłyszeli:

– Ten stary piernik! Nie pozwala na odrobinę polotu!

Wszyscy w pokoju śmiali się, wspominając stare dzieje. Tess napisała wówczas swą popisową pracę na temat podważania zamków.

– No cóż. Powiedział, że chce opis zawierający dowolną instrukcję – mówiła młoda Tess na filmie. – Skąd mogłam przypuszczać, że oczekiwał czegoś tak nudnego jak instruktaż przyszywania guzików?

Johnny zatrzymał film i zwrócił się do Tess, która siedziała z podkurczonymi nogami na stosie czerwonych poduszek.

– Hej, Tess. Kto ci teraz przyszywa guziki?

– Szukam kogoś odpowiedniego. Jeszcze nie znalazłam, ale to tylko kwestia czasu.

Nawet nie spojrzała w stronę Flannigana. Sięgnął po cygaro i wcisnął je sobie w usta nie zapalając. Potrzebował zacisnąć na czymś zęby.

Johnny włączył z powrotem film. Teraz oglądali scenę z pożegnalnego balu absolwentów. Lovey i Jim, czule wpatrzeni w siebie. Tess i Flannigan, wtuleni w tańcu.

Jeszcze raz zagryzł zimne cygaro. O Boże, pamiętał, co wówczas odczuwał. Taniec z nią przypominał kołysanie. Byli tak blisko siebie, że na swej piersi czuł jej bijące mocno serce. Obejmowała go za szyję; jedną ręką gładziła skórę, drugą – pieściła włosy.

Film to wszystko utrwalił. Chciał teraz na nią spojrzeć. Chciał zobaczyć jej twarz, ale nie miał odwagi odwrócić głowy. Zacisnął więc cygaro między zębami i wpatrywał się w ekran.

Scena z tańcem przeciągała się tak długo, że Flannigan omal nie rozgryzł cygara. Następne ujęcia wcale nie przyniosły mu ulgi. Johnny sfilmował przyjaciół nad jeziorem Tiak-O'khata. Dziewczyny biegały po plaży w bikini i jadły lody, które kolorowymi stróżkami ściekały im po brodach. Tess wypełniała mu cały ekran, czuł ją wszystkimi zmysłami. Nie dostrzegał nikogo innego, tylko Tess.

Gdyby tylko mógł wyjść z pokoju i nie urazić tym Johnny'ego, na pewno by to zrobił. Ale nie mógł zranić swego przyjaciela, mimo że oglądanie starych scen wywoływało w nim tak bolesne wspomnienia.

O mój Boże, jak oni się kochali z tyłu jego starego karawanu! Jak się śmiali. Gdy zamykał oczy, wciąż słyszał, jak brzmiał jej śmiech, czasem nisko i ochryple, innym razem wysoko i srebrzyście, niczym dzwony niedzielnego

poranka.

Z zamkniętymi oczami przywoływał ten błogi obraz. Słyszał jej śmiech odbijający się echem przeszłości. Jutro wsiądą w samolot i polecą wysoko, by pod niebem rozrzucić prochy Babs. A później każdy pójdzie w swoją stronę. Tess wróci do swojego życia piosenkarki w Chicago, a on pójdzie... Bóg wie gdzie.

Kiedy skończyli oglądać film, przyjaciele rozeszli się do swoich sypialni.

Tess wyszła pierwsza. Flannigan pomyślał, że chciała uniknąć jego towarzystwa. Czuł się podobnie, ale prawdopodobnie z innych względów. Miał ochotę rzucić się na kolana u jej stóp i błagać o przebaczenie. Chciał cofnąć czas i naprawić całe zło, które wyrządził swej najukochańszej kobiecie. Jedynej, którą w życiu naprawdę kochał. Jedynej, którą będzie kiedykolwiek kochał. Gdyby mógł cofnąć czas, nigdy nie doprowadziłby do tego małżeństwa. To było egoizmem z jego strony wchodzić w trwałe związki, gdy tak naprawdę nie wiedział, co w nim siedzi i do czego dąży.

Szkoda, że rozsądek nie towarzyszył mu w młodości. Pojawił się niestety za późno, jak świąteczna przesyłka przetrzymana na poczcie do czerwca. Flannigan siedział na krześle i palił cygaro. Zatopiony w tych mądrych myślach patrzył na wychodzących z pokoju przyjaciół.

Mimo błogosławionego stanu żony, Jim niósł Lovey po schodach na górę, lekko uginając się pod jej ciężarem.

Johnny wziął urnę i zwrócił się do Flannigana:

– Idziesz, Mick? – Jeszcze nie.

– Poruszyło cię, prawda? – Co?

– To, jak kiedyś było między tobą a Tess. Mick nie potrafił oszukać starego przyjaciela.

– Trochę – powiedział. – Ale mi to przejdzie.

– Może nie warto, by przechodziło. – Johnny przytulił urnę do piersi. – Wiem, że to truizm, ale życie jest krótkie, zbyt krótkie, aby spędzać je samotnie, jeśli się kogoś kocha. – Jego uśmiech był smutny. – Czy wciąż ją kochasz, Mick?

– Nigdy nie przestałem.

– Zatem idź do niej. Nic by mnie tak nie ucieszyło, jak wasz ponowny związek – ostatni upominek od Babs.

– To nie takie proste, Johnny.

– Przecież wiem – westchnął Johnny. – Jestem właśnie w sentymentalno-nostalgicznym nastroju. Smutno mi ze względu na mnie i Babs, smutno mi z powodu twojego i Tess. – Uścisnął ramię Micka. – Dobranoc, Mick.

Johnny nie zatrzymał się w hallu przy stoliczku, na którym zostawiał Babs, ale wziął ją ze sobą na górę. Mick poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Lecz powstrzymał łzy. Prześliznął się przez dom i wyszedł tylnymi drzwiami do pachnącego letnimi kwiatami ogrodu.

Oparł się o pień wielkiego drzewa magnolii i zapalił cygaro. Spojrzał do

góry w okna sypialni Tess. Widział jej kontury zarysowujące się na tle zasłon. Pojawiły się na krótko, po czym zniknęły, by po chwili znów ukazać się jego oczom. Trwało to przez pewien czas. Spacerowała.

Zastanawiał się, czy był przyczyną tego niepokoju, tego samego niepokoju, który nie pozwalał mu spać. Stał w ciemności wpatrzony w jej okno. Wreszcie zgasła światło i poszła do łóżka.

– Pomyśl o mnie, Tess... Pomyśl o mnie z życzliwością. Opuścił nocne schronienie w cieniu bujnej magnolii, usiadł pod wierzbą i zaczął się delikatnie kołysać. Wypalone cygaro sparzyło mu koniuszki palców.

Niespodziewanie w jednym momencie pojawiły się światła w wielu oknach. O Boże. Coś się stało. Flannigan cisnął niedopałek na ziemię i zaczął biec. A jeśli coś się stało z Tess? To na pewno Tess, bo ona jedyna kręciła się jeszcze o tak późnej porze. Nigdy nie była ostrożna. Zawsze nierozważna i nerwowa.

Myśli biegły szybciej niż nogi. A jeśli Tess potknęła się i spadła ze schodów? Zawsze ciągnęła coś za sobą. Te wszystkie przekłete pióra.

Pchnął tylne drzwi wejściowe, ale w kuchni było ciemno i nic nie widział. Słyszał kroki i głosy nawołujących się na schodach ludzi.

– Tess – krzyknął – Tess.

Pojawiła się na szczycie schodów, ciągnąc za sobą purpurowy szlafroczek. Odetchnął z ulgą, ale ogarnął go gniew.

– Załóż to na siebie, zanim się potkniesz i zabijesz na tych schodach – wrzasnął, wbiegając na górę.

– Co ci się stało? – Zdążyła zaledwie wsunąć jedną rękę do rękawa, gdy stał już na samym szczycie schodów. – Zwariowałeś?

Nie odpowiedział, jedynie otulił szlafroczkami jej ramiona i wsadził drugą rękę do rękawa.

– Co ty robisz?

– Dbam o ciebie.

– Sama dbałam o siebie przez dwadzieścia lat. Nie potrzebuję teraz twojej pomocy.

– Wydaje mi się, że jednak potrzebujesz, spacerując po domu o tak późnej porze, pijąc szampana i ciągnąc za sobą te wszystkie pióra. – Podsunął jej szlafrok pod szyję i przytrzymał tak przez chwilę. – Obawiam się, że kiedyś zadusisz się w tych piórach na śmierć albo też zapłaczesz się w nie i spadniesz ze schodów, zabijając się na miejscu. Gwarantuję.

– Puść mnie.

Nagle pomyślał, że robi z siebie durnia. Zawsze wszystko wyolbrzymiał, kiedy była obok niego.

– Cholera. – Puścił ją i odszedł o krok.

– Tess – krzyknął Johnny, wystawiając głowę zza drzwi sypialni. – Chodź tu szybko. Jesteś mi potrzebna. – I zniknął.

- Co się dzieje? – zapytał Flannigan.
- Lovey rodzi. Nie stój tutaj z otwartą gębą. Możesz się do czegoś przydać.
- Co mam robić?
- Przede wszystkim zajmij się Jimem, żebyśmy mogli z Johnnym odebrać

dziecko. Dprowadza nas do szafu.

Tess zniknęła za drzwiami sypialni Lovey, w których po chwili ukazał się Jim. Jego włosy były w nieładzie, a oczy miały dziki wyraz. Trzymał się ściany niczym niewidomy.

Mick wziął go pod ramię i poprowadził w stronę schodów.

– Wszystko będzie dobrze, Jim.

Jim osunął się i usiadł na górnym schodku.

– To za wcześnie, Mick. Przynajmniej dwa tygodnie za wcześnie.

– Johnny jest lekarzem. Zaopiekuje się Lovey.

– To się stało tak szybko. Nawet nie było czasu, by ją zabrać do szpitala. A jeśli coś się stanie Lovey i dziecku?

– Uspokój się, Jim. Wszystko się ułoży.

Jim siedział zeszywniały na schodach, a Mick wcale nie czuł się lepiej. „Dziecko – pomyślał. – To piękne, że dziecko przychodzi na świat w tym domu. I Tess pomaga przy jego narodzinach”. Przez mgłę wyobraził sobie Tess wnoszącą dziecko w nowy świat.

Czas się przeciągał, gdy tak czekali. Trzydzieści minut zdawało się trwać trzy godziny. Wreszcie Johnny pojawił się w drzwiach sypialni.

– Możesz teraz wejść, Jim. Masz piękną, zdrową córeczkę. Lovey czuje się świetnie. – Johnny otworzył szeroko drzwi. – Może ty też wejdziesz, Mick?

Mick został w tyle, niezdecydowany, czy uczestniczyć w tym intymnym rodzinnym zgromadzeniu. Ostatecznie jednak wszedł do sypialni.

Tess stała obok łóżka, trzymając dziecko na ręku. Pochyliła się tak nisko, że włosy tworzyły ognistą zasłonę wokół dziecięcej główki. Malutka rączka zacisnęła się na palcu Tess. Jej uśmiech miał tak łagodny i jasny wyraz, że Mick pomyślał, iż sami aniołowie opromienili twarz Tess łaską.

Tess z dzieckiem tworzyli widok, jakiego jeszcze nie widział. Zapomniał nawet otrzeć łzy z oczu. Kiedy tak stał przy wejściu, wpatrzony w nią jak zakłęty, Tess podniosła do góry głowę i spojrzała na Micka. Mimo że wciąż się uśmiechała, jej oczy również błyszczały i Mickowi wydawało się, że dostrzegł łzy na policzkach.

– Chodź, popatrz na nią – powiedziała łagodnie Tess. – Jest śliczna.

Mick przeszedł na palcach przez pokój. Znów poczuła, jak go mocno kocha. Wyglądał tak zabójczo niewinnie: duży, niezdarny mężczyzna usiłujący stąpać tak delikatnie, jak tylko możliwe. Gdy stanął obok i położył swą dużą dłoń na małym policzku dziecka, Tess miała ochotę zapłakać, prawdziwie zapłakać. Nie tym kobiecym szlochem, lecz pełnym, głośnym rykiem złamanego serca.

– Jest taka mała – wyszeptał Mick. Jim, który siedział na brzegu łóżka, trzymając Lovey za rękę, spojrział w górę i roześmiał się.

– Ona urośnie.

Johnny wszedł do pokoju, niosąc urnę i zatrzymał się u stóp łóżka Lovey.

– Chcemy wam coś powiedzieć – rzekła Lovey, ściskając męża za rękę. – Czy możesz mi podać dziecko, Tess?

Tess pochyliła się nad łóżkiem i ułożyła maleństwo w ramionach Lovey. Dziecko ziewając otworzyło drobniutką jak pączek różę buzię i machnęło w powietrzu piąstką.

– Od lat – zaczęła Lovey – ta garstka przyjaciół znaczy dla nas więcej niż bogactwo, prestiż czy cokolwiek innego, co posiadamy. Przyjaźń jest darem serca. To spontaniczna troska i wspólne przeżycia, które po latach coraz bardziej się docenia. – Lovey zamilkła, wpatrując się czule w dziecko. Po chwili podniosła głowę i uśmiechnęła się do przyjaciół. – Jedno z nas wyruszyło w podróż, którą już musi odbyć samotnie. W imię jej pamięci i przez szacunek dla niej chcemy nazwać to dziecko Babs.

Mick chwycił za rękę Tess, ona – Johnny’ego, ten z kolei – Jima, a Jim uścisnął rękę Lovey. Byli w komplecie.

– Jestem wzruszony – powiedział Johnny, z trudem powstrzymując łzy. – Nie sędzę, żeby cokolwiek bardziej mogło uradować Babs.

Johnny, Tess i Mick kręcili się jeszcze przez chwilę, a następnie cicho wyszli z pokoju. Johnny oddalił się z urną do swej sypialni. Mick i Tess stali naprzeciw siebie w hallu.

– Chyba już teraz nie zasnę – wyszeptała.

– Ja już wcześniej nie mogłem spać. – Mick wziął ją pod ramię i poprowadził do kuchni. Podsunął jej krzesło, a sam zaczął szperać w szafkach.

– Whisky – powiedział, wyciągając dłoń z butelką. – Alkohol dla mężczyzn. Masz ochotę?

– Czemu nie?

Mick napełnił dwie szklanki i usiadł obok. Przez chwilę pili w milczeniu, przyglądając się sobie znad krawędzi szklanek.

– Nie mogę przestać myśleć o tym dziecku – odezwała się po dłuższej chwili.

– Ani ja.

– Jest taka śliczna.

– Tak piękna jak pierwsze wiosenne kwiaty.

– To wspaniałe, Mick.

Znowu zaległa między nimi cisza, tym razem unikali wzajemnych spojrzeń. Kiedy opróżnili szklanki, Mick napełnił je ponownie.

– Zamierzaliśmy mieć dzieci, Tess. Ty i ja.

– To nie moja wina, że ich nie mamy. To ty odszedłeś.

– Znowu do tego wracasz?
– Dlaczego nie? Musisz wiedzieć, Micku Flanniganie, że pewnych rzeczy kobieta nie może dokonać sama.
– Cóż za wyznanie, Tess Flannigan.
– Nie tak się nazywam.
– O, przepraszam, Tess Jones Flannigan Carson O’Toole. Czy nikogo nie pomiąłem?

Tak łatwo i szybko potrafili wywołać w sobie gniew, jak i wzbudzić falę namiętności. Teraz, siedząc tak blisko siebie, znów znaleźli się na wojennej ścieżce.

Tess postawiła szklankę na stole, nawet na chwilę nie odrywając oczu od Flannigana.

– Flannigan, czasem zachowujesz się jak skurwysyn.
– To prawda. – Szklanka zabręczała, gdy stawiał ją obok. – Nigdy nie widziałem mojej matki. Panie, świeć nad jej duszą. I nawet nie wiem, czy miałem ojca. Prawdopodobnie począłem się z szatana. To niezłe dziedzictwo dla dziecka, nieprawdaż?

– O Boże, Mick. – Chciało jej się płakać. Wyciągnęła rękę i czule pogłaskała go po policzku. – Przepraszam.

Przytulił jej dłoń.

– Ile razy będziemy jeszcze wymawiać to słowo do końca weekendu?
– Nie wiem. Zdaje mi się, że my nieustannie stwarzamy potrzebę wzajemnych przeprosin. Dlaczego tak jest, Mick?

– Och... Tess. – Przytulił ich złączone dłonie do policzka Tess i trzymał je tak, podczas gdy świerszcze odgrywały nocne serenady, a księżyc spacerował po niebie.

Flannigan i Tess badali swe spojrzenia w poszukiwaniu prawdy, ale ciągle zdawała wymykać się im z pola widzenia. W końcu Mick pochylił się i odcisnął na jej czole czuły pocałunek.

– Tak bardzo cię przepraszam za całe zło, które ci wyrządziłem, Tess, kochanie.

– Byłeś tak młody – wyszeptała. – Tak młody. – I tak zakochany.

– Tak. To też.

Wziął Tess na ręce. Oparła głowę na jego piersi. „To takie miłe uczucie” – pomyślała. Czowała się tak dobrze w ramionach Micka.

– Zaniosem cię do łóżka. Jesteś zmęczona.

– Dziękuję.

Gdy mijali kuchenne drzwi, sięgnęła ręką, by wyłączyć światło.

– Czy widzisz w ciemności, Mick?

– Mam płomień, który oświetla mi drogę – twoje włosy. – Schylił się i wtulił w nie twarz. – W świetle księżycy wyglądają wyjątkowo pięknie.

Przeszli cicho przez jadalnię na schody i zaczęli długą wspinaczkę na samą górę. Buty Micka wybijały cichy rytm na wyściełanych dywanem schodach, rytm równy uderzeniom jej serca. Nie wiedziała, dokąd ją prowadzi – do jej sypialni czy do swojej. To nie miało żadnego znaczenia. Nie tego wieczora. Przeznaczenie zesłało ich do Tupelo, a przypadek rzucił ją w te ramiona. Gdyby nie dziecko, whisky i przeszłość, nie byłiby tutaj na schodach z blaskiem księżyca rozświetlającym im drogę na górę.

Tess przymknęła oczy i wtuliła twarz w jego koszulę. Wszystkie przyjemne zapachy dnia mieszały się w tym ubraniu – woń trawy, na której leżał z kanapką w rękę, aromat czekolady, do której wpadł mu kawałek ciasta, słodki zapach dymu cygara, a nawet zdawał się być przesiąknięty ostrą, żywą wonią słonecznego światła.

Kiedy dotarli na szczyt schodów, Mick się zawahał, po czym zdecydowanie skierował się do pokoju Tess. Wniósł ją do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Oto i jesteśmy.

Otworzyła oczy. Księżyc rzucał smugi światła na łóżko.

– Pamiętasz, jak się pierwszy raz kochaliśmy, Flannigan?

– Nigdy tego nie zapomnę.

– Księżyc świecił podobnie jak teraz.

– Było lato – powiedział.

– Miałaś tremę.

– Byłem pełen odwagi, to ty miałaś tremę.

– Udawałam. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że jestem łatwą dziewczyną.

Uśmiechnął się.

– Nigdy nie było z tobą łatwo, zawsze przebiegła.

– Na tym polega mój urok.

– To prawda, Tess, kochanie.

Skierował się w stronę łóżka, ale zatrzymał się na środku pokoju. Przytuliła obie dłonie do jego policzków.

– Pocałuj mnie, Flannigan. Tylko raz.

– Jeden raz nigdy nam nie wystarczał, Tess.

Kiedy pochylał nad nią swą twarz, zdawało się, że czas stanął w miejscu. Usta zwarły się i ogarnęło ich niebiańskie uczucie. Mocno obejmowała ramiona Micka, on zaś tulił ją do piersi. Zanurzył jedną rękę w jej włosach, ona przesunęła dłoń po plecach otulonych koszulą. Włosy Tess były pachnące, jego skóra – ciepła.

– Tess... moja Tess – szeptał.

– Flannigan... najukochańszy.

Palce Tess pieściły mu skórę, poczuł dreszczyk rozkoszy.

– Jesteś pokusą, której mężczyzna nie może się oprzeć. Zaczarowałaś

mnie, Tess.

– Wart jesteś każdej magii.

Usta ponownie zwały się w pocałunku, kosztując nektaru bogów. Powoli, lecz stanowczo skierował się w stronę łóżka.

ROZDZIAŁ 5

Materac ugiął się pod ich ciężarem. Flannigan ułożył ją w poprzek łóżka, tak jak to zwykł robić kiedyś. Włosy Tess, rozsypane na poduszce i przypominające ognisty wachlarz oraz jedwabną koszulę otulającą jej ciało, oświetlała jasna, miękka smuga księżycowej latarni. Przyklęknął obok i pochylił się, dotykając jedną ręką jej uda.

– Kiedy tak na ciebie patrzę, Tess, to myślę, że jestem prawdziwym durniem.

– Nigdy nim nie byłeś. Tyle że jesteś bardzo ostrożny. Obserwowała łuki jego brwi, kształt kości policzkowych, cudowny zarys pełnych ust.

– Jest tak dobrze. – Westchnął, przymykając oczy. – Mógłbym zasnąć, leżąc obok ciebie na materacu i czując twoje dłonie na twarzy.

– Zasnąć, Flannigan?

– Między innymi.

Pozostał tak jeszcze przez chwilę z ręką na jej udzie, wtulony w ciepło kobiecych dłoni. Pomyślał, że jest egoistą, doznając takiej przyjemności i wiedząc, że nie może dać nic w zamian. Ale czuł się zaszczycony. Nieczęsto mężczyzna mógł leżeć na łóżku takiej kobiety jak Tess.

– Kusisz mnie, bym pozostał dłużej, Tess.

– Kusisz mnie, bym o to poprosiła.

Podniósł się szybko, aby nie mieć czasu na zmianę decyzji. Spoglądając na nią, uśmiechnął się w smutku i zadumie.

– Nie potrafiłbym cię już nigdy skrzywdzić, Tess. Zbyt wiele dla mnie znaczysz.

– Właściwie to jestem ci za to wdzięczna. – Sięgnęła po drugą poduszkę, podsuwając ją sobie pod głowę tak, aby go lepiej widzieć. – Jednak poproszę cię o jeszcze jedną, drobną przysługę.

– Słucham cię. Będzie spełniona.

– Pocałuj mnie na dobranoc, Flannigan. A potem szybko się oddal.

Pochylił się nad Tess i czule objął twarz. Później obdarzył ją pocałunkiem, który poruszył w jej sercu znaną melodię. Był delikatny, słodki i pieśczośliwy. I oznaczał pożegnanie. Już teraz czuła samotność rozstania.

Wreszcie się odsunął. Spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju. W zasadzie właśnie o to go prosiła. Kiedy zamknęła za nim drzwi, żałowała, że nie powiedziała, by został. Lecz jeśli uległby pokusie, to co? Na pewno by się cudownie kochali. Spędziliby całą noc w swoich ramionach. Ale gdy nadszedłby ranek... Co by się wówczas zdarzyło?

Rzuciła jedną z poduszek w drugi kąt łóżka i położyła głowę na pozostałej. Te marzenia były szalone. Zasnęła zapominając, że nie zdjęła pantofli.

Obudził ją płacz dziecka. Odgarnęła z twarzy włosy i zerknęła na stojący obok łóżka zegarek. Aby jednak odczytać godzinę, musiała najpierw odsunąć O'Toole'a, który siedział z ogonem owiniętym wokół tarczy zegarka.

Szósta. Nie wstawała tak wcześnie od czasów, kiedy ciotka Bertha wyrывała ją z łóżka o tej porze, aby szykowała się do szkoły:

– *Przecież jeszcze dwie godziny do lekcji – narzekała każdego ranka.*

Ale ciotka Bertha zawsze powtarzała:

– *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.*

– *Ale mnie nic nie potrzeba – odpowiadała natychmiast czekając, aż ciotka powtórzy kolejny raz, że prawdziwe damy nie powinny dyskutować ze starszymi* Tess z powrotem położyła się do łóżka, ale dziecko ponownie zapłakało. Teraz już była rozbudzona. To ciekawe, że w Chicago mógł obudzić ją tylko przejeżdżający pociąg towarowy, a tu w Tupelo samo kwilenie niemowlęcia potrafiło wytrącić ją z głębokiego snu.

Zarzuciła szlafrok na ramiona, odszukała zsunięte w czasie snu pantofle; znalazła je pod kołdrą. Pobiegła do sypialni Lovey.

Lovey siedziała, tuląc zapłakane dziecko, a Jim spał na składanym łóżku, które dzień wcześniej wyciągnął ze stojącej w przedpokoju szafy.

– Czy coś się stało?

– Nie. Ma sucho, jest nakarmiona i nie płacze też z bólu. Myślę, że czuje się samotna. To chyba wieczny atrybut ludzkiej kondycji. – Lovey uśmiechnęła się do Tess i zaprosiła do sypialni: – Chodź do nas w odwiedziny.

Tess weszła na palcach.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Ja wiem, że opiekowaliśmy się wami wczoraj w nocy... ale czytałam, że szpital chroni niemowlęta od bakterii i tak dalej.

– Odizolowanie to dużo większe zagrożenie niż bakterie. Uwierz mi. Oboje z Jimem twierdzimy, że wspólna więź znaczy więcej niż przezorność.

Tess usiadła na brzegu łóżka, wpatrując się w niemowlę.

– Jest tak delikatna. Czy nie obawiasz się, że możesz jej coś zrobić?

– Niemowlętom nic się stać nie może, jeśli trzyma się je blisko ciała, tak aby nie miały wrażeń, że spadają, i jeśli ostrożnie podtrzymuje się im główkę. – Dojrzała w oczach Tess prawdziwą tęsknotę.

– Czy chcesz ją potrzymać?

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

Ułożyła sztywno ręce, na których Lovey umieściła niemowlę.

Maleńka Babs wciąż pochlipywała i robiła nieszczęśliwe minki, ta zmiana pozycji wcale jej nie ucieszyła. Zapłakała jeszcze głośniej.

– Co mam teraz robić? – Tess poczuła się prawdziwie przestraszona.

– Spróbuj z nią pospacerować i coś jej zaśpiewaj. Niemowlęta kochają brzmienie ludzkiego głosu.

Tess wstała i zaczęła kołysać dziecko, początkowo niezdarnie, ale po chwili, kiedy wyczuła rytm, z coraz większą pewnością. Zanuciła pewną irlandzką kołysankę, której nauczyła się kilka lat temu, podczas pierwszej randki z Flanniganem.

Dziecko natychmiast się uspokoiło. Wplatając małą rączkę w długi kosmyk kasztanowych włosów Tess, wpatrywało się w nową piastunkę.

– Myślę, że mnie polubiła.

– Lubi brzmienie twego głosu. A kto by nie lubił? Masz głos anioła. – Lovey osunęła się z powrotem na poduszki.

– Na pewno czujesz się bardzo zmęczona.

– Bardziej niż powinnam. Przypuszczam, że to mój wiek. Kiedy urodziło się nasze ostatnie dziecko, byłam dużo młodsza.

– Jak ci mogę pomóc?

– Jeśli przez chwilę zajmiesz się małą Babs, utnę sobie krótką drzemkę.

Tess wyglądała na przerażoną i Lovey się zaśmiała.

– Na dole widziałam bujany fotel. Będzie ci na nim dużo łatwiej, Tess.

– Chodźmy więc, maluchu. Powiedz mamusi dobranoc i schodzimy na dół po prawdziwą przygodę na starym bujanym fotelu. – Tess uśmiechnęła się do Lovey.

Mick leżał wyciągnięty na wyściełanym ręcznikiem dnie żagłówki, a obok siedziała Tess, śpiewając i czesząc mokre włosy. To była jedna z jej ulubionych piosenek: „Nie mogę przestać kochać tego człowieka”. Piękny głos ukołysał go do stanu półsnu, a łódka bujała się w jedną i drugą stronę. Nagle śpiew stał się wyraźniejszy. Ocknął się, nasłuchując słów.

Tess śpiewała o smutku po rozstaniu z kochankiem i o radości po jego powrocie i Mick wiedział, że śpiewa dla niego.

Otworzył oczy i podniósł się na łokciu. Nie leżał wcale w żagłównie, znajdował się w domu Johnny’ego pod białą pościelą oplątaną wokół jego nagiego ciała. Ale śpiew był prawdziwy. Głos Tess dobiegał z dołu, klarowny jak letni dzień.

Mick włożył szorty i dzinsy i zszedł po schodach. Kiedy znalazł się na dole, przycupnął na ostatnim schodku. Tess siedziała na bujanym fotelu, z dzieckiem Lovey na rękę i śpiewała. To był zbyt piękny widok, by go zakłócać.

Mick patrzył, słuchał i nie mógł wyjść z zachwyty. A gdyby Tess trzymała ich dziecko? Gdyby śpiewała bluesowe kołysanki małej dziewczynce o kasztanowych włosach i błękitnych oczach? Mick wiedział, jak by się nazywała. Jenny. To imię wybrali wspólnie wiele lat temu.

Smutek napłynął mu do serca na myśl, co utracił. Siedział na dolnym stopniu, patrzył, jak Tess kołysze dziecko Lovey i tęsknił za Jenny.

– Powiedz mi, gdzie jesteś, Jenny, moja dziewczynko? – zapytał delikatnie.

Czy była tam w górze między aniołami płacząc, że on i Tess nie pozwolili jej przyjść na ten świat? Czy marzyła o truskawkowych lodach, przejażdżkach kucykiem, puszystych misiach i wielkich przygodach u boku taty, gdy niesiona wysoko na jego ramionach nie posiadałaby się z radości, gdy pokazywałby jej różne zwierzęta w zoo albo gwiazdy na niebie czy też świetliki letnim wieczorem.

Podniósł się, odszedł od schodów i stanął za bujanym fotelem. Tess zwolniła kołysanie i spojrzała w górę przez ramię. Oczy ożywiły się, lecz nie przestawała śpiewać. Pochyliwszy się nad oparciem fotela, zauważył, że niemowlę było już prawie uśpione.

Przeszedł na palcach wokół fotela i usiadł naprzeciw na sofie z nagą stopą wspartą na kolanie.

– Usłyszałem, jak śpiewasz – powiedział cicho, aby nie obudzić dziecka.

– Chwilowo opiekuję się maleństwem.

– Wyglądasz, jakbyś była do tego stworzona.

– Nie jestem tego pewna. Trochę boję się o to małe zawiniątko.

Sam był trochę w strachu, ale się do tego nie przyznał. Patrzył na kołyszącą się Tess i w końcu zebrał w sobie wystarczająco dużo odwagi, by zapytać:

– Czy sądzisz, że nie miałyby nic przeciwko temu, bym ją przez chwilę potrzymał?

– Poczekaj, zapytam. – Tess pochyliła się nad śpiącym niemowlęciem. – Maleńka, jest tutaj taki duży mężczyzna, siedzi na sofie i bardzo chce cię potrzymać. Myślę, że to dobry człowiek, ale nie chciałabym decydować bez ciebie.

Mała Babs ziewnęła i przymknęła niebieskie oczy. Tess uśmiechnęła się do Micka.

– Myślę, że się zgadza.

Tess wstała i Mick zbliżył się do fotela. Przekazali sobie dziecko z takim namaszczeniem, jakby prowadzili światowe negocjacje pokojowe. Kiedy Mick przejął niemowlę w swoje ręce, Tess wciąż podtrzymywała Babs od dołu.

– Tak jakby trochę była wykrzywiona, Mick.

– Zaraz to poprawię. – Przysunął dziecko bliżej piersi i w trakcie tych niezdarnych działań przypadkowo objął też rękę Tess. Mimo skrępowania nie cofnęła dłoni.

Spojrzał na jej zarumienioną twarz i się uśmiechnął.

– To piastowanie dziecka ma swoje przyjemne strony. Nie wiem, która z was jest miłszą istotką, ty czy ona.

– Wciąż zachwycasz swym irlandzkim wdziękiem.

– Tylko przy tobie, Tess. Zawsze wydobywasz ze mnie mój cały urok.

Śmiejąc się Tess usiadła na sofie i obserwowała, jak Mick zapoznawał się z małą Babs. Nisko pochylony jedną dłonią dotykał jej drobniutkiej twarzyczki.

– Daję głowę, że jesteś maleńkim aniołkiem, który zstąpił z nieba, aby

uradować serce starego wuja Micka. – Podniósł wzrok na Tess. – Wydaje mi się, że się do mnie uśmiechnęła.

– Nie wątpię.

– Spójrz na jej rączki, Tess. Zobacz, jak się mnie mocno trzyma. Wydaje mi się, że mnie kocha.

– Uhhh – tylko tyle zdołała wybąkać. Coś stanęło jej w gardle.

– Czy widziałaś jej stopki? – Mick pocałował małą piętę. – To dziecko jest cudowne.

Tess otarła łzy rękawem szlafroka, odgarniając pióra, które mało co nie dostały się do oczu. „Jest za późno, by opłakiwać niedoszące zdarzenia” – pomyślała.

Po schodach zszedł Jim. Wziął dziecko.

– Czas karmienia dla maleństwa.

Kiedy Jim wnosił dziecko z powrotem na górę, Tess poczuła, że ogarnia ją wielki żal. Siedziała na sofie i patrzyła na Micka, który osunął się na fotel. Nigdy nie widziała go tak załamane. Czowała, że powinna coś powiedzieć. Ale co? „Przepraszam?” Jej serce wypełnione było tęsknotą za tym, co utracili: za dziećmi z różowymi, pulchnymi nóżkami, za karmieniami o północy, za urodzinowymi przyjęciami i cudownym dźwiękiem słów „mama”, „tata”.

W końcu zdecydowała, że będzie najlepiej, jeśli nic nie powie. Przecież już dziś się pożegnają. Na zawsze.

Wstała i po cichu wyszła z pokoju. Zostawiła za sobą purpurowe piórko. Upadło na podłogę.

Mick siedział na krześle dopóty, dopóki słyszał jej oddalające się kroki; potem sięgnął po piórko.

– Kochana Tess... Zawsze coś po sobie zostawia. – Obracał je na różne strony i wydawało mu się, że w głębokiej purpurze piórka widzi jej odbicie. – Czy naprawdę pójdę za tobą wszędzie, gdziekolwiek się skierujesz?

Przytulił usta do piórka, po czym schował je do kieszeni. Jak mógł za nią pójść? Mieli przecież dwa różne cele.

O dziesiątej rano wszyscy, oprócz Lovey, byli już na dole. Tego niedzielne rano mieli oficjalnie pożegnać się z Babs. Johnny poprowadził ich do różanego ogrodu za domem. Słońce rzucało swe promienie na kwiaty, a dzwony kościelne odgrywały w oddali melodię modlitwy.

Johnny umieścił Babs na kamiennej ławce w środku ogrodu. Z rękami złożonymi na piersi wygłosił prostą mowę pożegnalną. Następnie pojedynczo wychodzili przyjaciele i żegnali się z Babs. Każdy powiedział coś od serca.

Po skończonej ceremonii Johnny wziął Babs i poprowadził wszystkich do swojego samochodu. Lovey machała ręką na pożegnanie z okna sypialni na drugim piętrze. Droga na lotnisko, gdzie czekał już samolot Micka, minęła im w

milczeniu.

Kiedy wszyscy wsiedli do środka, Mick zajął miejsce na fotelu pilota, a za nim usadowiła się Tess. Johnny nachylił się i pociągnął ją za rękaw.

– Chcę, żebyś ty to zrobiła, Tess.

Wiedziała, o czym mówił. Będą rozrzucać prochy Babs nad rzeką Missisipi.

– Jesteś pewien, Johnny?

– Tak. Wiem, że tego pragnie. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Zawsze mówiła: „Johnny, zabierz mnie wysoko pod niebo i wyrzuć nad Missisipi. W ten sposób wciąż będę mogła podróżować w nowe miejsca. Kto wie, jak daleko poniesie mnie rzeka?” – Otarł łzę z oka. – Ja nie potrafię tego zrobić. Zbyt myślę o sobie, żeby pozwolić jej odejść.

Tess wzięła urnę.

– Zrobię to, Johnny.

– Czy mogłabyś też coś zaśpiewać? To by się jej podobało.

– Tak. Zaśpiewam.

– Dziękuję, Tess. – Spokojniejszy usiadł z powrotem i zapiął pasy. – Jesteśmy gotowi, Mick.

Mick skinął głową. Nim ruszył, sięgnął do tyłu i uścisnął rękę Tess. Patrzyła przez chwilę na ich złączone dłonie, następnie na niego. Mick uwolnił rękę i zajął się pilotowaniem.

Tess obserwowała, z jaką łatwością kierował samolotem. Zawsze fascynował się lataniem. Pamiętała dzień, w którym otrzymał licencję pilota. Zrezygnowali wtedy z lekcji, zapakowali piknikowy koszyk i wypożyczyli samolot. Polecieli aż nad zatokę, aby to uczcić. Cóż to była za uczta. Pamiętała dotyk słońca na twarzy i wiatr we włosach, kiedy się kochali na ustronnej, piaszczystej plaży.

Lecieli w milczeniu po przejrzystym niebie, przecinając błyszczące obłoki, z dudniącym im w uszach hukiem silnika.

Poniżej widzieli zielone i brązowe płyty ziemi, przedzielone czasem szarą wstęgą.

– Zbliżamy się do rzeki – wykrzyknął Mick.

Tess skinęła głową. Mick obniżył wysokość, omijając wierzchołki drzew. Tess pamiętała, jak się otwiera okno. To jedna z rzeczy, której nauczył ją Mick. Kiedy zniżył prawe skrzydło, zaczęła śpiewać.

„Zgromadziliśmy się nad rzeką, gdzie spacerują jasne anioły...” Jej głos brzmiał słodko i czysto ponad dźwiękiem silnika. Przechyliła urnę w stronę Missisipi, ani na chwilę nie przerywając śpiewu.

Słońce pochwyliło prochy Babs i zamieniło je w złoto. Błyszczące cząstki rozdzieliły się i spadły w dół prosto do rzeki.

– „Niedługo dojdziemy do błyszczącej rzeki”. – Tess śpiewała znany

hymn. – „Niedługo zakończy się nasza pielgrzymka i niedługo nasze szczęśliwe serca będą się kołysać zgodnie z melodią pokoju”.

Mick wzbił się wysoko ponad niebo, po czym wykonał stylowy zwrot i ponownie obniżył lot nad rzeką.

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Babs – powiedział.

– Zegnaj, droga przyjaciółko – dodała Tess.

– Na razie – włączył się Jim. – Będzie nam ciebie brakowało.

– Bądź szczęśliwa, kochanie. Gdziekolwiek jesteś, bądź szczęśliwa – powiedział Johnny z twarzą przy szybie.

Kiedy wrócili do Tupelo, Mick pierwszy zaczął się żegnać. Znajdowali się w sypialni Lovey. Mała Babs leżała skulona jak kuleczka na środku łóżka i spała.

– Czas, by ruszać w drogę – rzekł Mick, podając dłoń Jimowi i Johnny’emu. Uściskał Lovey, zostawiając na koniec pożegnanie z Tess.

Stała odwrócona tyłem do okna, patrząc na przyjaciół.

Gdy Mick podszedł do niej, nie wiedziała czego oczekiwać. Ucisnął ją jednak serdecznie, podobnie jak Lovey. Przytrzymała go przez moment, chłonąc jego ciepło i siłę.

– Do widzenia, Tess, kochanie – wyszeptał jej do ucha. – Uważaj na siebie.

– Ty również, Mick.

Pozostał tak przez chwilę, po czym nagle się odwrócił. Nie mogła patrzeć na to, jak odchodził.

– Johnny, czy mogę pożyczyć samochód? – zapytała, kierując się w stronę drzwi.

– Oczywiście, Tess. Kluczyki są na stoliku w hallu.

– Dziękuję.

Po wyjściu z pokoju usłyszała za sobą trzy męskie głosy, zlewające się w pożegnalnym chórze.

Zbiegła na dół, zabierając po drodze kluczyki. Kiedy już usiadła za kierownicą, z trudem udało się jej złapać powietrze. Nie z wysiłku. Nie miała obaw o swój stan fizyczny. To jej zbolełe serce zdawało się pękać i krwawić.

Jadąc na oślep, nie wiedząc, dokąd się kieruje, oddaliła się od domu Johnny’ego. Musiała uciec jak najdalej od Micka Flannigana. Gdyby została patrząc, jak odchodzi z bagażami, musiałyby krzyczeć lub płakać, albo jedno i drugie. Teraz już naprawdę zniknie z jej życia. Do tej pory miała wrażenie, że wyruszył w dłuższą podróż i może wrócić w każdej chwili. Nawet gdy była żoną Carsona, a później O’Toole’a, czuła, że zapelniali pustkę po Flanniganie do czasu jego powrotu.

To dziwne, ale nie wiedziała o tym aż do momentu pożegnania z Mickiem. Być może podświadomie oczekiwała jego powrotu, ponieważ nie pożegnał się za pierwszym razem.

Tess dotarła na Joyner Street, w okolicy parku. Odruchowo przyhamowała,

zaparkowała i poszła w kierunku drewnianej ławki, gdzie razem z Flanniganem obserwowali świetliki. Teraz było na nie jeszcze za wcześnie, ale już czuła nadchodzący wieczór. Duszne powietrze zapowiadało koniec dnia i wywoływało niemal hipnotyczne uczucie.

Przymknęła oczy spragniona odrobiny spokoju. Flannigan na pewno znosi na dół swoje bagaże. Nie, nie ma przecież ze sobą walizek, ale jakąś starą sponiewieraną torbę, prawdopodobnie tę samą, co dziesięć lat temu. Johnny – a może Jim – zabiorą go na lotnisko.

Podniosła głowę nasłuchując. Miała wrażenie, że słyszy huk wzbijającego się pod obłoki samolotu. Kiedy spojrzała w tym kierunku, była pewna, że widzi mały srebrny punkcik, znikający za linią horyzontu.

Poczuła, że oczy jej napełniają się łzami, które powstrzymywała, zaciskając mocno powieki.

– Nie będę płakała. Tym razem nie będę płakała.

– Cokolwiek cię dręczy, nie jest warte twoich łez – usłyszała głos dobiegający zza pleców.

Tess podskoczyła, a następnie odwróciła się, by zobaczyć, kto do niej przemawia. Pod dębem stał stary człowiek z twarzą tak brązową i pokrytą zmarszczkami, że przypominała pień drzewa. Jego siwe włosy i broda były zapuszczone i postrzępione, jakby przez dłuższy czas nie widziały fryzjerskich nożyczek. Czarny garnitur wyglądał na co najmniej o dwa rozmiary za duży, spodnie miał wypchane na kolanach, a rękawy podwinięte nad kościstymi nadgarstkami.

– Czy mówisz do mnie? – Tak.

Wyszedł z cienia, dzięki czemu Tess mogła mu się bliżej przyjrzeć. Jego garnitur miał wystrzępiony atlasowy kołnierz i charakterystyczny atlasowy pasek z boku spodni. To był smoking.

Była zdumiona, zaciekawiona i ani trochę przestraszona.

W pracy stykała się z różnymi ludźmi i sądziła, że potrafi nieźle określać charaktery. Stary człowiek miał żwawy krok i pewne spojrzenie, a jego niebieskie oczy wyglądały przyjaźnie jak u małego spaniela.

Podszedł do ławki i uklonił się uprzejmie, prawie oficjalnie.

– Czy mógłbym usiąść obok?

– Proszę bardzo.

– Mam na imię Casey – wyciągnął rękę.

– Jestem Tess Jones. Miło mi pana poznać, panie Casey.

– Po prostu Casey. – Przynal się bliżej, wpatrzony w nią niebieskimi oczami. Przypomniały jej Flannigana, musiała odwrócić głowę. – Czy jesteś tu po raz pierwszy, Tess? Nigdy wcześniej nie widziałem cię w parku.

– Wychowałam się w Tupelo, ale nie mieszkam tu już od wielu lat.

– Więc co cię sprowadza w rodzinne strony?

– Śmierć drogiej przyjaciółki.

– To wielki smutek utracić przyjaciela. Rani prawie tak, jak utracić kogoś z rodziny. – Łzy napłynęły mu do oczu, wytarł je chusteczką. – Taki smutek utracić kogoś z rodziny. – Pociągnął głośno nosem, po czym wytarł go brzegiem rękawa.

– Panie Casey...

– Po prostu Casey, jeśli ci tak wygodniej. – Stary człowiek uśmiechnął się do niej przez łzy.

Tess czuła, jak topnieje jej serce. Mick zawsze mówił, że ma ona najwrażliwszą duszę pod słońcem. I chyba miał rację.

– Czy coś się stało? – zapytała, pochylając się do przodu.

– Och, moja droga... – zawiesił głos wpatrzony w przestrzeń. – To nie dotyczy ciebie.

Jeszcze raz wytarł nos, pochylając się tak, że mógł ją widzieć kątem oka.

– Och, proszę cię. Nie mogę patrzeć, jak płaczesz. Powiedz, czy mogę ci jakoś pomóc.

Wzywał już na pomoc imiona wszystkich świętych, jakich znał, a nawet kilku więcej. W końcu uśmiechnęło się do niego szczęście. Być może istniało jakieś cudowne rozwiązanie dla starego Casey'a.

– Kto wie... – Zaskakująco szybko zapomniał o swoich łzach. – Nie mogę odszukać mojego syna. Jest wszystkim, co posiadam, zrozum, wszystkim, co posiadam na tym świecie. Szukam i szukam... już od tylu lat go poszukuję.

– W jaki sposób zaginął?

– To było tak: moja piękna żona umarła, Panie, świeć nad jej duszą. W tamtych czasach dla mężczyzny nie było łatwą rzeczą jednocześnie pracować i opiekować się dzieckiem. Opieka społeczna zabrała go ode mnie.

– To straszne.

– Robiłem przy nim, co mogłem, ale, rozumiesz, potrzebowalem pomocy, a przecież to tyle kosztuje.

– Dokąd go zabrali?

– Najpierw do jednej, później do drugiej rodziny. Utrzymywałem z nimi kontakt przez pewien czas, a potem... dużo wyjeżdżałem zawodowo, rozumiesz, handlowałem butami i całkowicie utraciłem więź. Kiedy wróciłem do domu, wysłali go gdzieś daleko. Ktoś powiedział, że na południe. Nigdy go już nie odnalazłem.

– To niesamowite. – Tess pomyślała o Flanniganie. Zanim uciekł, aby dołączyć do trupy cyrkowej, przebywał w sierocińcu w Pass Christian.

– Teraz się starzeję. Moim największym marzeniem jest zobaczyć go, zanim umrę.

– Czy ktoś ci może pomóc? Jakaś agencja?

– Niestety, Tess, tacy ludzie nie dbają zbyt wiele o tych, którzy potrzebują ich pomocy. Interesuje ich tylko pobieranie opłat – westchnął Casey. – Niestety,

muszę korzystać z pomocy przypadkowych ludzi. – Spojrzał na nią z ukosa.

Tess nie była naiwna. Wiedziała, że Casey gra na jej uczuciach. Ale ten biedny, stary człowiek w wypłowiałym smokingu, przemawiający w tak elegancki sposób, potrzebował pomocy. A teraz szczególnie chciała czuć się komuś potrzebna, zwłaszcza że Flannigan odszedł z jej życia na zawsze.

– Posłuchaj – rzekła, zwracając się do Casey’a – mam trochę wolnego czasu przed wyjazdem do Chicago. Opowiedz mi więcej o swoim synu, a może będę w stanie ci pomóc – Tak... – Casey przymknął oczy, jakby sobie przypominając. – Miał bardzo, bardzo ciemne włosy, kręcone, to po matce. I najbardziej niebieskie oczy na świecie. Typowy Irlandczyk, tak jak ja i jego matka. – Casey zrobił przerwę, ocierając chusteczką wilgotną twarz.

Tess wstrzymała oddech. Wiedziała, że przechodzi do dość pochopnych wniosków, niemniej jednak chciała w nie wierzyć. Czyżby Casey opisywał Flannigana?

– Byłby mniej więcej w twoim wieku – kontynuował Casey – około trzydziestki. Czasem pamięć mnie zawodzi.

Tess zapatrzyła się w jego oczy. Niebieskie. Jak u Micka. Czy nie byłoby to czymś szczególnym, gdyby natknęła się na ojca Flannigana? To by się zgadzało. Mick dokładnie nie wiedział, skąd się znalazł w sierocińcu.

– Wyobrażam sobie, że jest dzisiaj wysokim, silnym mężczyzną. – Skierował wzrok na swą wąłą postać. – Jego matka była przystojną i mocną kobietą.

Tess zeskoczyła z ławki. Flannigan za chwilę będzie pewnie wyjeżdżał. A może już wyjechał.

– Jeśli ze mną pójdziesz, sądzę, że będę w stanie ci pomóc – Pobiegła w stronę samochodu. Po drodze obejrzała się na posapującego z tyłu Casey’a. Wróciła i podała mu rękę. – Pospiesz się. Proszę cię, pospiesz się.

Kiedy już wpakowała go do starego sportowego samochodu Babs, ruszyła pędem po ulicy, biorąc zakręty z piskiem opon.

– To nie jest aż tak pilne, kochanie – powiedział łagodnie Casey, trzymając się deski rozdzielczej.

– Właśnie, że pilne. Mógł już odjechać. – Kto?

– Flannigan.

Tess gwałtownie zahamowała, zatrzymując się przed eleganckim, stylowym domem.

– Poczekaj tutaj – rzekła, a sama wyskoczyła z samochodu i pobiegła po schodach na górę. – Mick, Mick!

Szczupły mężczyzna z siwiejącymi włosami podszedł do drzwi wejściowych.

– Tess, co się stało?

– Muszę się zobaczyć z Mickiem. Czy jest jeszcze tutaj, Johnny?

– Już pojechał, Tess. Odwieźliśmy go na lotnisko dziesięć minut temu.

– O Boże.

Pobiegła z powrotem do samochodu; Johnny zawołał za nią: – Tess?

– Wyjaśnię później – krzyknęła przez ramię. Usiadła za kierownicą i ruszyła w drugą stronę.

Samolot Flannigana czekał na polu startowym. Zwykle wsiadał do mego z uczuciem radości, gdyż kochał latanie, lubił szybować wysoko ponad resztą świata, z dala od rzeczywistości, podążając w cudowne, pełne przygód, nowe miejsca.

Dzisiaj ociągał się. Miał wrażenie, że płócienna torba waży o jakieś dwadzieścia kilo więcej. Nie chciał odjeżdżać. I wiedział, dlaczego. Z powodu Tess.

Wrzucił torbę do samolotu i wspiął się na fotel pilota. Ale nie szykował się do lotu. Siedział wpatrzony w przestrzeń.

Nagle w polu widzenia ukazała się Tess, jej spódnica i falujące wokół twarzy włosy. Biegła, wykrzykując jego imię.

Zeskoczył z samolotu.

– Tess? Tess. – Podbiegł do niej.

Spotkali się na linii pola startowego. Dotknął jej ramienia; ona położyła mu dłoń na twarzy. Stali tak przez chwilę, w milczeniu wpatrując się w siebie. Ręka Tess przesunęła się delikatnie w dół jego policzka i dosięgnęło go błogie uczucie.

Kiedy ocknął się, pociągnął ją za sobą w ustronnejsze miejsce.

– Jak się tu dostałaś? Jak przeszłaś przez służbę kontrolną?

– Mam swoje sposoby. Zaśmiał się.

– Nic się nie zmieniłaś.

– Mick. Och, Mick. – Jeszcze raz pogłaskała go po twarzy. – Tak się cieszę, że cię znalazłam.

– Też się cieszę, kochanie. – Przytulił jej głowę, zanurzając dłonie w jedwabiste włosy. – Nawet się nie pożegnaliśmy.

– Jak zwykle.

– Nadszedł czas, aby to zmienić.

Pochylił się. Ich usta prawie się stykały. Oczy Flannigana były jaśniejsze od gwiazd na niebie. Chciała do niego przyłgnąć, poczuć jego ciało, bicie serca i pozostawić za sobą cały świat. Pragnęła złączyć się z Flanniganem w pocałunku, który by trwał wiecznie.

Przysunęła się bliżej. Jego serce niemal uderzało o jej pierś i czuła ciepło oddechu na policzku.

– Mick – westchnęła. – Tess, kochanie.

– Nie przyszłam tutaj, aby się z tobą żegnać. Drgnął, a na jego twarzy pojawił się lęk.

- Coś nie w porządku, Tess? Czy coś się stało Lovey i dziecku?
- Nie. Nic takiego. Przepraszam, że cię wystraszyłam – Odsunęła się na krok, jej twarz nappełniła się radością. – To dobra wiadomość, Mick. Ale nie chcę też rozpać twoich nadziei czy czegoś w tym rodzaju. Mogę się mylić.
- Zawsze wiedziałas, jak zaintrygować mężczyznę do granic możliwości. O co chodzi, najdroższa?
- Wydaje mi się, że odnalazłam twojego ojca.

ROZDZIAŁ 6

– Mojego ojca? – Mick chwycił ją za ramię. – Co ty opowiadasz, Tess?

– Poznałam starego człowieka w parku miejskim i powiedział mi, że od lat poszukuje swojego syna. – Złapała go za rękę. – Mick, opisywał ciebie.

– Och, Tess. Tess, kochanie. – Mick uniósł jej dłoń do ust i pocałował. – Na pewno są tysiące mężczyzn podobnych do mnie.

– Nigdy. Nie ma takiego drugiego. Jesteś jedyny w swoim rodzaju, Micku Flanniganie.

– Pochlebiasz mi – rzekł zadowolony. – Od lat już nie czułem się kimś wyjątkowym, właściwie to od czasu, kiedy opuścił Tess. – Tess, kochanie, poznałaś zapewne jakiegoś starego, samotnego człowieka, który poruszył twoje wrażliwe serce. Zawsze natykałaś się na zabiedzone, zagubione istoty.

– Casey jest odrobinę wychudzony, ale nie jest zagubiony. Gdyby jego ubranie miało właściwy rozmiar, byłby nawet elegancki.

– Casey?

– Tak ma na imię. Irlandczyk, tak jak ty... A jego oczy... – Ożywiona mówiła dalej. – Powinieneś je zobaczyć, Mick. Jak twoje. Niebieskie jak prawdziwy błękit nieba.

Mick poddał się marzeniom. Ojciec Wyobrażał go sobie: był wysoki i elegancki, z ciemnymi, siwiejącymi na skroniach włosami, a jego mowa na pewno brzmiała wyraźnie z irlandzka.

– Tylko na niego spojrzę, Tess. Gdzie on jest?

– W samochodzie. – Chwyciła go za rękę i prawie ciągnęła przez dworzec i drzwi wyjściowe, aż do samochodu, w którym czekał Casey. – Oto on, Mick.

Mick ujrzał śnieżnobiałe włosy i brodę oraz starą, wysmaganą twarz. Przez chwilę wydawało mu się, że otworzą się niebiosa i usłyszy chóry aniołów. Miał nadzieję, że tajemnicza ręka wypisze na niebie: „Micku Flanniganie, to jest twój ojciec”.

Ale marzenie trwało tylko moment. Nie wierzył już w nieprawdopodobne sny.

Mick otworzył drzwi, wówczas stary człowiek odwrócił głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Mick odczytał z twarzy Casey’ a, że był on doskonałym aktorem. Wuj Artur również potrafił doskonale odgrywać różne role. Mick znał więc ten typ człowieka.

– Nazywam się Mick Flannigan.

Wyciągnął rękę. Stary człowiek uściśnął ją zaskakująco mocno, jak na kogoś o tak wątłej budowie.

– Mam na imię Casey. – Wsiadł z samochodu tak elegancko i dostojnie, jak gdyby schodził z podestu orkiestry symfonicznej. Stał przed Mickiem,

poprawiając swój luźny smoking.

– Tess sądzi, że jesteś moim ojcem – powiedział Mick, obrzucając go znaczącym spojrzeniem. Mówiło ono tyle co: „znam te numery”.

– No tak. – Casey kręcił głową na różne strony, jak pewna siebie, przemądrzała papużka. Spojrzał z ukosa na Tess, później z powrotem przeniósł wzrok na Micka. Wreszcie zrobił krok do tyłu. – Niestety, nie jesteś moim synem.

– Skąd wiesz, że nie jestem? Przecież od lat nie widziałeś syna.

Caseyowi napłynęły do oczu łzy. Mick czuł podziw dla jego znakomitej gry aktorskiej. Casey był w tym naprawdę dobry.

– Ojciec potrafi rozpoznać swego syna. – Casey położył dłoń na sercu. – Czuję to tutaj.

– Och – rzekła Tess wyraźnie rozczarowana. – Mick, co teraz zrobimy?

Mick pomyślał, że los był albo łaskawy, albo bardzo złośliwy. Jego samolot ciągle czekał na polu startowym, a Tess patrzyła na niego ze łzami w oczach. Czuł, że nie może zlekceważyć tych okoliczności.

– Tess, kochanie, pomożemy wspólnie Caseyowi.

– Naprawdę, Mick? Pomożesz?

– Tess, czy widziałaś, żebym kiedykolwiek komuś odmówił pomocy? Oczywiście, że pomogę.

Zauważył, że na twarzy Caseya pojawił się wyraz ulgi. Na jego własnej chyba również. Obiecał sobie, że później weźmie Caseya na długą rozmowę w cztery oczy.

Ale tymczasem przejęty był przede wszystkim bezpieczeństwem Tess. Nie wiedział, jak przez te lata mogła sobie bez niego poradzić. Jak mógł zapomnieć o jej skłonnościach do wspierania zbłąkanych istot. Kiedy żyli w Missisipi, zawsze pomagała kulawym psom i wygłodniałym kotom. Ratowanie człowieka było inną rzeczą. Angażowanie się w jego sprawy pociągało za sobą pewien element ryzyka.

Postanowił się nią zaopiekować. Przesunięcie podróży o kilka dni nie miało dla niego większego znaczenia. Poukłada tę historię z Caseyem. A później pożegna się z Tess. Pożegna się na dobre.

Mick objął Tess. Miała takie szczupłe, subtelne ramiona. Delikatne w dotyku. Nigdy tego nie dostrzegł.

– Może zabierzemy rzeczy pana Caseya.

– Po prostu Caseya – przerwał im stary człowiek.

– A potem pojedziemy do Johnny’ego i ułożymy jakieś plany.

Mick zasiadł za kierownicą i Casey wskazał mu drogę do parku.

– Zostawiłeś tam chwilowo rzeczy? – zapytała Tess, kiedy szli w kierunku drewnianej ławki.

– Nie. Ja tutaj mieszkam.

– Mieszkasz? – Tess spojrzała na Micka, ale się nie odezwał. Nie był nawet

zaskoczony.

– Tutaj nie jest tak źle, naprawdę. – Casey prowadził ich między drzewami. W końcu natknęli się na duże tekturowe pudło. Pokryte było kilkoma plastikowymi workami na śmieci, lecz miejscami wystawała szara tektura. Było to pudło po lodówce. – Oczywiście, kiedy pada, mój domek trochę przemaka i wtedy muszę wyjść poszukać nowego.

Zniknął we wnętrzu pudła. Tess i Flannigan słyszeli dobiegający stamtąd łagodny śpiew.

– „Pewnego słodkiego dnia spotkamy się na tym cudownym brzegu. Pewnego słodkiego dnia...”

– Tess. – Mick dotknął jej twarzy. – Nie chcę, byś wiązała z tym człowiekiem jakiegokolwiek nadzieje.

– Chcę mu jedynie pomóc.

– Pomożemy mu. Zrobimy to, co tylko będziemy w stanie zrobić.

– Dziękuję, że zostałeś, Mick.

– Tam, dokąd jadę, nikt na mnie nie czeka, Tess. – Dokąd jedziesz?

– Myślałem o Teksasie. Pamiętasz, jak marzyło nam się to miejsce?

– Chcieliśmy tam polecieć, a ja miałam codziennie cię oczekiwać na polu chabrowym i śpiewać do snu naszym dzieciom. – Oczy Tess zaszyły mgłą z tęsknoty.

– To były kiedyś całkiem realne marzenia.

– Byłyby i dziś... gdybyśmy się kochali.

– Tak... gdybyśmy się kochali.

W trakcie rozmowy oddalili się trochę od tekturowego domku, Mick podświadomie przysunął się do Tess i teraz stali bardzo blisko siebie. Nagle zrobił krok do tyłu.

– Myślę, że powinniśmy znaleźć jakieś miejsce na nocleg, a jutro, wcześniej rano, zabierzemy Caseya do biura opieki społecznej i oni się nim zajmą – powiedział.

– Obiecałeś, że pomożesz. – Tess spojrzała na niego z wyrzutem.

– Pomogę. – Wskazał ręką w kierunku pudła po lodówce. – Popatrz, Tess, on mieszka w tekturowym domku. Nosi wytarte ubranie. Opieka społeczna nakarmi go, ubierze i znajdzie przyzwoite miejsce do życia.

– A co z jego synem?

– Skąd wiesz, że ma syna?

– Skąd u ciebie ten cynizm, Micku Flanniganie? Powiedział mi.

– Tess...

Flannigan chciał ją objąć, ale broniła się, machając rozpaczliwie rękami.

– Odejdź i zostaw nas samych. Nie potrzebujemy twojej pomocy. Sama odszukam syna Caseya.

– Do diabła, Tess. Jesteś uparta.

– A ty bez serca.

– To, że chcę zapewnić temu staremu człowiekowi ubranie, pożywienie i schronienie nie świadczy o mojej bezduszości.

Pomyślał, że powinien wsiąść do samolotu i odlecieć, nawet nie oglądając się za siebie. Tess Jones stwarzała mu tylko kłopoty. Poza tym tak trudno było dojść z nią do porozumienia.

Przyglądali się sobie w przyćmionym świetle. Śpiew dobiegający z pudła po lodówce nagle się urwał.

– Popatrz, Tess. Zostałem tu wyłącznie po to, żeby pomóc ci uporać się z tym kłopotem.

Spojrzała na niego z wysoko podniesioną brodą. Wszystko świadczyło o jej gniewie: oczy, włosy, całe ciało.

– Moim jedynym kłopotem zawsze byłeś ty. Zagotowała się w nim krew, odwrócił się tyłem i odszedł dumnym krokiem.

– Bardzo dobrze. Idź sobie – krzyknęła. – Zawsze odchodziłeś wtedy, gdy byłeś najbardziej potrzebny.

– Do diabła. – Podeszedł do niej, złapał za rękę i gwałtownie przyciągnął w swoje ramiona. – Chcesz, abym szukał człowieka, który prawdopodobnie nie istnieje?

– Nie. Jedź do Teksasu czy Timbaktu, czy tam, gdzie cię poniesie, a ja będę szukała syna Caseya.

– Tess... – Nie potrafił się na nią gniewać, zwłaszcza gdy jej dotykał. – Och, Tess, kochana. – Przysunął ją do swej piersi i wtulił twarz w jej włosy. – Dla ciebie będę ścigał tęczę Caseya.

Uśmiechnęła się. Stała z twarzą wspartą na jego ramieniu.

– Wiedziałam, że to zrobisz. Jesteś po prostu dużym, łagodnym, pluszowym misiem.

– No tak – wymamrotał, ale czuł się zadowolony. Tęsknił za tym, by być czymś pluszowym misiem.

Wypuścił ją z uścisku, odszedł na krok i zapalił cygaro. To pozwalało mu zająć czymś ręce. Następnie powiedział:

– Pojadę z tobą na te szalone poszukiwania. Ale na krótko... tylko do momentu, kiedy dostrzeżesz prawdę.

– Zobaczymy. – Obdarzyła go swoim uśmiechem Mony Lisy. Pojawiał się zawsze wtedy, gdy wiedziała, że stoczyła zwycięską walkę z Flanniganem.

Zacisnął zęby na cygarze. To prawda, że nigdy nie przestał jej kochać. Ale teraz posuwał się do granic szaleństwa. Można było kochać i zachowywać się szlachetnie, ale brak rozsądku prowadził do nierozważnych działań.

Wypuścił kółka dymu i patrzył, jak rozwiewa je podmuch wieczornego powietrza. Poszukiwanie mitycznego syna Caseya mogło okazać się najbardziej niebezpieczną podróżą w życiu Flannigana.

Nagle ogarnęła go niespodziewana wesołość. Jego śmiech wystraszył przemykającego zająca.

– Co cię tak rozbawiło, Mick?

– Pamiętasz naszą ostatnią podróż, Tess?

– Jak mogłabym nie pamiętać? Ten stary karawan rozleciał się, gdy dojeżdżaliśmy do Pensylwanii i musieliśmy spędzić noc w wałacej się stodole.

– Pamiętasz wyraz twarzy tej kobiety? Kiedy zobaczyła karawan, była przekonana, że przyjechaliśmy zabrać jej męża.

– „Ale on jeszcze nie umarł.” – Tess naśladowała głos gospodyni – „Jest tylko trochę pijany”.

Złapali się za ręce.

– To było tak dawno, Mick.

– To prawda.

– Jestem gotów. – Casey wysunął się z pudła. Miał w ręku mały pakunek przewiązany starą chustką i laskę z pośniedziałym złoconym czubkiem. Uśmiechnął się do nich, odsłaniając dwa rzędy dużych, śnieżnobiałych zębów. – Czuję się jak bajkowa Dorotka, wyruszająca do krainy Oz.

– Obawiam się, że to nie będzie bajeczna podróż, Casey. – Mick wziął go pod ramię i poprowadził do samochodu.

– Nigdy nie wiadomo – rzekł Casey.

Tę noc spędzili w małym motelu za Tupelo. Zajęli dwa pokoje, Casey z Flanniganem dzielili jedną sypialnię. Johnny nalegał, aby zostali u niego, ale nie chcieli robić mu kłopotu. Zabrali rzeczy Tess i jej kota, potem Johnny zawiózł ich do wypożyczalni samochodów. Solidny ford, którego wzięli, stał przed drzwiami motelu.

Po północy zaczęły powoli wygasać w oknach światła. Mick leżał w ciemności, jego stopy zwisały poza krawędź łóżka. Motelowe łóżka zawsze były dla niego za krótkie. Nasłuchiwał odgłosów z sąsiedniego pokoju. Przez cienką ścianę dotarł do niego dźwięk najpierw włączanego, a później wyłączanego telewizora. Zaszumiało w rurach pomiędzy ścianami. Tess brała prysznic.

Otulił się pościelą i zamknął oczy. Nie chciał myśleć o Tess i jej zroszonym kąpielą ciele.

Teraz śpiewała. Wsparł się na łokciu nasłuchując. Słowa brzmiały jasno i klarownie mimo dzielącej pokoje ścianki. Tess śpiewała wyjątkowo piękną piosenkę o miłości – „Gdybym cię kochała”.

Pod powiekami zebrały mu się łzy, ale nie wstydział się ich. Wuj Artur nauczył go również tego, że chłopcy też mają prawo do płaczu. Podobnie i mężczyźni.

– Pomyśl o mnie, kochanie – szepnął. Położył głowę na poduszce i usnął ukołyszany śpiewem Tess.

Tess poruszyła się pod pościelą, odruchowo wtulając się w najcieplejsze miejsce w łóżku. Było ono nie tylko ciepłe, ale i duże, masywne i o wyraźnych kształtach. Objęła je rękami i przytuliła się jeszcze bliżej w błogim uczuciu, które docierało do niej nawet przez sen.

Ciepłe miejsce poruszyło się, a ona za nim. Oplotła je nogami, aby się nie wymknęło. Kiedy jeszcze raz się przemieściło, przebudzona otworzyła oczy.

Usiadła na łóżku, z ramienia zsunęła się jej koszula. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, że tajemnicze ciepłe miejsce ciągle się porusza.

– Micku Flanniganie, co robisz w moim łóżku?

– Połóż się i śpij, Tess. – Przewrócił się na drugi bok, ukazując jej oczom swoje szerokie, nagie plecy. Pociągnął za sobą pościel.

– Założę się, że nie masz nic na sobie. – Włożyła pod kóldrę rękę, sprawdzając swe przypuszczenia.

– Lepiej nie drażnij lwa – wymamrotał, odsuwając się poza zasięg jej dotyku. Ziewnął szeroko, przeciągnął się, po czym skrzyżował ręce na piersiach. Zamknął oczy.

– Wyglądasz jak świeżo zniesione jajko w koszyku. Wstań, Flannigan.

Usiadł, wspierając się o nagłówek.

– Skoro już tutaj jestem, to zostanę. Planowałem sobie pospać, ale jeśli chcesz porozmawiać, to mogę posłuchać przez dwie minuty. I tak już nie zasnę.

– Co robisz w mojej sypialni?

– Casey chrapie.

– Ty również. Od kiedy przeszkadza ci chrapanie?

– Ale on chrapie jak wariat.

Tess przysunęła się bliżej, poprawiając sobie ramiączko koszuli.

– Chyba nawet nie potrzebuję pytać, jak się tutaj dostałeś.

– Pamiętasz, to ja cię nauczyłem sztuki podważania zamków.

– To jedna z przydatniejszych rzeczy, w których mnie wyćwiczyłeś.

Teraz, kiedy była już całkiem rozbudzona, a jej oczy przywykły do ciemności, rozejrzała się po pokoju. Ubranie Micka leżało na pantoflach z cekinami. Jeden z nich wystawał spod dzinsów.

Widok ich splątanych ubrań napełnił ją nostalgią.

– Flannigan, co ja mam z tobą zrobić?

Odwróciła głowę. Teraz mógł ją lepiej widzieć. Jej włosy jaśniały w ciemności, a połyskująca różanym blaskiem koszula wyglądała nadzwyczaj kusząco. Obudziło się w nim tak wielkie pożądanie, że musiał mocno zacisnąć zęby, aby tego nie dać po sobie poznać.

W głębi ducha przeklinał moment, w którym zdecydował się wejść do jej łóżka. Do licha, co on wyprawiał? Owszem, Casey chrapał. Ale to nie dlatego przemykał się w ciemności, podważył zamek w drzwiach Tess i ułożył się obok

jej gładkiego, ciepłego ciała.

Postępował tak nierozważnie. Był po prostu nierozsądny. Tess Jones doprowadzała go do szaleństwa. To się zaczęło, gdy zobaczył ją przed domem Johnny'ego i teraz z każdym dniem czuł się coraz słabszy. Każda śpiewana przez nią piosenka doprowadzała go do obłędu. Kiedy się śmiała, rozpadał się na drobne atomy i każdy z nich padał u jej stóp. Gdy go dotykała, czuł, że zdobywa jego serce na zawsze. Teraz rozpadł się na milion kawałków i tylko Tess mogła go z powrotem poskładać.

Niech diabli wezmą honor i szlachetność. Przyszedł do łóżka Tess, ponieważ jej pragnął. Był zwykłym egoistą. Nie liczyło się to, czego ona pragnęła, ale to, co on zrobi.

– Kochana Tess, połóż się z powrotem po swojej stronie łóżka i śpij spokojnie. – Pochylił się z zamiarem otulenia jej pościelą. Chciał być opanowany i nonszalancki, tak aby nie zauważyła, jak bardzo jej pragnął. Chciał też oddzielić się od niej stosem pościeli, żeby żadna pokusa nie zmieniła jego planów.

Kiedy jej dotknął, zadrżała. Otulenie nie było tak prostą sprawą, jak mu się wcześniej wydawało.

– Kiedyś się całowaliśmy, Flannigan – szepnęła. Błyszczące oczy miała szeroko otwarte. – Całowaliśmy się tak długo, aż jedno z nas zasypiało.

– Pamiętam. – O Boże, pamiętał zbyt wyraźnie. Przysunął się bliżej, aby okryć ją kołdrą. Uśmiechnęła się do niego. Poczuł, jakby długie ostrze przeszło mu serce. – Jeśli zaczniemy teraz, nie przerwiemy szybko.

– Mów za siebie, Flannigan. – Wyciągnęła rękę i zanurzyła w jego włosach. – Ja mogę przerwać, kiedy zechcę.

Wzywał wszystkich świętych, żeby chronili go od szaleństwa. Nigdy nie powinien był wchodzić do jej łóżka.

– To dobrze, Tess. Na stare lata nauczyłaś się trochę panować nad sobą.

– Panować nad sobą! – Gwałtownie się podniosła. Chwycił ją i z powrotem przewrócili się oboje na materac. Walczyła z nim, jej oczy płonęły podobnie jak ogniste włosy. – Puść mnie, Micku Flanniganie. Nie musisz mnie uczyć, jak się mam zachować. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nigdy cię nie potrzebowałam. Nigdy. – Szamotała się pod nim rozpaczliwie.

Był zdumiony. I przerażony. Podniósł się i usiadł na Tess, obezwładniając ją. Pięści jednak wciąż uderzały go po piersi. Nie zwracał na to uwagi.

– Uspokój się.

– Nie chcę się uspokoić. – Pięści nieustannie bombardowały jego ciało. – Przez całe życie ktoś usiłuje mnie zmienić. Ty ze mną nie zaczynaj, Flannigan.

Złapał szalejące pięści, po czym ułożył się na boku, obejmując ją mocno ramieniem.

– Kto cię próbował zmienić, kochanie? – Wciąż z nim walczyła. – Kto?

– Wszyscy. – Czuł jej oddech na swojej piersi. Tess odchyliła głowę. – Nikt

– powiedziała bardziej stanowczo. – Puść mnie, Flannigan.

– Och, Tess. – Zaczął głaskać jej włosy. – Tess, kochanie. – Wijące się kosmyki włosów oplatały mu palce. – Zawsze byłeś moim ideałem, zawsze.

– Naprawdę, Flannigan?

– Naprawdę. – Jego ręce przesunęły się niżej, gładząc plecy.

– Więc dlaczego mnie porzuciłeś?

– To nie ma nic wspólnego z tobą. – Zesztywniała w milczącym oczekiwaniu. Nawet pieszczoty nie mogły jej ożywić. – O mój Boże, co ja ci zrobiłem?

Odsunął się, aby przyjrzeć się jej twarzy. Wyglądała jak chińska lalka, piękna, doskonała, nieruchoma.

– Najdroższa Tess, kochanie.

Leżała wciąż sztywna i nieustępliwa. Objął ją mocniej, wtulił miękko w swe ciało i kołysał, ani na chwilę nie odrywając od niej swoich ust.

– Najdroższa, najśłodsza. – Poczul pierwsze drgnienie jej ciała i tkliwość wypełniła mu serce. Jeszcze raz ogarnął czułym spojrzeniem jej pokrywającą się rumieńcami twarz. – Dzięki Bogu – wyszeptał i ponownie przylgnął do warg Tess.

Zanurzyła dłonie w jego włosach.

– Flannigan... Flannigan.

Cofnęli się w czasie. Należała do niego, a on do niej i bez końca wywoływała jego imię. Miękko się wygięła, gdy przesunął dłoń w dół jej okrytych koszulą pleców. Cienka warstwa jedwabiu praktycznie nie istniała między nimi.

Dłonie Micka zaczęły przesunąć się wzdłuż bioder, po chwili znalazły się już na udach.

– Mmm – przymknawszy oczy, zamruczała pod wpływem jego dotyku jak kociak.

– Ciągle to lubisz, Tess?

– Nigdy nie przestałam. Przesunął dłoń w górę uda.

– Twoje nogi są piękne. – Ręka podeszła wyżej. – Delikatne. – I jeszcze wyżej. – Ciepłe.

– Flannigan... Flannigan.

Jego dłoń spoczęła wysoko na udzie; obsypywał pocałunkami ręce, ramiona, uszy. Skóra miała ten sam powab, co niegdyś – chłodna w dotyku i pachnąca, a szyja pulsowała gwałtownie jak delikatne skrzydełka motyla.

– Jesteś moja – wyszeptał. – Zawsze byłeś i zawsze będziesz.

Zsunawszy w dół ramiączka koszuli, wspiał się ustami na jej piersi, zdobywając to, co należało do niego.

– Tutaj – szeptał – i tutaj... i tutaj. Jesteś moja... cała moja. – Poniesiony żądzą zdobywał kolejne partie ciała. Szalała pod nim w gorączce namiętności,

wijąc się pod wpływem jego dotyku i zachęcając go swym śpiewnym głosem.

Jednym ruchem pociągnął koszulę. W ciemności rozległ się delikatny odgłos rozdieranego jedwabiu i leżała teraz rozchylona przed nim, niczym egzotyczny kwiat. Podążał wzdłuż jej linii, zanurzał się w ciepło wgłębienia i spijał słodki nektar jej ciała.

– Tess, kochanie, najmilsza. Czy mnie pragniesz?

– O tak, Flannigan. Tak, tak.

Odnalazł więc swoją drogę, ześliznął się w głębokie, miękkie ustronie jej ciała i podążał upragnionym szlakiem. Jeszcze mocniej oplótła wokół niego ręce i radowali się wspólnie doskonałą harmonią ruchów, wspaniałym rytmicznym tańcem. Wreszcie upajali się owym błogim uczuciem, które prowadziło ich do samego nieba.

Wznosili się razem pośród gwiazd, a w ich uszach śpiewał niebiański chór. Nie były to jednak głosy aniołów, lecz wylewające się z serc połączone głosy Tess i Flannigana.

– Marzyłem o tej chwili z tobą. – Wpatrzony w jej twarz poddał się wolniejszemu, ociążałemu rytmowi. – Czy wiesz, ile razy o niej marzyłem?

– Dwa? – Jej biodra tańczyły razem z nim i uśmiechała się radośnie.

W ciemności rozległ się czysty śmiech Flannigana.

– Nie mówiłem prawdy, kochanie. To trwało dłużej niż dwa dni, by zapomnieć o tobie.

Paznokcie Tess wtopiły się w jego plecy, a twarz nabrała bolesnego wyrazu.

– Zapomniałeś o mnie, Flannigan? – Przez chwilę znieruchomieli w pełnym napięcia zawieszeniu. – Tak? – zapytała szeptem.

To pytanie przeszło mu serce i zraniło duszę. Patrząc na nią, na jej rozpostarte na poduszce ogniste włosy, na wyzywające, rozpalone oczy, wiedział, że nie może skłamać. Nie teraz.

– Nigdy. Nigdy o tobie nie zapomnę.

Przyciągnął ją gwałtownie ku sobie, zanurzając twarz w jej włosach i upajając się ich przyjemnym zapachem.

Trwali tak przez moment, ich ciała się zespoliły, a serca były jednym rytmem.

– Nigdy – wyszeptał, zaczynając nowy akt rozkoszy. – Nigdy. – Jego głos i ruchy stały się gwałtowne. I nagle – tak jak statkiem po nadejściu burzy – szarpnęła nimi i porwała ich rozszalała fala, kołysząc, przechylając i zanurzając okręt w odmęty oceanu. Przejęci chwilą wykrzykiwali swą rozkosz.

Płynęli jednym kursem, podążając w to samo miejsce i przybijając do brzegu w tym samym momencie.

– Och Tess, najdroższa.

Przytulił twarz do jej piersi, objął ją, po czym ich ciała przechyliły się na

bok, tak że leżeli naprzeciw siebie.

– W czasie burzliwych nocy, które spędzałem w rozmaitych miejscach, słuchałem wycia wiatru, głosów piorunów i wyobrażałem sobie, że trzymam cię w swoich ramionach. Pamiętasz, Tess, jak burza zawsze rozpałała w nas namiętności?

– Dzisiaj nie potrzebowaliśmy nawet burzy. – Bawiła się kosmykami włosów, które przesłaniały czoło.

– Wywołałiśmy naszą własną. – Koniuszkami palców rysował linie na jej twarzy. – Wiesz, mógłbym ich zabić.

– Kogo?

– Twoich kolejnych mężów.

– Dlaczego?

– Ponieważ zawsze wydaje mi się, że jesteś moja. – Przytulił ją bliżej. – Tylko moja.

– Nawet po tym, jak mnie opuściłeś?

– Tak. Nawet po tym...

Wtuliła twarz w ramiona Flannigana. Trwali tak przez dłuższy czas. Mick zaczął głaskać jej plecy, tak jak robił to niegdyś. Westchnęła:

– Mick... – Tak?

– Jak długo możesz z nami zostać, ze mną i z Caseyem? Tess odwróciła głowę, przytulając policzek do jego piersi.

– Tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała, Tess. Nigdzie się specjalnie nie spieszę i z pewnością nie czeka na mnie żadna kariera.

Wyobraziła sobie powrót do Chicago i to, jak stoi samotnie na scenie i śpiewa tak prawdziwe, smutne piosenki, a później wraca do domu, w którym czeka na nią jedynie kot i... puste łóżko.

– Moja kariera nie jest tak ważna.

Uniósł głowę, by spojrzeć na jej twarz. W ciemności podziwiał jej piękny, regularny zarys.

– Jak możesz tak mówić? Przecież pracowałaś na nią całe swoje życie. Zawsze za nią tęskniłaś.

– To nie wszystko, czego pragnę, Mick. – Jego oczy patrzyły tak badawczo, aż speszona musiała odwrócić głowę. Udała, że ziewa. – Nie wiem jak ty, ale ja robię się śpiąca.

– Tess... – Mick wyciągnął rękę w kierunku jej twarzy. – Nie odwracaj się ode mnie. – Przysunął się bliżej i patrzyli sobie w oczy przez długą chwilę.

Nagle oboje zdali sobie sprawę, co między nimi zaszło. On ją odzyskał, a ona mu na to pozwoliła. Uważał, że postąpił szaleńczo; ona oskarżała się o głupotę.

Było za późno, by odwrócić to, co się zdarzyło. Ale było też za późno, by zmienić przyszłe wydarzenia.

– Ty pierwszy się odwróciłeś, Mick. Odszedłeś ode mnie – wyszeptała Tess.

Dotknęły go te słowa.

– Dobrze, ja pierwszy, Tess. – Wziął ją w ramiona i ułożył swobodnie, z głową na poduszce. Sam zaś wyciągnął się wygodnie na swojej części łóżka. Leżeli tak obok siebie, wpatrzeni w otaczającą ich ciemność.

– Dobranoc, Tess.

– Dobranoc, Mick.

Mick przebudził się tak spokojnie, że przez chwilę wydało mu się, jakby był z powrotem w college’u. Wówczas, kiedy miał u swego boku kochającą Tess, czuł się bardzo silny.

To dziwne, ale dzisiejszego ranka towarzyszyło mu to samo uczucie.

Odwrócił się na drugi bok i oto ona – znowu leżała u jego boku. Widok Tess wypełnił jego serce ogromną radością. Zaśmiał się głośno.

Nawet nie drgnęła. Czule odgarnął z jej czoła kosmyk włosów, pozwalając przesunąć się dłoni aż na delikatny policzek.

– Dzień dobry, kochanie. Czy dobrze spałaś?

Jej spokojny, rytmiczny oddech był jedyną odpowiedzią na to pytanie.

– Czy śniłaś o mnie? – Wskazującym palcem obrysowywał zmysłowe kontury jej ust. – Czy nie miałaś ochoty przysunąć się do mnie, na moją część łóżka? – Wtuliła twarz w poduszkę, wciąż spała. – Bo ja miałem. Leżałem w ciemności przez dwie godziny i myślałem o tym, jak by tu znaleźć się obok ciebie, by jeszcze raz poznać smak nieba.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, po czym wstał z łóżka. Ta noc się zdarzyła, mimo że jej nie planował. A teraz należała już do przeszłości. Najrozsądniejszym wyjściem będzie zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. I postara się, aby nie powtórzyła się podobna sytuacja, obiecał sobie w duchu.

„Och, co ze mnie za szlachetny mężczyzna” – pomyślał o sobie z ironią. Wuj Artur byłby rozczarowany swoim wychowankiem.

Sięgnął po dzinsy, zakłócając tym spokój kota, który zrobił sobie na nich wygodne legowisko. O’Toole najeżył się. Kiedy jednak zobaczył, że to tylko Flannigan, wskoczył na łóżko i usadowiwszy się obok pani, przybrał pozycję Buddy.

– Szczęśliwy kot. Ma uprzywilejowane miejsce.

O’Toole obdarzył go swym mądrym syjamskim uśmiechem, po czym nachylił się i pociągnął językiem po rękę Tess. Poruszyła się. Jeszcze raz polizał ją w to same miejsce.

– O’Toole? – Tess ziewnęła i przeciągnęła się z zamkniętymi oczami. – Czy to ty?

O'Toole zamruczał. Tess powoli budziła się ze snu, otwierając najpierw jedno, później drugie oko. Zwykle pierwszą rzeczą, na którą po przebudzeniu padał jej wzrok, był kot. Tego ranka najpierw ujrzała Flannigana. Stał przed nią w samych szortach, w jednej ręce trzymał dżinsy, a w drugiej jej pantofle z cekinami.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. Po chwili zaśmiała się głośno. Zbudziła się w znakomitym nastroju.

Mick pomyślał, że był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Wyobraził sobie, jakby to było, gdyby mógł słyszeć jej śmiech każdego ranka.

– Słońce już wysoko na niebie. – Nie odrywając oczu od Tess, wsunął jedną nogawkę spodni. – Gdybym wiedział, jak to się robi, sam bym spróbował.

– Co jak się robi?

– Jak cię obudzić. Kot zrobił to jednym liźnięciem języka.

– Twoje sposoby bardziej mi się podobały. Znieruchomiał z jedną nogą w nogawce. Popatrzył na Tess. Uśmiechnęła się i przeciągnęła niczym duża, zadowolona z życia kotka.

– Nie igraj ze mną, Tess.

– Nie igram. Mówię tylko, że twoje sposoby bardziej mi odpowiadały.

Klamra od paska miękko upadła na dywan, gdy wypuścił z rąk spodnie. Odsunął je na bok i podszedł do łóżka. Pochylił się nad Tess, a ona cofnęła się na poduszkę. Położył jedną rękę na jej biodrze.

– Zamknij oczy, Tess – powiedział delikatnie.

– Dlaczego?

– Aby cię mógł obudzić swoim sposobem.

Ich spojrzenia zwały się w walce na śmierć i życie. Oboje zmagali się ze swymi nigdy niewygasłymi namiętnościami i z miłością, która gorąco pragnęła odrodzenia.

– Nie zrobisz tego – odezwała się wreszcie.

– Nie zrobię?

– Jesteś zbyt honorowy.

– Honorowy mężczyzna daje swojej damie to, czego ona pragnie.

Spod jej ciężkich włosów wypłynęła strużka potu. Całe ciało było tak rozgrzane, że czuła przyklejone do niego mokre od potu prześcieradło.

Wzrok Flannigana przesunął się z góry na dół po jej ciele, a miejsca, których dotykał spojrzeniem, stawały się coraz bardziej rozgrzane. Igrała z ogniem, dobrze o tym wiedziała. Ale było jej wszystko jedno. Przeżyła z nim w łóżku wczorajszą noc i teraz czuła się odważna i beztroska. Nie myślała już o bólu, ale o tym, jak daleko może z nim zajść, nie odnosząc porażki. To była gra, którą zdecydowała się prowadzić. Niebezpieczna gra. I łamała w niej wszelkie zasady.

– Zgadnam się z tobą, Flannigan. – Uśmiechnęła się. – Mężczyzna zawsze

daje damie to, czego ona pragnie.

– W takim razie, powiedz mi, Tess. – Pochylił się niżej, ich usta prawie się stykały. – Czego pragniesz?

– To za wczesna pora na tak trudne pytanie. Która to godzina, Flannigan?

– Godzina szczerości. – Musnął wargami jej usta. – Czego ode mnie pragniesz?

– Hmm, poczekaj. – „Bezwarunkowej miłości” – pomyślała natychmiast. – Życzę sobie dwie grzanki, dużo masła – takiego prawdziwego, nie podrabianego, jedno jajko – może jajecznicę, miseczkę płatków kukurydzianych z truskawkami na wierzchu i bardzo dużą szklankę bardzo zimnego soku pomarańczowego. Chciałabym mieć to wszystko podane na srebrnej tacy, z czerwoną różą.

– Zawsze miałaś wilczy apetyt... na wszystko.

– Pytałeś, czego pragnę, Flannigan. Czy spełnisz moje życzenie?

Roześmiany podniósł ją z łóżka i przerzucił sobie przez ramię.

– Co robisz? – Usiłowała mu się wyrwać, ale przytrzymał mocno jedną ręką jej pośladki, a drugą nogi.

– Tess, kochanie. Dam ci wszystko, czego pragniesz.

ROZDZIAŁ 7

Wniósł ją do łazienki i wszedł pod prysznic.

– Flannigan, jesteś szalony?

– Przy tobie tak. – Zsunął ją na podłogę i ujął pod brodę. Uśmiechnął się. – Zawsze lubiłaś brać prysznic przed śniadaniem. Szczególnie po takiej nocy.

Odkręcił kurki, wziął do ręki mydło i zaczął nim masować jej plecy.

Sprawiło to Tess ogromną przyjemność.

– Trochę na lewo, Flannigan. Zapomniałeś o jednym miejscu.

Uśmiechnął się. Miała w sobie tyle wigoru, co typowa irlandzka dziewczka. Zanucił jakąś melodię. Natychmiast podchwyciła i wkrótce zgrali się, śpiewając fragmenty zwrotek, przekręcając słowa i mimo tego ciągnąc dalej swą wesołą piosenkę.

Po skończonej kąpieli wytarł ją ogromnym ręcznikiem i zaniósł z powrotem do łóżka; pod głowę podłożył jej poduszkę.

– Nie ruszaj się z tego miejsca. – Ubrał się szybko i ruszył ku drzwiom.

– Dokąd idziesz?

Jego ręka spoczywała już na klamce; odwrócił się uśmiechnięty.

– Czy będziesz za mną tęskniła, kiedy wyjdę?

– Oczywiście, że nie. – Odgarnęła z twarzy ciężkie, nasiąknięte wodą włosy. – Nigdy nie tęsknię za mężczyznami, którzy jedynie przemykają się przez moje życie, Flannigan. Po prostu zastępuję ich kolejnymi.

– Tym razem będziesz musiała działać wyjątkowo szybko, ponieważ zaraz wracam.

Prześliznął się przez próg i zamknął za sobą drzwi. Tess usiadła na łóżku i patrzyła długo w miejsce, które przed chwilą opuścił.

– O’Toole, co ja mam zrobić z Flanniganem? Wyciągnęła się na łóżku. Poduszka wciąż była zapadnięta w miejscu, gdzie leżała jego głowa. Sięgnęła po nią i przytuliła do serca.

– Już nigdy mnie nie opuścisz, prawda? Tak jak ostatnim razem. – Przyłgnęła policzkiem do poduszki. – Czy mnie kochasz, Flannigan?

„Nie na tyle, aby pozostać” – pomyślała. Ostatnia noc niczego nie zmieniła.

– Niech cię piekło pochłonie, Micku Flanniganie. – Rzuciła poduszkę w kąt pokoju. – Tym razem nie zawrócisz mi w głowie. – Oplotła wokół talii ręce, które nagle przestały być jej rękami. Należały do niego. Ciało Tess nabrzmiało tęsknotą za Flanniganem. Pragnęła go mieć u swojego boku, w ramionach, za wszelką cenę.

– Niech cię piekło pochłonie. – Podniosła się z łóżka, piękna w swoim gniewie, ręcznik zaś niepostrzeżenie zsunął się na podłogę. – Mogę spędzać całe dni kochając się z tobą, a jednak kiedy odjedziesz, nie będę płakała. Nie będę.

Przeszła przez pokój i wyjęła z walizki ubrania. O'Toole przeczuwając burzę, ominął Tess z daleka.

– Jesteś tylko kolejnym mężczyzną. – Jej ręce drżały, gdy naciągała na siebie bluzkę. Łza zwilżyła policzek, kiedy zapinała guziki. – Jesteś tylko zwykłym mężczyzną, Micku Flanniganie.

Flannigan pogwizdywał pod nosem, kiedy otwierał drzwi motelowego pokoju. Casey siedział na krześle ubrany w swój obszerny smoking. Jego włosy i broda połyskiwały wodą.

– Wcześniej wstałeś czy późno wracasz? – zapytał Casey.

– Czy chcesz być starym ciekawskim człowiekiem? – Mick wszedł uśmiechnięty do pokoju, zdejmując przez głowę podkoszulek.

– Być może się martwię. Dobrze jest mieć się o kogo martwić.

– Nie przywiązuj się zbyt mocno. Niedługo odnajdziesz swojego prawdziwego syna. – Włożył czystą koszulkę i odwrócił się, ogarniając Caseya znaczącym spojrzeniem. – Nieprawdaż, Casey?

Casey poruszył się w krześle, po czym podniósł wysoko brodę i popatrzył na Micka.

– Tak. Całkiem niedługo będę miał prawdziwą rodzinę. Własnego syna. A kto wie? Może nawet piękną synową. I wnuczka. – Zaświeciły się mu oczy, kiedy zaczynał rozwijać ten temat. – Będę miał dużo wnucząt, takich okrągłych i szczęśliwych, które można bujać na kolanach.

Mick zanurzył rękę we włosy i usiadł wsparty o brzeg komody. Uważnie przyglądał się staremu człowiekowi.

– Kim jesteś, Casey?

– Wczoraj byłem samotnym starym człowiekiem żyjącym w tekturowym pudełku.

– A wcześniej?

– Jestem południowym arystokratą, wykształconym w Yale, a następnie w Juilliard. Jako dyrygent wykonywałem jedne z najpiękniejszych symfonii na świecie.

– Jak trafiłeś ze sceny do pudła w parku?

– To była długa i ciężka podróż wiodąca przez alkohol, ale teraz jestem bystry i trzeźwy.

– A twoja rodzina?

– Wszyscy umarli. Tylko ja zostałem.

Mówił prawdę. Mick mógł to odczytać bezpośrednio z wyrazu jego oczu.

– Przepraszam, Casey.

– To moja wina. Popeliłem parę błędów.

Casey bawił się swoją laską, a Mick wpatrywał się w ruchomy złoty czubek.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Casey... Jestem tutaj, żeby się opiekować Tess. Nie chcę, żebyś popełniał błędy jej kosztem.

– A czy ty sam jej kiedyś nie skrzywdziłeś?

– Co wiesz na ten temat?

– Może tylko się domyślam.

Uwaga była zbyt celna jak na domysły, ale Mick postanowił puścić ją mimo uszu. Na razie.

– Pamiętaj. Będę cię pilnował.

– Ja ciebie również, Flannigan.

Popatrzyli na siebie, po czym obaj wybuchnęli śmiechem.

– Jesteś starym chytrym lisem – powiedział Flannigan.

– Jeszcze nie znasz moich możliwości.

– Już za chwilę będziesz się mógł popisać. Czy potrafisz prowadzić samochód?

– Tak.

– To dobrze. – Flannigan wyciągnął z portfela parę banknotów i wręczył je Caseyowi. – Skocz do tej drogiej restauracji na końcu ulicy i kup dwie grzanki z prawdziwym masłem, porcję jajecznicy, płatki kukurydziane ze śmietaną i truskawkami i dużą szklankę soku pomarańczowego. Przywieź to na srebrnej tacy. Nie obchodzi mnie, skąd ją weźmiesz, obojętnie czy kradł. Możesz przekupywać, zebrać i robić to, co ci się podoba, ale musi to być podane na srebrnej tacy. Zrozumiałeś?

– Oczywiście. – Casey wstał. Pomimo zbyt obszernego wieczorowego stroju wyglądał naprawdę elegancko. – Zabiegasz o jej względy.

– Nie. Po prostu spełniam życzenia damy.

– Domyślam się, że chodzi o damę z kasztanowymi włosami. Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy. Dla nas przyniosę po steku.

– No to powodzenia. – Mick wyszedł roześmiany z pokoju. Tess zażyczyła sobie czerwoną różę i Mick wiedział już, gdzie ją może zdobyć. Nie ma mowy o cieplarnianych kwiatach. To wykluczone. Tess będzie miała to, co najlepsze. Prawdziwy kwiat natury.

Wyszedł na tyły motelu i wdrapał się na siatkę. Przeskoczył przez mały rów oddzielający teren motelu od eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej. Za zielonym pasem drzew dostrzegł dom, z którym wiązał swoje plany. Był to duży biały budynek kolonialny z tarasem i olbrzymim różanym ogrodem.

Przyozdobił twarz w swój najlepszy uśmiech i podszedł pod dom od strony ulicy. Zbliżał się swobodnym, powolnym krokiem, jak gdyby właśnie przed chwilą wysiadł ze srebrnego rolls-royce'a.

Wszedł po schodkach i nacisnął guzik dzwonka. Drzwi otworzyła stara pomarszczona kobieta o siwych włosach. Miała na sobie biały fartuch.

– Przepraszam panią. – Flannigan uklonił się z uśmiechem. Następnie

wyciągnął z kieszeni białą kartkę i zamachał nią przed oczami kobiety. – Jestem Trent Cadburry z Towarzystwa Ogrodników z Południa. Przyszedłem obejrzyć pani róże.

– To nie są moje róże. To własność pani Shumaker. Ja mam na imię Lilia.

– Mogę rozmawiać z panią Shumaker?

– Nie ma jej w domu.

– O mój Boże! – Flannigan rozejrzał się bezradnie, udając szczerze zmartwionego.

– Mogę panu jakoś pomóc? Zdaje się, że ma pan jakiś problem.

– Widzi pani, chodzi o róże. Wokół panuje straszliwa zaraza i moim obowiązkiem jest pobrać próbki do przebadania w laboratorium. Jeśli nie zdobędę kilku róż pani Shumaker, wówczas nie będzie wiadomo, jak daleko rozprzestrzeniła się choroba.

– Potrzebuje pan kilka pędów? Czy o to chodzi? Kilka pędów dojrzałych róż? Dlaczego pan tego od razu nie powiedział zamiast mówić mi o jakimś Towarzystwie Ogrodników? Nie znam się na żadnych towarzystwach. – Wytarła ręce i zaprowadziła go do ogrodu.

Flannigan nie mógł uwierzyć w szczęśliwy traf. Owszem, spodziewał się, że swą przebiegłą sztuczką zdobędzie z pół tuzina róż. Był nawet gotów za nie słono zapłacić. Kiedy jednak Lilia zabrała się do ścinania róż, pomyślał, że do ich przetransportowania przydałby się samochód dostawczy.

– Dziękuję pani. Jestem bardzo wdzięczny za tę uprzejmość.

– Nie ma o czym mówić. Niech no tylko skończę. Mam dosyć tych starych róż. Cieszę się, że mogę się ich pozbyć.

– To powinno wystarczyć, proszę pani. Bardzo mi pani pomogła. – Mick stał z olbrzymim naręczem wielokolorowych róż.

– Jeśli odkryje pan w nich tę chorobę, proszę tutaj nie przychodzić i nie mówić o tym pani Shumaker. Niech pan to zatrzyma dla siebie. Może wreszcie wszystkie te kwiaty powymierają. – Otrzeпаła z ziemi ręce, po czym z zadowoleniem spojrzała na zdewastowaną grządkę pomiędzy krzakami róż.

Róże spoczywające w ramionach Micka w naturalny sposób układały się na różne strony, niektóre z nich długie, inne – krótsze; różowe, czerwone, żółte, białe i brzoskwińowe. Ze środka majestatycznie wystawał długi, pojedynczy czarny kwiat Flannigan jeszcze raz podziękował i wyszedł.

Casey czekał na niego w pokoju, trzymając w ręku srebrną tacę.

– Czy miałeś jakieś kłopoty? – zapytał Flannigan, badając zawartość tacy.

– Żadnych. A ty? – Casey spojrzał na róże.

– Poszło jak po maśle. – Włożył bukiet do dużego wazonu, w którym wcześniej stały sztuczne kwiaty. Nalał do niego wody i postawił na srebrnej tacy, po czym zrobił krok do tyłu, by przyjrzeć się swemu dziełu.

– Tworzymy niezłą drużynę, Flannigan.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele, Casey.
- Nie śmiałybym – odrzekł, przekornie pokazując figę za plecami.

Tess szcztokowała bujne włosy, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Kto tam?
- Kogo byś sobie życzyła?

Rozpoznała głos Flannigana. Uśmiechając się odłożyła szcztokę na bok.

- Czy to ty, Casey? – zapytała figlarnie.
- Powiniennem sam zjeść te wszystkie truskawki.
- Przyniosłeś jedzenie?

Otworzyła drzwi. Stał w nich Flannigan. Trzymał w ręku tacę z jedzeniem i największy bukiet róż, jaki kiedykolwiek w życiu widziała.

– Róże. – Wtuliła twarz między płatki. – Kocham róże – powiedziała, uśmiechając się ponad tęczę kwiatów. – Skąd ty je wytrzasnąłeś?

– Z ogrodu.

– Z czyjego ogrodu? – Uśmiechnął się tajemniczo, a Tess zażartowała: – Przyznaj się, ukradłeś je.

– Tylko wyłudziłem, używając moich niesamowitych wdzięków.

– Czy poszedłeś z kimś do łóżka dla tych róż?

Pchnął ją w głąb pokoju i zamknął za sobą drzwi. Następnie postawił tacę na małym stoliku przy oknie i przyciągnął Tess w swe ramiona.

– Czy uważasz, że jestem atrakcyjny w łóżku, Tess, kochanie?

– Nie zebrałam jeszcze wystarczająco dużo doświadczeń, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Moglibyśmy coś na to poradzić. – Rzucił okiem na łóżko.

– Wystygłoby mi jedzenie.

Wyśliznęła się z jego objęcia, nie napotykając żadnego sprzeciwu. Pomyślała, że powinna czuć wdzięczność, iż nie stawiał oporu. Wmawiała sobie, że mogłaby się z nim kochać całymi dniami i wciąż pozostać uczuciowo niezależną. Jednak nie czuła się na siłach, aby sprawdzić swoją teorię. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Poczekaj do czasu, kiedy ochłonie po wrażeniach ich pierwszego po tylu latach spotkania.

Siadła przed tacą ze śniadaniem i spróbowała kawałek grzanki. Miała wszystko, o co prosiła, nawet prawdziwe masło. Podniosła oczy na obserwującego jej ruchy Flannigana. Stał wsparty o komodę. „Jest tylko zwyczajnym mężczyzną” – powtarzała sobie w myślach. Ale czy zwyczajny mężczyzna wyczarowałby dla niej róże i przyniósłby śniadanie na srebrnej tacy do obskurnego motelowego pokoju?

Nie chciała się teraz nad tym wszystkim zastanawiać. Byli właśnie na początku wspólnej podróży i gdyby zaczęła uważać Flannigana za kogoś wyjątkowego, na pewno straciłaby dla niego głowę. A może nawet i serce.

Wzięła z tacy jedną truskawkę.

– Masz ochotę, Mick?

– Tak. – Powoli przeszedł przez pokój. Wydawało się, że zbliża się do niej z naprawdę dużej odległości. – Chyba pamiętasz, jak bardzo lubię truskawki.

Skinęła głową, nie odrywając od niego oczu. Kiedy był już prawie przy niej, włożyła sobie truskawkę do ust. Pochylił się, obejmując jedną ręką ramię Tess i ugryzł wystającą część owocu. Słodki sok rozlał się pomiędzy ich wargami. Rozkoszowali się tym smakiem, ale przede wszystkim rozkoszowali się chwilą. Jeszcze raz cofnęli się w czasie do momentów ich miłosnego rytuału, do którego wrócili z taką łatwością, jakby odprawiali go jeszcze wczoraj.

W ten sposób zjedli wszystkie truskawki; ani na chwilę nie odrywali od siebie oczu. Potem Mick odszedł od Tess i zaczął się tak zachowywać, jakby się nic między nimi nie wydarzyło. Tess również opanowała przyspieszone bicie serca i udawała, że to nie miało żadnego znaczenia. Mogłaby w ten sposób jeść truskawki z kimkolwiek by tylko chciała, dzieląc się słodyczą i dotykiem zwilżonych sokiem ust.

Aby okazać mu swoją obojętność, zjadła całe śniadanie, nawet przez chwilę nie odpowiadając na jego uporczywe spojrzenie. Do diabła, dlaczego tak na nią patrzył? Przypomniła sobie jego zaloty, kiedy stała na scenie i czuła spojrzenie wpatrzonych w nią z drugiego końca sali oczu. Jej ciało rozpalało się w każdym miejscu, którego dotykał swoim wzrokiem.

Teraz nie tylko płonęło, ale wręcz topniało, spływając w dół strużkami potu. Kątem oka widziała łóżko, które wciąż nie dawało jej spokoju, jakby to, że ostatnio się na nim kochali, nappełniło je magicznymi siłami.

Dlaczego się nie odzywał? Do diabła, dlaczego się nie odzywał? Sama nie potrafiła rozpocząć rozmowy. Nigdy w życiu tak jej nie brakowało słów przy Micku Flanniganie. Ani wtedy, gdy byli przyjaciółmi, ani później, kiedy zostali kochankami, wreszcie mężem i żoną. Nigdy. A teraz, gdy posmakowali już wspólnie truskawek i... łóżka, zupełnie nie potrafiła otworzyć do niego ust.

– Jak...

– A może...

Oboje odezwali się w tym samym momencie. Mick wyciągnął z kieszeni cygaro i włożył je do ust.

– Damy mają pierwszeństwo.

– Nie jestem damą.

– Jesteś największą damą, jaką znam.

– Naprawdę? – Czuła się tak, jakby Mick udekorował ją medalem. Mimo że nigdy nie aspirowała do tytułu damy (choć dla tego, że ciotka Bertha tak uparcie chciała z niej damę uczynić), to niezmiernie ucieszyła się, że Mick obdarzył ją tym komplementem.

– Oczywiście, że nią jesteś, kochanie.

Mick podszedł do wazonu i wyciągnął z niego czarną różę. Oderwał długą łodygę i wszystkie kolce, po czym wsunął kwiat we włosy Tess.

– Specjalna róża dla specjalnej damy.

– Mick. – Ujęła jego rękę i przytuliła do policzka. – Uważaj, żebym cię za bardzo nie polubiła.

– Lubisz mnie, Tess? – Ożywił się, jak świeżo zroszona deszczem trawa.

– Bardziej niż powinnam.

– Według czyich norm?

– Moich. – Puściła jego dłoń. Odsunęła się z krzesłem od stołu. Patrząc mu prosto w oczy, powiedziała całą prawdę: – Mick, podoba mi się to, jak się ubierasz, jak się śmiejesz, jak zachowujesz się w łóżku, ale nie chciałabym się w tobie ponownie zakochać... Więc tego nie zrobię.

– To dobrze. Ja również nie mam zamiaru się w tobie zakochiwać.

Niebieskie oczy zderzyły się z zielonymi. Oboje byli nieustępliwi. Wreszcie O'Toole wyzwolił ich z zaciętej walki. Zeskoczył ze swego legowiska na łóżko i przemknął przez pokój aż do swej pani. Otarł się o jej nogę. Kiedy go zignorowała, położył na jej udzie łapę i głośno zamiauczał.

Pochyliła się, by wziąć go na rękę.

– Biedny O'Toole. – Podrapała go za uchem i pieszczotliwie pocałowała w łebek. – Biedny, samotny kocie. Czy wszyscy cię ignorują? – Podniosła go wyżej i zanurzyła twarz w miękkie futerko. – Nie martw się, staruszkule, nie pozwolę, byś czuł się osamotniony.

– Jeżeli kiedykolwiek przejdę reinkarnację, wrócę jako kocur – powiedział Flannigan, podchodząc do drzwi.

– Flannigan – zawołała za nim Tess. Odwrócił się i spojrzeli na siebie.

– Ty już jesteś kocurem.

ROZDZIAŁ 8

Tess i Flannigan zabrali Casey'a, aby kupić mu nowe ubranie. Siedzieli na obitych pluszem fotelach u Reeda – w najmniejszym sklepie w Tupelo i patrzyli, jak Casey paraduje przed nimi z wypiętą piersią, prezentując na sobie coraz to inne ubrania.

– Moje stare ubrania ciągle mi jeszcze wystarczają – powiedział, przymierzając nowe sztruksowe spodnie i bawełnianą koszulkę w paski. – Nie biorę jałmużny – dodał, wdzierając się przed ogromnym lustrem.

– To nie jest jałmużna – nalegał Mick. – Potraktuj to jako inwestycję. Jeśli nie będziesz wyglądał przyzwoicie, nikt nie zechce się do ciebie przyznać. Żeby się pozbyć twojego towarzystwa, musimy cię trochę wygładzić.

Casey uśmiechnął się i ponownie zniknął za zasłoną przymierzalni.

– Flannigan, ty chcesz go urazić.

– My z Caseyem dobrze się rozumiemy. – Wyprostował się zadowolony. – Poza tym, czy przyjrzałaś się jego twarzy? Od lat nie miał tyle uciechy.

– Ty również.

– Co? – Odwrócił głowę, spoglądając na Tess.

– Szkoda, że nie możesz siebie zobaczyć, Mick. Jesteś tak dumny z tego człowieka, jakby naprawdę był twoim ojcem.

– A ty, kochanie? Kiedy przymierzał te kubańskie szorty, wydawało mi się, że dostrzegam w twoich oczach błysk, jakbyś była jego córką.

– Bermudzkie. To były bermudzkie szorty.

– Wiedziałem, że to któraś z tych wysp. Sam jestem miłośnikiem dzinsów.

Znowu patrzyli na siebie, czekając na pojawienie się Casey'a, ale żadne z nich nie zaprzeczyło swoim wrażeniom. Rzeczywiście Mickowi wydawało się, że ma niezłą zabawę. To dziwne, że zwykłe wyjście do sklepu mogło mu dać więcej zadowolenia niż podróż do obcego miasta i spacer obcymi ulicami w poszukiwaniu nowych wrażeń.

Nagle myśl o kolejnej podróży napełniła go dziwnym uczuciem znużenia. Może był już za stary, by gonić za tęczami. A może nie wiedział, za którą z nich ma podążać.

Casey wyszedł z przebieralni ubrany w sportowy płaszcz w kratę i płócienne spodnie. Ostatecznie kupili mu skromny strój, łącznie z bielizną. Casey wybrał komplet slipów firmy Snoopy, Superman i Garfield.

– Czy masz jakieś plany związane z tą częścią garderoby? – zaśmiał się Mick.

– Może będę ci je pożyczał. To ty ich najbardziej potrzebujesz.

Tess udawała, że nie słyszy. Przypomniała sobie noc spędzoną w ramionach Micka i nagle zapragnęła, żeby ich podróż trwała wiecznie. Mick i

Casey śmiali się i żartowali za jej plecami jak starzy przyjaciele.

Wyobraziła sobie całą trójkę, jak wsiadają do wypożyczonego brązowego forda i ruszają na zachód, w kierunku czerwonej tarczy słońca. Wiedziała nawet, jaki temat muzyczny będzie im towarzyszył: „Dziewięćdziesiąt butelek piwa na murze”. Zawsze śpiewali z Flanniganem tę piosenkę podczas wspólnych podróży. Może zaśpiewają ją i tym razem.

Nagle poczuła się bardzo radosna. Odwróciwszy się do Micka i Caseya, powiedziała:

– Następnym przystankiem będzie fryzjer.

Zanim Tess i Flannigan przygotowali Caseya do podróży, zrobiło się popołudnie. Postanowili wyruszyć samochodem, nie zaś samolotem Micka. Przy wyborze samochodu szczególnie obstawał Casey, któremu odpowiadało wspólne spędzenie długiej podróży.

– W czasie takich poszukiwań – powiedział – liczę na to, że pewne miejsca poruszą moją pamięć. Mam wrażenie, że widzę je lepiej z ziemi niż z powietrza.

– Nie sądzisz, że moglibyśmy rozpocząć nasze poszukiwania już tutaj, w Tupelo? – zapytała Tess.

– Nie jestem za tym – rzekł Casey. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli skierujemy się na południe, do Vicksburga. – Nazwa tego miasta wydała mu się romantyczna.

– Czy wybrałaś to miasto z jakiegoś szczególnego powodu? – Tess zaczynała wątpić w powodzenie ich wyprawy, zwłaszcza pod przewodnictwem Caseya. Spojrzała na Micka, szukając u niego pomocy. Mrugnął do niej i wypuścił w jej kierunku dwa kółka dymu.

– To tylko przeczucie. – Casey położył obie ręce na piersi. – Dziwne uczucie, które przepelnia moje serce.

– To tylko niestrawność – podsumował Mick. Zaśmiali się razem z Caseyem; Tess nie wydawało się to takie śmieszne.

– Nie wiem jak wy, moi dowcipnisie, ale ja jestem gotowa do drogi.

Kiedy Tess wyszła z pokoju, Casey oparł się wygodnie o tył krzesła i zaczął bawić się laską ze złocistym czubkiem. Mick zaciągnął się cygarem i długo wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła.

– Nie pójdziemy za nią? – odezwał się w końcu Casey. – Nie.

– Dlaczego?

– Ona tu wróci.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ ma cztery walizki i ktoś musi je zabrać. Wróci tutaj z uroczym uśmiechem na ustach i powie: – Mick, trzeba załadować moje walizki. – Zaśmiał się. – Zawsze lubiłem obserwować Tess Jones w akcji.

Wyjął z ust cygaro i spoglądał na rozżarzoną końcówkę.

– Poza tym chcę skończyć cygaro, nim wyruszymy do Vicksburga. – Odchylił się do tyłu i wypuścił kłęb dymu, myśląc o Tess i jej czterech walizkach. Lubił czuć się potrzebny. Mimo że Tess była najbardziej niezależną i wyzwoloną ze znanych mu kobiet, to zawsze dawała mu odczuć, że go potrzebuje.

W sąsiednim pokoju Tess karmiła O'Toole'a, aby nie sprawiał kłopotu w czasie podróży. Kiedy kot zajmował się posiłkiem, Tess zapakowała ostatnie rzeczy do walizek i ruszyła w kierunku drzwi po Micka.

– Co ty wyprawiasz, Tess Jones? – Wróciła do pokoju. – Za chwilę nawet w kąpielni nie poradzisz sobie bez Micka Flannigana namydlającego ci plecy.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer recepcji.

– Mówi Tess Jones z pokoju numer trzy. Czy mogę prosić bagażowego o zniesienie walizek do samochodu?

– Bagażowego? Czy prosi pani o bagażowego? – Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zanosił się śmiechem.

– Tak. Mam cztery walizki i trzy z nich są naprawdę ciężkie.

– Proszę pani, to nie jest hotel „Beverly Hills”. Nie mamy bagażowych.

Tess przez chwilę pomyślała o użyciu swoich wdzięków lub o łapówce, ale szybko zmieniła decyzję. Ona pokaże temu Flanniganowi. Jeśli się nie myliła, powinien być teraz siedzieć w sąsiednim pokoju, paląc cygaro, śmiejąc się i czekając, aż go zawoła.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia. – Ruszyła w kierunku drzwi. – Poczekaj tutaj – powiedziała do kota. – Zaraz wracam.

Otworzyła drzwi, nucąc znaną melodię.

Dwadzieścia minut później zapukała do drzwi Flannigana.

– Flannigan, otwórz. Mrugnął do Casey'a.

– Widzisz. Nie mówiłem? – Tess stała w drzwiach z promieniami słońca padającymi na włosy. Oparł się o framugę urzeczony jej widokiem. – Widzę, że przyszedłeś prosić o pomoc.

– Pomoc? Niby dlaczego, Flannigan? Wystarczy, że kiwnę palcem, a na moje zawołanie przybiegnie przynajmniej sześciu mężczyzn.

Ciągle jeszcze bolały ją ręce od dźwigania ciężkich walizek, ale mu o tym nie powiedziała. Podeszła do okna i wskazała na forda. Silnik już pracował, a drzwiczki od strony kierowcy były otwarte na oścież.

– Gdybyście chcieli jechać ze mną do Vicksburga, to przyszedłam wam powiedzieć, że właśnie jestem gotowa.

– Samochód jest na biegu.

– Wiem o tym, ale zaciągnęłam hamulec.

– Zaciągnęłaś hamulec?

– Dlaczego jesteś zaskoczony? Sam mnie nauczyłeś, jak to się robi. – Wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w policzek. – Nie myśl sobie, że jesteś kimś niezbędnym, Flannigan.

Powiedziawszy to, wróciła z zadartym nosem do samochodu krokiem godnym najszlachetniejszej krwi żrebaka.

Flannigan zaśmiał się i poszedł za nią. Siedziała już za kierownicą, nucąc dobiegającą z radia bluesową melodię.

Jednym gładkim ruchem przeniósł ją na sąsiednie miejsce, a sam usiadł za kierownicą. Następnie przysunął się bliżej i objął ją ramieniem.

– Do czego ty zmierzasz? Uśmiechnął się, zaglądając jej w oczy.

– A jak sądzisz, do czego ja zmierzam?

– Jeśli myślisz o popołudniowym kochaniu się, to pamiętaj, że to nie twój karawan.

– Nie ma zasłon? – Spojrzał do tyłu i udał zmartwionego. – Nie wiesz, jak mnie to rozczarowało. – Przetrzywał ją jeszcze przez ułamek sekundy. – Nie chodzi o to, że się będziemy kochali, ale przykro mi, gdy widzę twoje rozczarowanie. – Szeroko uśmiechnięty przesunął się z powrotem za kierownicę. – Ja prowadzę.

– Teraz wiem, dlaczego lubiłam bardziej Carsona niż ciebie. Nigdy nie był apodyktyczny.

– W takim razie nie był dla ciebie dobrym partnerem. Na pewno się śmiertelnie nudziłaś. – Trzasnął drzwiami mocniej, niż zamierzał. Miał nadzieję, że Carson był nie tylko nudziarzem, ale i impotentem.

W nie najlepszym nastroju cofnął samochód, wyjeżdżając z parkingu. Wtedy gwałtownie zahamował.

– Co się stało? – zapytała Tess.

– Zapomnieliśmy o Casey.

– Ja nie zapomniałam o Casey. Ty zapomnieliś o Casey.

Mick z powrotem zaparkował i wrócił biegiem do motelu. Tess czekała w samochodzie. Odgarnęła z szyi swe ciężkie włosy. Zapomnieli nie tylko o Casey, ale i o torbie Micka. Widać było, że dali się ponieść nerwom.

– Muszę się dzielniej trzymać, O’Toole – odezwała się do kota, który wylegiwał się w słonecznych promieniach na tylnym siedzeniu.

Mick wszedł na krótko do motelowego pokoju i kiedy zniknął jej z pola widzenia, zmieniła decyzję dotyczącą taktyki postępowania z nim. Łatwą rzeczą wydawało się przyrzekanie sobie w pustym motelowym pokoju, że może się z nim kochać bez końca i bez większych zawrotów głowy.

Ale było to przed incydentem z truskawkami, srebrną tacą i czarną różą. I zanim nazwał ją największą damą na świecie.

– Och, Flannigan – westchnęła patrząc, jak wylania się z za drzwi, trzymając płócienną torbę i ciągnąc za sobą Caseya. – Nie straciłeś ani odrobiny swego dawnego wdzięku.

Mick śmiał się z czegoś, co powiedział Casey.

Serce podeszło jej do gardła, a oczy napęłniły się łzami.

– Nie staraj się, bym pragnęła tego, czego mieć nie mogę – wyszeptała. – Nie doprowadzaj mnie do tego, żebym chciała mieć ciebie i Casey’ego naprawdę.

Obaj mężczyźni zniknęli z tyłu samochodu, aby zapakować do bagażnika swoje torby. Dlaczego siedziała tutaj, w samochodzie, który za chwilę ruszy w kierunku Vicksburga w Missisipi, w towarzystwie jednego mężczyzny, którego nie miała odwagi kochać, i drugiego, co do którego nie była pewna, czy może mu zaufać.

– Gotowa? – Mick wsunął się na siedzenie kierowcy, a Casey usadowił się obok O’Toole’a.

– Gotowa – odpowiedziała, nawet nie odwracając głowy.

Wydawało się ważne nie patrzeć na jego twarz teraz, kiedy byli już w drodze i kierowali się do określonego celu. Zawsze tak bardzo lubili wspólne podróżowanie.

Postanowiła, że ta wyprawa nie będzie kolejną nostalgiczną podróżą w przeszłość.

Po południu ruch na szosie był bardzo duży, więc milczała, gdy Mick przedzierał się przez miasto, w stronę alei Natchez Trace. Kiedy wyjechali na tę opustoszałą i piękną krajobrazowo trasę, oparła głowę o tył siedzenia i przymknęła oczy.

– Śpiąca? – zapytał Mick.

– Tak. – Nie odwróciła głowy. Jechali tak przez chwilę w milczeniu.

– Możesz oprzeć głowę na moim ramieniu – odezwał się w końcu.

– Nie, dziękuję.

– Pomyślałem sobie, że mogłoby ci być wygodniej.

Obserwował ją kątem oka, podziwiał piękno opromienionej słońcem twarzy. Skóra miała wygląd delikatnej, dojrzałej brzoskwini. Sam ten widok wzbudzał w nim pragnienie.

Był egoistą, pomyślał o sobie, egoistą w każdym calu. Cierpiał, gdy opuszczał ją dziesięć lat temu i cierpiał teraz, wiedząc, że znów będzie musiał ją opuścić. Ale pomimo świadomości, że odjedzie po rozwiązaniu sprawy z Casey’em, pragnął jej. Co tam jego egoizm, pragnął dotykać jej skóry, czuć ją w ramionach. O tak, pragnął się z nią kochać. Teraz. Miał ochotę zjechać z trasy, w jedną z tych ustronnych alejek, rozebrać ją do naga i zachwycać się jej ciałem, tak jak ostatniej nocy.

Jego poranny napływ honoru zdawał się ustępować. Teraz, kiedy posmakował ciała Tess, będzie go pragnął każdego dnia. Nie wyobrażał sobie przebrnięcia przez następnych kilka lat bez wspólnie spędzanych nocy.

Zacisnął ręce na kierownicy. Musiał to zrobić. Musiał trzymać się z daleka od Tess Jones.

– Casey – powiedział cicho, tak aby nie obudzić Tess. Nie usłyszał odpowiedzi. – Casey – powtórzył, patrząc we wsteczne lustro. Casey już

pochrapywał z odchyłoną do tyłu głową. Przypominał rybę z otwartymi ustami.

Mick przyzwyczyił się już do samotnych podróży, kiedy hałas silnika był jedynym jego towarzyszem. Na początku lubił tę samotność. Ostatnimi czasy przestało mu się to wydawać dobrym sposobem spędzania czasu w podróży. Teraz gdy nie miał się do kogo odezwać, oczekiwał, że znów dosięgnie go uczucie samotności.

Lecz tak się nie stało. Mijały kolejne kilometry drogi Natchez Trace. Mick słuchał przyciszonego radia, w żywszych momentach wybijając palcami rytm na kierownicy. Od czasu do czasu spoglądał we wsteczne lusterko, by sprawdzić, czy Casey ciągle jeszcze śpi. Ale częściej patrzył na śpiącą obok niego piękność.

Jak można czuć samotność, gdy się przewozi tak cenny ładunek? Wyłączył radio i zaczął cicho śpiewać głębokim barytonem.

– „Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na murze, dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na murze. Weź jedną i puść w ruch. Dziewięćdziesiąt osiem butelek piwa na murze, dziewięćdziesiąt osiem butelek...”

– „...na murze” – dołączyła się Tess.

– Nie śpisz – rzekł, odwracając się do niej z uśmiechem.

– Śpiewałeś moją piosenkę. – Naszą podróżną piosenkę.

– Nie sądziłam, że ją jeszcze pamiętasz.

– Nigdy nie zapomnę.

Przez chwilę przetrzymał jej spojrzenie, po czym odwrócił wzrok na rozciągającą się przed nimi drogę. Milczeli przez pewien czas, tonąc we wspomnieniach. Tess zaczęła ponownie śpiewać.

– „Dziewięćdziesiąt osiem butelek piwa...” Zawtórował:

– „Weź jedną i puść w obieg. Dziewięćdziesiąt siedem butelek piwa na murze”.

Kiedy doszli do pięćdziesięciu butelek piwa na murze, Casey już nie spał. Dołączył się swym wesołym irlandzkim tenorem. Gdy dotarli do jednej butelki i zakończyli piosenkę, Tess oświadczyła, że mogliby występować jako trio.

– Moglibyście dołączyć do mnie – rzekła.

– Występujesz, kochanie? – zapytał Casey.

– Jest najlepszą piosenkarką bluesową na świecie – powiedział Mick.

– Nie słuchaj. On przesadza. – Ale w skrytości ducha czuła się zaszczyciona. Jeśli Mick wciąż będzie przypinał na jej piersi medale, uwierzy w to, że naprawdę ją lubi, taką jaką jest. Oczywiście była to bzdura. Przede wszystkim, gdyby ją rzeczywiście tak cenił, to nigdy by jej nie opuścił.

– Czy nie czujecie się głodni? – zapytał Mick.

Tess i Casey zgodzili się, że istotnie wygłodnieli po tym wspólnym śpiewie. Mick zatrzymał się przy supermarkecie, aby kupić jedzenie. Urządzili piknik przy trasie, w zacienionej dolince, nad strumykiem wijącym się między

drzewami. O'Toole na tyle porzucił swą królewską pozę, że próbował łapą łowić ryby.

– To najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłem – oznajmił Casey, rzucając ptakom resztki swej kanapki z kielbasą. Wydziobały wszystkie okruchy, po czym usiadły na gałęziach dębu i zaczęły świergotać.

– Przepraszam was bardzo – powiedział Casey i stanął za drzewem. Podniósł z ziemi patyk i zaczął dyrygować ptasią orkiestrą.

Tess patrzyła przez moment, po czym zwróciła się do Micka:

– Jest profesjonalistą.

– Skąd wiesz?

– Ma za sobą doświadczenie. Popatrz, jak prowadzi ten patyk, niczym pałeczkę.

– Tess... – Chciał jej powiedzieć o Casey, ale urwał w pół zdania. Patrzył na jej twarz. Była przepelniona marzeniami. Po co teraz wyjawiać prawdę o Casey i zepsuć całą przyjemność? Pozwoli jej na jeszcze jeden dzień. Niech wszyscy cieszą się jeszcze jednym dniem marzeń i iluzji.

– Co, Mick?

– Nic. – Podniósł się i zaczął zbierać śmieci po pikniku. – Chyba powinniśmy ruszać.

Tess stała przez chwilę wpatrzona w Casey. Tak dobrze się czuł, nucąc i wymachując fikcyjną pałeczką. Jego nogi, odziane w nowe kraciaste szorty bermudzkie, wydawały się wyjątkowo białe i wychudzone.

– Będę tęskniła za tym starym człowiekiem, kiedy odnajdziemy jego syna.

– Ja również.

Wsiedli do samochodu i ponownie ruszyli wzdłuż Natchez Trace. Kiedy przybyli do Vicksburga, zastała ich ciemność.

Casey otworzył tylne okienko.

– Czujecie zapach tej rzeki? Zawsze lubiłem spacerować wzdłuż brzegów rzeki Missisipi, obserwować statki i wsłuchiwać się w dźwięk syren.

– Zrobimy to – powiedziała Tess. – Ale przede wszystkim będziemy szukać twojego syna.

– Oczywiście.

Casey uchwycił we wstecznym lusterku spojrzenie Micka. Obaj nie czuli się najlepiej w tym momencie.

Zajechali do motelu nad brzegiem rzeki. Później, trzymając się za ręce, spacerowali wzdłuż Missisipi i wsłuchiwali się w szum wody i odległe syreny statków, a obok przepływały barki na południe, w kierunku zatoki.

W końcu Casey przyznał się do swego podeszłego wieku i usiadł na ławce, podczas gdy Tess z Mickiem poszli dalej, trzymając się brzegu rzeki. Ich dłonie były splecione, co Casey uznał za dobry znak.

Oparł się o swoją łaskę i zapatrzył w szumiącą rzekę.

– Boże, jestem starym, samolubnym kłamcą, ale spraw dla mnie jeden mały cud. Tylko jeden cud i nie będę cię prosił o nic więcej.

Kiedy księżyc spacerował po niebie, a Casey pochrapywał w swoim pokoju, Tess wstała z łóżka i podeszła do okna. Oparła czoło o chłodną szybę i zapatrzyła się w ciemność.

Mick nie przyjdzie do niej tej nocy. Wiedziała o tym. Nie podważy zamka w drzwiach, a ona nie przebudzi się w jego ramionach. Wpatrywała się przez chwilę w okno, ale nie dostrzegła tam nic oprócz bezgranicznej ciemności. Właśnie to odczuwała. Ciągłą się bez końca ciemność. Noc bez nadchodzącego ranka.

Odwróciła się od okna i skrzyżowała ramiona.

– Co mam robić, O’Toole?

O’Toole zignorował ją, zanurzając jeszcze głębiej głowę w futerku.

Tess poszła w kierunku łazienki. Serce przepelnione miała ogromnym smutkiem samotności. Smuga światła docierająca z łazienki padała na otwartą walizkę. Tess zaczęła ją przeszukiwać, aż znalazła to, czego potrzebowała: czarną różę wciśniętą pomiędzy strony cienkiego tomika poezji Yeatsa. Irlandzkiej poezji.

Przyłożyła delikatny kwiat do policzka i zaczęła czytać.

Jej wzrok przesuwiał się po strofach wiersza. Czytała o tęsknocie poety do „spokoju, który spływa małymi kropelkami”. Zamknęła tomik, wsadzając z powrotem różę między strony.

– Czy tego pragnie twoja błądząca irlandzka dusza, Micku Flanniganie? Czy to dlatego mnie opuściłeś, aby odnaleźć spokój w samotności?

Odłożyła na bok książkę wspominając, jak Mick trzymał ją za rękę, kiedy spacerowali nad rzeką. Ich palce były splecione i cały czas czuła ciepło jego dłoni.

Nagle stanęła jej przed oczami wizja przyszłego życia: Micka spędzającego swe samotne chwile w domku położonym w jakiejś dolinie i siebie stojącą w świetle rampy na pustej scenie. Zdjęła szlafrok; pióra upadły na wyścieloną chodnikiem podłogę. Położyła go następnie na krześle.

Ubrała się w czarne sportowe szorty, czarną koszulkę i wyszła boso z pokoju. Na dworze noc była ciepła i przesiąknięta wilgocią unoszących się nad wodą mgieł. Jej bose stopy zapadły się w miękkiej trawie.

W oknie Flannigana nie paliło się światło. Podważyła zamek i otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ 9

– Zdradzają cię twoje ogniste włosy.

Oczy Tess przywykły do ciemności i dostrzegła siedzącego na krześle Micka.

– Nie sądzisz, że to niebezpieczne wchodzić do pokoju mężczyzny w środku nocy?

Nie odezwała się, jedynie wpatrywała się w niego, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

Siedział bosy i bez koszulki. Na stole stała butelka whisky, a w rękę trzymał do połowy opróżnioną szklanę.

– Sam pijesz, Mick?

– Nie jestem sam. Moje myśli dotrzymują mi towarzystwa.

– Czy są dobrymi kompanami?

Prześliznęła się wzrokiem po pokoju aż do łóżka, obejmując spojrzeniem wszystkie sprzęty.

– Niech będą przeklęte.

Był spięty. Siedział sztywno wyprostowany, miał napięte mięśnie. Im dłużej jej oczy przyzwyczajały się do ciemności, tym bardziej badawczo patrzyli na siebie. Pierwszy przerwał milczenie.

– Z czym przychodzisz, Tess?

Nie „Tess, kochanie”, zauważyła. Tylko Tess. Mick Flannigan był w ponurym nastroju, podobnie jak ona. Podeszła do niego wolnym krokiem.

– Czy chcesz usłyszeć prawdę? – zapytała. – Czy też wolisz, żebym słodko skłamała?

– Wystarczy prawda.

– Czuję się samotna, Mick.

Stała tak blisko, nogami dotykała prawie jego kolan. Gdy podniósł na nią wzrok, jego niebieskie oczy wydawały się niemal czarne. Odstawił na bok szklanę i wyciągnął ramiona. Podeszła jeszcze bliżej.

Posadził ją na kolanach i przytulił do siebie.

– Tess... Tess, kochanie – wyszeptał prosto w jej włosy.

Objęła go jedną ręką za szyję i wtuliła twarz w pierś Micka. Wargami musnęła jego skórę, aż zadrżał. Zaciśnął wokół niej ramiona i poczuła regularne uderzenia serca na swoim policzku.

– Stałam przed oknem – wyszeptała – i myślałam o pustej przyszłości, jaka nas czeka, Mick. – Na rękach Tess pojawiła się łza i spadła delikatnie na jego pierś.

– Nie bój się. Jestem przy tobie.

– Ale nie zawsze będziesz. – Nie zaprzeczył i kolejna łza zwilżyła jego

skórę. – Mick, nagle poczułam się tak samotna.

Trwali w uścisku oniemiaли z tęsknoty. Długo gładził jej jedwabiste włosy, po czym zaczął śpiewać:

– Tu-ra-lu-ra-lu-ral.

Głęboki baryton Micka wypełnił otaczającą ich ciszę.

– „Uspokój się, nie płacz”.

Przyłgnęła do niego pocieszona kołysaniem ramion i melodią „Irlandzkiej kołysanki”. Kiedy skończył pierwszą zwrotkę, podniosła głowę do góry.

– To piękne, Mick. Nie przerywaj.

Śpiewał dalej, kołysząc jej ciało. I gdy tak wracali myślami do chwil, kiedy Mick trzymał ją w ramionach, smutek zdawał się odpływać w zapomnienie i ogarnął ją błogi spokój.

Przymknęła powieki. Jej głowa nisko opadła. Czuwał, usypiając ją swą cichą melodią.

– Śpij dobrze, ukochana – szeptał. – Życzę ci różowych snów. Przytrzymując ją ostrożnie, tak żeby się nie przebudziła, sięgnął po harmonijkę.

Przyłożył instrument do ust i zagrał cicho „Irlandzką kołysankę”. Czułe nuty wypełniły pustkę ciszy.

– „Bądź spokojna, nie płacz” – śpiewała harmonijka w ciemności.

Mick skończył tę melodię i rozpoczął następną. Pomyślał przez chwilę, żeby zanieść Tess do łóżka i okryć pościelą, ale był zbyt wielkim egoistą, by uwolnić ją ze swych objęć. Z takim zaufaniem weszła do jego pokoju i usiadła mu na kolanach. Będzie ją trzymał, chronił i pocieszał aż do nadejścia świtu, a później ona się przebudzi i będzie wiedziała, że czuwał przy niej przez całą długą noc.

Tess poczuła drętwienie ciała. Ziewnęła i wyciągnęła się, napotykając na opór twardej piersi. Otworzyła oczy.

– Dzień dobry, Tess, kochanie. Czy dobrze spałaś? Mick ciągle siedział na krześle, a Tess na jego kolanach, dokładnie tak, jak wieczorem. Uśmiechnął się do niej, ale wyglądał na znużonego i zmęczonego – mężczyzna po nie przespanej nocy.

– Czy to rano?

– Prawie. Widzę przez zasłony pierwsze oznaki świtu.

– Czy spędziłam tutaj całą noc? – Tak.

– Trzymałeś mnie przez całą długą noc? – Tak.

Wzięła głęboki oddech, po czym delikatnie położyła dłonie na jego twarzy, gładząc zauważalne drobne zmarszczki, które pojawiły się po nie przespanej nocy.

– Micku Flanniganie, zawsze byłeś moim najlepszym przyjacielem na świecie.

– Czas przeszły?

Jej palce krążyły lekko po twarzy, dłużej zatrzymując się na ustach.

– Czasami wydaje mi się, że ciągle jesteś. – Przysunęła się bliżej i pocałowała go. Był to pocałunek pełen czułości, pochodzący z głębi wdzięcznego serca.

Uśmiechnął się.

– Czy czujesz się lepiej tego ranka, kochana Tess?

– Dużo lepiej. Wspaniale. – Jej twarz promieniała uśmiechem, gdy podniosła się z jego kolan. Miała trochę zdrętwiałe nogi i kiedy je masowała, Mick przytrzymał ją za rękę.

– Jesteś jak młode źrebie.

Pochyliła się i przytuliła twarz do jego policzka.

– A ty jak duży ciepły koc.

Objął ją ramieniem i na chwilę przyłgął do niej, po czym wypuścił ze swego objęcia. Cofnęła się.

– Mick... – Podniosła do góry zielone niczym irlandzkie jeziora oczy. Wstrzymała oddech, tonąc, tonąc i nie pragnąc wcale wydostać się na powierzchnię. Zwilżyła usta koniuszkiem języka i zebrała w sobie całą odwagę, aby odejść. – Dziękuję ci za tę noc.

– Proszę bardzo. To był mój podarunek dla ciebie. „Twój pożegnalny podarunek?” – chciała zapytać. Ale nie zrobiła tego, ponieważ jej serce znało już odpowiedź.

– Będę go czule przechowywać. Zawsze. – „Na długo po tym, jak odejdziesz” – dodała w myślach. Podniosła rękę w geście pożegnania, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Obserwował, jak szła przez pokój, aż wreszcie się odezwał:

– Do zobaczenia przy śniadaniu.

Odwróciła się, jej ręka spoczywała już na klamce.

– Na pewno jesteś bardzo zmęczony. Może lepiej prześpij się, a ja zajmę się tego ranka Caseyem.

– Nie, dziękuję. Będę miał jeszcze dużo czasu na sen.

„Po tym, jak odjedziesz” – pomyślała. Poczula ponownie zbliżającą się falę smutku, ale otrząsnęła się. Musi być silna, jeszcze przez pewien czas.

– W takim razie do zobaczenia przy śniadaniu.

Mick położył rękę na czole. Czuł, że rozsadzało mu głowę. Siedział jeszcze przez chwilę w fotelu z zamkniętymi oczami i pochyloną głową.

– Jestem głupcem – powiedział. Podniósł głowę i wstał z fotela. – Ale szlachetnym głupcem.

Spełniając zachciankę Caseyego, spędzili całe przedpołudnie w Vicksburgu.

Pojechali odwiedzić dwóch mieszkających przy nabrzeżu starych ludzi, którzy, zdaniem Caseya, mogli posiadać jakieś wiadomości o jego synu. Tess i Mick czekali w samochodzie, a Casey po powrocie wyjaśnił, że ich pamięć zatarła się wraz z wiekiem.

– Może powinniśmy wynająć prywatnego detektywa – zaproponowała Tess. – Albo skontaktować się z sierocińcami i biurami opieki społecznej w tym rejonie.

Mick odwrócił się w stronę tylnego siedzenia i popatrzył na Caseya swymi intensywnie błękitnymi oczami.

– Casey, jak ty sądzisz, co powinniśmy zrobić?

– Sądzę, że powinniśmy jechać do następnego miasta. – Casey oczekiwał od Micka sygnałów sprzeciwu, ale kiedy ich nie dostrzegł, kontynuował: – Może należałoby skierować się na południe... Tak lubimy wspólne podróżowanie.

– Mick, pojedźmy na wybrzeże zatoki – odezwała się Tess, a jej oczy zaiskrzyły się na tę myśl.

Mick nie mógł oprzeć się tej pokusie. Planował pożegnać się już dzisiaj, ale na widok promieniującej szczęściem twarzy Tess postanowił zostać jeden dzień dłużej, tylko jeden. A później odjedzie.

A zatem ruszyli na południe, śmiejąc się i śpiewając swą podróżną piosenkę. Tess siedziała na przednim siedzeniu obok Micka. Sama nie wiedziała, dlaczego wybrała wybrzeże zatoki. Z tym miejscem było związanych zbyt dużo wspomnień. Czy usiłowała odzyskać przeszłość? Wiedziała, że przeszłości nie można było odzyskać ani też zmienić. Być może próbowała jedynie odłożyć zbliżający się moment rozstania. Czuła już, że Mick się jej wymyka i że powiększa się między nimi dystans.

Dotarli nad wybrzeże o godzinie ósmej. Jadąc autostradą numer dziewięćdziesiąt, pomiędzy Gulfportem a Biloxi, dostrzegli wysokie kolorowe szczyty namiotów cyrkowych. Mick zwolnił, wpatrując się w wieczorny zmrok.

– Czy widzisz nazwę, Tess?

– Jeszcze nie. Widzę światła na górze. Czeka, Mick. To jest Lunapark Braci Brinkley.

– Aha – powiedział, przejeżdżając obok namiotów. Czasami zbaczał z trasy, czasami się zatrzymywał, ale nie chciał się cofać. Wystarczy, że ostatni weekend minął mu boleśnie na podróżach w przeszłość. Nie chciał więcej tego typu wypraw.

Tess spojrzała na niego badawczo, ale się nie odezwała. Wiedziała, czym był dla niego lunapark. Zaczył nawet więcej niż schronienie czy sposób na życie; był dla Micka domem. Ucisnęła jego dłoń. Nie odwrócił głowy, ale zauważyła uśmiech rozjaśniający mu twarz.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się zabawić w lunaparku – odezwał się Casey.

Lunapark był również czymś romantycznym. Tak przynajmniej sądził Casey. A dla niego kończyły się romantyczne pomysły. Czas szybko uciekał, coraz mniej miał do przeżycia.

Ponieważ Mick ani się nie zatrzymał, ani nie zawrócił, Casey spróbował jeszcze raz.

– Kiedy byłem małym chłopcem, zawsze chciałem pójść do lunaparku.

– Czy nigdy tego nie zrobiłeś? – zapytała Tess.

– Niestety. Moi rodzice byli bardzo surowi. Mówili, że to diabelskie miejsce.

– To prawda – zaśmiał się Mick. – A ja byłem jednym z tych wesołych diabłów.

– Wiesz coś o lunaparku? – Casey pochylił się do przodu.

– Tam się wychowałem. Właśnie w tym lunaparku. W Lunaparku braci Brinkley.

– O rany! W takim razie zawróćmy i złożmy wizytę ludziom, którzy cię wychowywali. Poza tym mam ochotę na watę cukrową. Ślinię się na myśl o smaku różowej waty cukrowej.

– Ślinisz się od nadmiaru gadania – rzekł Mick, ale śmiejąc się zawrócił i pojechał w kierunku lunaparku.

Najpierw kupili watę cukrową. Mick stanął pośrodku kolorowych migających świateł i nawoływania straganiarzy. Myślami przeniósł się do czasów, kiedy był dwunastoletnim chłopcem.

Wuj Artur szykował mu ubranie. Operował nożyczkami, igłą i nitką ze zrodzoną z konieczności fachowością.

– Nie ruszaj się, Mick. Muszę to poprawić. – Wuj Artur ciął norą czerwoną koszulę w kropki, którą sam nosił, gdy zastępował kłowna Grady’ego. Teraz próbował zrobić z niej muchę dla Micka.

– Pamiętaj – mówił – Większość rzeczy można zdobyć w życiu robieniem dobrej miny. Ale na to, co najcenniejsze, trzeba zapracować. – Zajął się mierzeniem i wycinaniem materiału, aż wyszła mu z tego trochę krzywa, ale znośnie wyglądająca mucha. – Teraz pójdziemy tam razem, Mick, i przekonamy pana Buzza Brinkleya, że możesz tutaj zarobić na życie, że nie będziesz sprawiał żadnych kłopotów i nie przyniesiesz strat firmie. A później wejdziemy w spółkę, okey?

Mick stał pomiędzy Tess i O’Toole’em a Caseyem i słuchał odgłosów przeszłości.

– Mick? – Tess pociągnęła Flannigana za rękę, przywracając go obecnej chwili. – Spójrz, Mick. Budka z wróżbami. – Uśmiechnęła się do Caseya. – Czy chcesz, by przepowiedziano ci przyszłość?

– Idźcie sami, dzieciaki. Ja usiądę z O’Toole’em na ławce, zjemy watę cukrową i będziemy obserwowali tłum. Później może przejdziemy się, by

obejrzeć wszystkie atrakcje. Poczekamy na was na ławce. – To powiedziawszy odmaszerował, kołysząc klatkę z O'Toole'em i gwizdząc jakąś melodię.

Mick i Tess stali obok siebie i patrzyli, jak się oddala. Minęła ich duża grupa rozbawionych nastolatków, ktoś pchnął Tess i wpadła na Micka. Złapał ją tuż przy swej piersi. Patrzyli na siebie przez chwilę, a na ich twarzach odbijały się czerwone, niebieskie i żółte światła neonów.

– Czy wiesz, jaka cię czeka przyszłość, Tess, kochanie? – A ty wiesz?

– Znam już swoją przyszłość. – Jego oczy nabrały ponurego wyrazu.

– Zostawiasz nas, prawda?

– Skąd wiedziałas?

– Czułam to. Zacząłeś się oddalać już wczoraj, podczas spaceru nad brzegiem rzeki.

– Czas ruszać w drogę.

– A co z Caseyem?

– Znajdę dla niego miejsce.

– Nie. Może pojechać ze mną. Do Chicago.

– Wiesz o tym, że on nie ma żadnego syna?

– Podejrzewałam.

– Jest po prostu samotnym człowiekiem bez rodziny.

– W takim razie będziemy dzielić chwile naszej samotności.

– Czy czujesz się samotna, Tess, kochanie?

– W tej chwili tak. – Jej też było smutno, ale podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego pogodnie. – To minie. Ktoś się pojawi, by wypełnić pustkę. Kto wie? Może znów wyjdę za mąż.

Flannigan chciał zawyć jak zraniony lew w środku dżungli. Ale nie miał prawa.

– Być może. – Wierzchem dłoni gładził jej policzek. – Mam nadzieję, że tym razem odnajdziesz szczęście.

– Nie szukam szczęścia, Flannigan. Zwykle jestem szczęśliwa.

– Czego więc poszukujesz?

– Kogoś, kto może znieść moje wady i wytrwa przy mnie przez długi czas.

Flannigan nie miał ochoty myśleć o mężczyźnie, który zostanie z nią przez długi czas, może będzie miał dzieci, zestarzeje się, a w końcu razem umrą i zostanie pochowany obok niej, a może nawet zmieszają ich prochy i wrzucą gdzieś w lśniące wody. Ale nie miał prawa się sprzeciwić. Był tylko ex-mężem, chwilowo spędzającym z nią odrobinę czasu.

– A co z tobą, Flannigan? Czego ty poszukujesz?

– Dowiem się, gdy znajdę.

Stali przytuleni do siebie w środku objającego się o nich temu.

– Hej, człowieku! – krzyknął jeden ze straganiarzy do Flannigana. – Chcesz tak stać, obejmując swoją dziewczynę, czy może wolisz wygrać dla niej

misia?

– Wygraj dla mnie misia, Mick. Będzie mnie ogrzewał w nocy, dopóki nie znajdę następnego męża. – Tess zrobiła krok, śmiejąc się z właściwym sobie wdziękiem. Postanowiła być wesoła, dowcipna i przede wszystkim silna. Mick miał odejść – wiedziała o tym wcześniej i tym razem to ona chciała się z nim pożegnać.

Jej serce może pęknąć po powrocie do Chicago i prawdopodobnie będzie wylewała swój smutek, śpiewając bluesa w zadymionym klubie nocnym. Ale dopóki spędza z nim ten wieczór, będzie się zachowywała jak Tess Jones, kobieta o niezłomnej sile.

Mick wrzucił do butelki parę drobniaków i wygrał dla niej misia. Później zestrzelił tandetną złoconą koronę. Kupili bilety na karuzelę, potem na diabelskie koło i wreszcie na pociąg przez tunel miłości. Bawili się beztrzesko, jak gdyby byli młodymi kochankami. Kiedy weszli do budki z plastikowymi kaczkami unoszącymi się na sztucznym stawie, Mick zestrzelił je kolejno, jedną po drugiej, i wygrał dla Tess kolejną nagrodę – podrabiany diamentowy pierścionek.

W szklanym kamieniu odbijały się żółte światła neonów i przez chwilę Tess wyobraziła sobie, że pierścionek jest prawdziwy. Podniosła głowę i ujrzała ponurą, zamyśloną twarz Flannigana. Zaraz, zaraz. Tym razem to ona zadecyduje, kiedy się pożegnają. Postanowiła, że pozostawią po sobie wesołe, a nie ponure wspomnienia.

– To znaczący symbol, Mick. – Zaśmiała się, podając mu pierścionek. – Włóż mi go na palec.

Zrobił to, podchwytyjąc jej beztrzeski nastrój.

– Czy wyjdiesz za mnie, Tess Jones?

– Pod warunkiem, że nie nazywasz się Flannigan, Carson czy O’Toole. Wypróbowałam ich wszystkich i żaden długo nie wytrzymał.

– Nazywam się Canfield, Raiford Canfield. – Ukłonił się przesadnie nisko.

– W takim razie zgadzam się, panie Canfield.

Trzymał Tess za rękę i stał wpatrzony w jej twarz żałując, że nie mają znów po dwadzieścia cztery lata i nie mogą zacząć wszystkiego od początku. Siła jego nastroju była zaraźliwa, Tess próbowała jej się oprzeć. Jednak mimo usilnych starań nie potrafiła odzyskać beztrzeskiego humoru.

– Nie rób mi tego, Mick – wyszeptwała. Przysunął się bliżej, ciemne włosy opadły mu na czoło. Odgarnęła je do tyłu. – Niech to nie będzie ciężka chwila.

Objął jej twarz rękami.

– Kocham cię, Tess, najdroższa. Zawsze będę cię kochał.

– Wiem, że mnie kochasz... ale nie na tyle, by przy mnie zostać.

Dotknął wargami jej czoła. Stali tak przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Tess podniosła głowę.

– Mick, zawieź mnie do motelu.

– Jesteś śpiąca?

– Nie. Chcę się z tobą pożegnać. – Tess...

Wiedziała, że będzie się opierał. Zawsze udawał szlachetnego i dumnego. Chciał odejść, nie żegnając jej nawet przyzwoitym pocałunkiem.

– Lepiej nic nie mów, Micku Flanniganie. Nie próbuj mi tego odebrać.

– Odebrać ci czego?

– Szansy pożegnania się z tobą. – Jej policzki zarumieniły się pod wpływem gniewu. – Ostatni raz, kiedy ode mnie odszedłeś, nie zostawiłeś po sobie nawet wspomnienia o pożegnalnym pocałunku. Przez długie tygodnie sądziłam, że wrócisz. Wydawało mi się, jakbyś wyszedł do sklepu spożywczego i zabłądził po drodze.

– Przepraszam, tak mi przykro.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest ci przykro, Rannigan. Chcę tylko tym razem odpowiednio się z tobą pożegnać. A kiedy już to się skończy, będziesz pamiętał, że to ja się z tobą na zawsze pożegnałam.

– Na zawsze brzmi tak ostatecznie.

– Bo tak będzie, Flannigan. Tym razem nasze drogi przecięły się przypadkowo i zrobię wszystko, żeby się to więcej nie powtórzyło.

Nie musiał pytać dlaczego – znał odpowiedź. Pożegnania były tak trudnymi momentami.

– Chodźmy. – Wziął ją za rękę i pociągnął przez tłum. Mimo swych długich nóg ledwo za nim nadążała. Casey czekał na nich na ławce. Kiedy ich zobaczył, jego pełen nadziei uśmiech natychmiast wygasł. Pragnął zobaczyć dwoje ponownie w sobie zakochanych ludzi, ujrzał natomiast ponure twarze skazańców.

Wstał, wspierając się o laskę.

– Czy dobrze się bawiliście?

– Wspaniale.

– Cudownie.

Oboje odezwali się w tym samym momencie, a ich ponure głosy brzmiały tak, jakby opisywali okrutną wojnę. Casey się zasmucił. Ledwo mógł za nimi nadążyć, kiedy szli w pośpiechu do samochodu.

– Sądzę, że moja mała oszukańcza gra dobiega końca – rzekł, ale nikt go nie usłyszał.

Wsiedli do samochodu. Casey usadowił się z tyłu za O'Toole'em. Z całej czwórki jedynie O'Toole był w dobrym nastroju.

Samochód mknął autostradą numer dziewięćdziesiąt, wioząc swoich smutnych pasażerów. Mick zatrzymał się przy pierwszym lepszym motelu. Było to kilka domków z cegły, stojących z boku autostrady, pomiędzy obrośniętymi hiszpańskim mchem dębami.

Szybko zajęli się zakwaterowaniem i pomógł Caseyowi się wypakować.

Kiedy wyszedł od Casey'a, Tess właśnie zamknęła się w swym pokoju. Poszedł w stronę swoich drzwi. Jego myśli przypominały sztorm szalejący na Morzu Irlandzkim.

Co teraz robiła? Prawdopodobnie układała mściwe pożegnalne plany. Pewnie przyjdzie do jego łóżka. Wejdzie, rzuci na niego swój magiczny urok, a później opuści pokój i już nigdy nie wróci.

– Zobaczmy, Tess Jones Flannigan Carson O'Toole. Zawrócił i wdarł się jak burza do jej pokoju. Nawet nie zapukał.

Kiedy podważył już zamek i otworzył drzwi, pierwszą rzeczą, którą dostrzegł, były jej pantofle ze złotymi cekinami. Jeden z nich leżał na komodzie, drugi porzucony na łóżku. Następnie rzuciła mu się w oczy kolekcja jedwabnych koszul. Leżały rozłożone na łóżku niczym jasna tęcza kolorów.

Pod prysznicem szumiała woda, a spod drzwi łazienki wydostawał się obłok pary. Mick zbliżał się do Tess, idąc śladem piór i jaśminowego zapachu. O'Toole, który zrobił sobie legowisko na czerwonej koszuli, spojrzał do góry ze swego jedwabnego gniazdka, po czym zwinął się w kłębek i zamknął oczy.

Flannigan odchylił zasłonę i wszedł pod prysznic.

Tess właśnie namydlała piersi. Odwróciła się. Mydło i gąbka powoli wysliznęły się z jej rąk.

– Mój Boże, Flannigan. – Patrzyła na niego od góry do dołu. – Jesteś w butach.

– Zawsze przychodzę się pożegnać w butach.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Namydlona skóra zetknęła się z mokrymi błękitnymi dżinsami. Otworzyła szeroko oczy.

– Zwariowałaś.

– To ty chciałaś się ze mną pożegnać.

Przyłgnął do niej ustami w dzikim pocałunku. Próbowwała się wyrzeć i waliła go pięściami w plecy. On jednak nie uwolnił jej z objęcia ani też nie oderwał od niej ust. Biła i drapała jego plecy, a jednocześnie otworzyła usta, w które wdarł się gwałtownie językiem.

– Och, Flannigan... Flannigan.

Oparła się o ścianę obiema rękami, obejmując jego ramiona. Pochylił się wówczas. Ich twarze prawie się dotykały.

– „I kiedy się to już skończy, będziesz pamiętał, że to ja się z tobą na zawsze pożegnałam”. – Jego niski głos zapowiadał nieuchronne starcie. Słyszała już pbrzękiwanie szabli i czuła zapach spalanego prochu. – Czy to nie twoje słowa, Tess?

– Moje. Powiedziałam też, że się z tobą odpowiednio pożegnám.

– Jak odpowiednio? – Odsunął się; usłyszała metaliczny szept suwaka i zobaczyła, jak przed chwilę zmaga się ze swoimi mokrymi dżinsami. Serce zabiło jej szybciej. – Tak odpowiednio? – dodał.

Gwałtownie podniósł ją do góry i posadził na swych biodrach, z oplecionymi wokół swego ciała nogami. Plecami wspierała się o ścianę. Grom połączył się z błyskawicą. Przestraszony nagłą burzą ciało O'Toole zeskoczył pod łóżko.

Miłość, ból i gwałt mieszały się we Flanniganie, kiedy wdzierał się w Tess. Wykrzykiwał swe uczucia w niezrozumiałym języku. Przywarła do niego blisko i wymawiała jego imię, powtarzając je tak długo, aż stało się ono jednocześnie ekstatyczną litanią i smutną melodią złamanego serca.

Nie czuli, jak na ich ciała kaskadami spadała woda. Rozpuszczone mydło spływało w dół białymi strumieniami.

Flannigan utrzymywał się na nogach jedynie siłą woli. Jego ubranie nasiąknęło wodą, a piersi Tess zaróżowiły się w miejscach, gdzie odciskały się guziki jego koszuli.

Ich walka przeciągała się, wciąż nie potrafili się pożegnać. Pożerali się wzajemnie, ich biodra falowały w starym jak świat tańcu, a otwarte wygłodniałe usta lgnęły jedne do drugich.

Trwali tak, unikając myśli o rozstaniu i przedłużając w nieskończoność miłosny akt. Ale w końcu nie mogli dłużej zwlekać. Wykrzyknął jej imię i odbiło się ono przeciągłym echem. Brzmiało to niczym długi, rozpaczliwy lament.

Wsparła czoło o jego ramię i nie wiedziała, czy to woda, czy też łzy skapują z twarzy na jego koszulę. Położył rękę na karku Tess i przytulił ją jeszcze bliżej.

Stali tak przez kilka minut, lgnąc do siebie w cichej agonii. Wreszcie wypuścił ją z objęć, stawiając delikatnie na bosych stopach. Oparła się o ścianę. Na jej twarzy malował się wyraz oczekiwania.

Oczy Micka wyglądały jak kawałki rozbitego niebieskiego szkła. Ani na chwilę nie odrywał ich od jej twarzy, nawet gdy doprowadzał do ładu swe przemoczone ubranie. Słysząc było jedynie jego ciężki oddech i szum nieprzerwanego strumienia wody.

„Odezwij się” – prosiła go w myślach.

Ale on milczał. Wciąż patrzył na nią szklanymi oczami.

Chciała coś powiedzieć. Nawet otworzyła już usta, ale uświadomiła sobie, że nie pozostało już nic do powiedzenia.

Flannigan obserwował ją jeszcze przez jakiś czas. Potem wyciągnął dłoń i wędrował po jej twarzy, od brwi aż po usta.

Przymknęła oczy, starając się utrwalić uczucie dotyku na mokrej skórze. Nagle ta chwila została przerwana.

Zacisnęła mocno powieki, powstrzymując napływające do przymkniętych oczu łzy. Usłyszała odgłos odsuwanej zasłony i plusk wody w jego butach. Potem nie dobiegł do niej już żaden dźwięk oprócz szumu wody.

I kiedy otworzyła oczy, nie było już Flannigana. Zakręciła kurki, wytarte się i położyła na łóżku, w środku tęczy jedwabnych koszul.

Patrzyła przed siebie w ciemność przez długie minuty. Na łóżko wskoczył O'Toole i usadowił się obok jej ramienia. Ponieważ nie zwróciła na niego żadnej uwagi, przespacerował po jej brzuchu i zakopał się w czerwony jedwab.

– Dobranoc, Flannigan – wyszeptała Tess. Odwróciła się twarzą do ciemnej ściany i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ 10

Po powrocie do swojego pokoju Flannigan zdjął mokre ubranie i położył się nagi na łóżku. Wpatrywał się w ciemny sufit. Musiał przysnąć, bo kiedy się ocknął, za oknem już świtało.

Najpierw zadzwonił na lotnisko, a potem do pokoju Caseya.

– Musimy porozmawiać, Casey. – Kiedy?

– Natychmiast. Spotkajmy się w kawiarence obok recepcji. Flannigan ubrał się i udał w umówione miejsce. Zdążył poprosić kelnera o filiżankę kawy, gdy pojawił się Casey.

– Wyglądasz makabrycznie – powiedział, siadając obok.

– Tak też się czuję.

– Gdzie masz normalne buty?

– Są mokre. – Flannigan nie wyjaśniał dalej, tylko podsunął pod siebie obute w tenisówki stopy i podał Caseyowi menu. – Najpierw coś zamówmy.

Po złożeniu zamówienia Flannigan zaczął mówić.

– Zakończyliśmy poszukiwania twojego syna. Wczoraj wieczorem powiedziałem Tess całą prawdę.

– Myślę, że dobrze zrobiłeś. Sam jej to dzisiaj chciałem powiedzieć. – Patrząc na Flannigana, zamoczył ciastko w kawie.

– Myślę, że znajdę sobie następny domek, ale taki, który nie będzie przeciekał po każdym deszczu.

– Tess chce cię zabrać ze sobą do Chicago.

Casey nagle się ożywił. Jego twarz pojaśniała, wyprostował ramiona, wziął głęboki oddech.

– Bogu niech będą dzięki.

– Pojedziesz z nią – rzekł Flannigan, pochylając się nad stolikiem. Jego twarz przybrała groźny wygląd. – Będiesz dla niej uprzejmy, pomocny i dobry, i nigdy więcej jej nie oszukasz. Zrozumiałeś?

– Doskonale.

– To dobrze. – Flannigan wyciągnął z kieszeni bilet lotniczy i położył go na stoliku. – To bilet Tess. Załatwiłem to tak, że będzie leciała z Biloxi zamiast z Tupelo. Twój bilet czeka na ciebie w okienku kasy. Taksówka przyjedzie o jedenastej.

– Skąd wziąłeś ten bilet?

– Wyjąłem jej z kieszeni.

– A ty dokąd jedziesz, Micku Flanniganie?

– Tam, gdzie nie ma kobiet o ognistych włosach i odgrywających swe oszukańcze role Irlandczyków.

Casey wpatrywał się w cierpiącego człowieka, który siedział po drugiej

stronie stolika. Ręce starego zajęte były obracaniem laski. Wreszcie się odezwał:

– Zmarnowałem większą część mojego życia, zanim odnalazłem swoją rodzinę. I nagle spadła mi jak z nieba. Gdybym was wtedy nie podsłuchiwał w parku... i gdyby Tess tam nie wróciła, wciąż byłbym w Tupelo w swoim tekturowym pudle. – Casey pochylił się nad stolikiem. Jego pomarszczona twarz przepełniła się wielkim uczuciem. – Ty nie czekaj całe życie, aby znaleźć sobie rodzinę, Mick.

– Nie szukam jej.

– Za czym więc gonisz?

– Teraz już nie wiem. – Podniósł się i wyciągnął rękę. – Do widzenia, Casey. Opiekuj się Tess w moim imieniu.

Flannigan oddalił się, nie oglądając się za siebie. Nawet z Caseyem było mu się ciężko pożegnać. Wsiadając do wypożyczonego forda, pomyślał, że się postarzał. Postarzał się do tego stopnia, że nie mógł znieść powitań i rozstań. Może powinien wrócić do Tupelo, wsiąść do samolotu i polecieć gdzieś na pustkowie, gdzie tylko ptaki i od czasu do czasu jakiś grzechotnik dotrzymywaliby mu towarzystwa. Przy jego obecnym nastroju właśnie grzechotnik byłby dla niego świetnym kompanem.

Jechał wzdłuż plaży, nie podążając w żadnym określonym kierunku. Chciał się oddalić od motelu do czasu, kiedy nie opuści go Tess z Caseyem. Czuł się jak wielki tchórz.

Zaparkował samochód w ustronnym miejscu. Zdjął buty i poszedł plażą w kierunku wody. Słońce grzało coraz bardziej wraz z postępującym dniem. Głowa Micka odczuwała całą moc słonecznych promieni. Spojrzał w górę.

Po niebie wspinał się samolot. Słysząc daleki odgłos silników. Wdzięcznie zakręcił i skierował się na północ, zostawiając za sobą białą smugę.

– Żegnaj, Tess, kochanie.

Usiadł na piasku i obserwował bijące o brzeg fale.

Flannigan pozostał w Biloxi przez tydzień. Zamyślony i wpatrzony w otchłanie wody spacerował samotnie po plaży. Nocami przesiadywał w kącie zadymionej kawiarni. W rękę trzymał szklankę whisky i wsłuchiwał się w bluesowe dźwięki fortepianu. Myślał o Tess i Caseyu. Co teraz robili? Śpiewali irlandzkie piosenki? Spacerowali brzegiem jeziora Michigan, Casey bawił się swoją laską, a Tess szła roześmiana obok niego? Zdawało mu się, że słyszy jej pogodny śmiech na tle fortepianowej melodii.

Nagle poczuł, że nie może już dłużej słuchać tej muzyki. Pozostawił na stoliku nietkniętą szklankę whisky i poszedł do samochodu. Czas w drogę. Czas przerwać chwile zadumy i ruszać naprzód. Za długo już stał w miejscu.

Pojechał w kierunku motelu. W górze migały światła lunaparku. Zwolnił, patrząc na błyskające w ciemności światelka. Zacisnął ręce na kierownicy i

zawrócił w kierunku Lunaparku Braci Brinkley.

Miał wrażenie, że doświadczył déjà vu, bo poczuł, jakby wracał do domu. Oczywiście było to bzdurą. Wuj Artur nie żył już od dawna. I nie miał kontaktu z całą resztą – Mackym, kłownem i jego żoną, Lizą, akrobatką; Józefem, poskramiaczem słoni i Glenem, Odważnym Człowiekiem z armatą. Gdzie teraz byli? Czy jeszcze żyli? Czy nadal spędzali swe życie wśród trocin, szminek, cukrowej waty i tandetnych świecidełek?

Zaparkował samochód i poszedł w kierunku jasnych światełek lunaparku. Początkowo szedł wolno, później przyspieszył, a wreszcie zaczął biec. Nie kierował się do straganów z wypchanymi misiami, budek z hot dogami, które okupował tłum ludzi. Biegł skrajem miasteczka w kierunku połatanych płóciennych namiotów, które służyły jako garderoby, jadalnie i domy związanych z tym miejscem ludzi.

Gdy dotarł do namiotu, w którym trzymano słonie, zwolnił kroku. Wuj Artur uczył go, żeby zawsze uważał i ich nie niepokoił.

– Mick. – Odwrócił się w stronę, skąd docierał głos. Podeszedł do niego pochylony pod ciężarem dwóch wiader stary człowiek. – Mick Flannigan. Czy to ty?

– Józef? – Mick przyglądał się staremu człowiekowi, szukając śladów młodego mężczyzny, który potrafił bawić się ze słoniami, jakby były one tylko wypieszczonymi kociakami. Ciemne włosy Józefa posiwiały, twarz nosiła znamiona podeszłego wieku, ale oczy wyglądały wciąż tak samo, czarne niczym dwa rodzynki w cieście.

– Józef, to ty? – Mick rzucił się na starego człowieka z przyjaznym uściskiem. Woda zakołysała się w wiadrach i ich ochlapała. – Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

– Niby dlaczego? Jesteśmy twoją rodziną. Nigdy się nie zapomina o swojej rodzinie.

Józef postawił na ziemi wiadra i uściśnął Micka.

– Właśnie czas na kolację.

Zaprowadził go do swojego namiotu. To była ta sama jadalnia, którą Mick pamiętał. Przez lata przybyło jej łat, ale boczne skrzydła były podwinięte do góry i wieczorny wiaterek mieszał się z unoszącymi się w powietrzu zapachami kapusty, kiełbasy i dojrzałych pomidorów, tak jak dawniej.

Kiedy Mick wszedł do namiotu, powitał go chór głosów. Z różnych miejsc jadalni podbiegali do niego ludzie. Był Macky ze swoim ogromnym czerwonym nosem i jego żona, Liza, ciągle szczupła, zgrabna i z wdziękiem krocząca w swych baletkach. Dostrzegł też innych przyjaciół: trenerów psów, starych pomocników, lidera orkiestry i Nataszę, małą cygańską wróżkę.

Wszyscy mówili jednocześnie i Mick stopniowo orientował się w wydarzeniach dotyczących rodziny. Glen przeniósł się do innego miasteczka i

codziennie robił swoje popisy z armatą. Kilku ludzi wyjechało, część już nie żyła.

– Chodź, usiądź koło mnie. – Natasza pociągnęła Micka n rękę i poprowadziła do stołu. – Opowiedz nam o swoich podróżach.

Mick się zaśmiał.

– Skąd wiesz, że podróżowałem?

– Bo było to jedno z twoich marzeń. Wbiegałeś do mojego namiotu, twoje czarne loki podskakiwały, a oczy błyszczały z podniecenia i krzyczałeś: „Natasza, chodź, coś zobaczysz”. Trzymałeś w ręku stary atlas Artura i pokazywałeś palcem jakieś odległe miejsce, na przykład Meksyk czy Montreal. I mówiłeś: „Pewnego dnia tam pojedę, Nataszo. Będę miał swój własny samolot, wzniosę się nad miasteczkiem i pomacham wam, jak będę przelatywał”. Mick przypomniał sobie.

– Dotarłem do tych miejsc, Nataszo. Moim własnym samolotem.

Uścisnęła mu rękę, patrząc głęboko w oczy. Nagle przypomniał sobie o innym marzeniu, z którego zwierzył się jedynie Nataszy. Ona też pamiętała. Widział to po błysku w jej oczach. Przysunęła się do niego bliżej, zaglądając mu w oczy i trzymając za obie ręce.

Ale nic nie powiedziała. Nie pytała.

– A co z resztą twoich marzeń? Czy je zrealizowałeś? Miał dziwne uczucie, że Natasza była prawdziwą wróżką i że w tej chwili odczytywała nie tylko jego przyszłość, ale i przeszłość. Nie potrafił uciec od jej badawczego spojrzenia.

Ostatecznie Natasza uwolniła z uścisku jego ręce i zajęła się zupą.

Wszyscy wokół westchnęli częściowo z ulgą, częściowo z rozczarowaniem. Nigdy nie wiedzieli, co Natasza powie czy zrobi, ale zawsze była ciekawym obiektem.

– Czy zostaniesz na ostatnim przedstawieniu? – zapytał Micka Józef.

– Zostanie – powiedziała Natasza, nie podnosząc głowy znad talerza.

– Zostanę.

Starzy przyjaciele namawiali go, by coś zjadł. Później pozwolił im się odprowadzić do najlepszego miejsca na samej górze namiotu.

Odezwały się trąby, na scenę wyszedł konferansjer i zaczęło się przedstawienie. To dziwne, że lata nie pozbawiły cyrku jego magicznego uroku. Po skończonym widowisku, kiedy namiot opustoszał, Mick wciąż siedział na swoim miejscu, wdychając zapach trocin, orzeszków ziemnych i prażonej kukurydzy.

Patrzył na opuszczony sprzęt cyrkowy. Wciąż się kołysał, jak gdyby Liza jeszcze się tam w górze bujała. Wróciły do niego wszystkie młodzińcze marzenia.

Lunapark zrodził w nim niegdyś tęsknotę za podróżą, silnymi wrażeniami i przygodami, która nigdy go nie opuściła; ale miał też inne marzenie.

– Pewnego dnia – mówił Nataszy – założę własną rodzinę, prawdziwą

rodzinę, z żoną, dziećmi i domem, do którego będę mógł zawsze wrócić.

W czasie tego szaleńczego pościgu za przygodą zapomniał o swym drugim marzeniu. Od dziesięciu lat podróżował po świecie, niespokojny, wiecznie poszukujący i zawsze powracający z pustymi rękami. Nagle uświadomił sobie, dlaczego. To, czego szukał, było tym, o czym zapomniał: miłością, rodziną, domem, dziećmi. To wszystko mogła mu dać Tess, ale był kiedyś za młody i głupi, by to zrozumieć.

– Snujesz wspomnienia?

Odwrócił głowę i zobaczył Nataszę. Usiadła obok. W uszach kołysały się złote kolczyki; po podłodze ciągnęła swój postrzępiony szal.

– Nie powinnaś wchodzić tak wysoko.

– Wiedziałaś, że mnie potrzebujesz. Złapał jej rękę, by ją pocałować.

– Nie próbuj nawet przepowiadać mojej przyszłości, Nataszo. Już dawno się jej wyrzekłem.

– Przyszłość ma się zawsze przed sobą, Mick.

– Byłem głupcem.

– Każdy nim kiedyś bywa.

– Wyrzekłem się tego, co dla mnie najcenniejsze.

– Pamiętasz, co mówił wuj Artur? – Jej twarz złagodniała, a oczy zaszyły mgłą.

Nagle Mick ujrzał w nowym świetle wszystkie chwile, które spędzali razem we trójkę – pikniki o zmroku po ostatnim przedstawieniu; te spokojne momenty, gdy wuj Artur rzeźbił drewniane zwierzątka, a Natasza cerowała swój szal; żywiołowe chwile, kiedy tańczyła wokół ogniska porywające cygańskie tańce, a Artur przyklaskiwał i deptał po jej piętach.

– Kochałaś go, prawda?

– Tak. Kochałam go. Był moim kochankiem, przyjacielem i towarzyszem.

– Natasza uścisnęła rękę Micka. – A ty byłeś naszym małym chłopczykiem, którego nigdy nie dane nam było mieć.

Mick wiedział dlaczego. Artur miał żonę w Kentucky, z którą nigdy się nie rozwiódł.

– „Warto zapracować na to, co warto mieć” – zacytował Artura. – Nie postąpił według własnej rady, prawda?

– Nie. – Natasza przysunęła się bliżej, zatapiając w nim czarne oczy. – Ona cię nie odrzuci, wierz mi. Kocha cię.

– Skąd wiesz o Tess? Natasza zaśmiała się.

– Jestem wróżką, Mick. Prawdziwą wróżką. Wstał, biorąc ją za rękę.

– Chodź ze mną, Nataszo. Uczyniłaś mnie kiedyś częścią swojej rodziny; pozwól, że ja teraz uczynię cię częścią mojej.

– Kiedyś być może. – Gdy zarzuciła szal na ramiona i odchyliła w tył głowę, kołysząc złotymi kolczykami, wydawała się dwadzieścia lat młodsza. –

Ale jeszcze nie teraz. Muszę dotrzeć do pewnych miejsc i przepowiadać przyszłość.

Dwa tygodnie później Mick wszedł do małego zadymionego nocnego klubiku w Chicago.

Tess stała na scenie z odchyloną do tyłu głową, przymkniętymi oczami i śpiewała „Burzliwą pogodę”. Smutny bluesowy nastrój wywołał w Micku znajomy dreszcz. Stał w drzwiach jak zakłęty.

Tess poruszyła się na scenie; światło reflektorów okrywało złotym blaskiem jej włosy, sukienkę, pantofle. Była jednym mieniącym się złotym punktem, złotem na szczycie jego tęczy.

Do oczu napłynęły mu łzy wzruszenia i wcale się tego nie wstydził.

Skończyła piosenkę i ukłoniła się nisko w odpowiedzi na rozlegające się ze wszystkich stron brawa. Mick przecisnął się do przodu. Tess podniosła głowę i dostrzegła go. Jej oczy pociemniały, a dłoń zaciśnięta na mikrofonie znacznie zbladła.

Lekkim krokiem wytrawnej artystki podeszła do fortepianu, by skonsultować się z akompaniatorem. Pianista zagrał wstępne akordy.

Mick rozpoznał piosenkę Gershwina „Weszła miłość”. Tess śpiewała dla niego, do niego. Stała oparta biodrami o fortepian i śpiewała nieporuszona z wtopionymi w niego oczami.

Pianista przeszedł gładko z jednej piosenki Gershwina do następnej – „Obejmując ciebie”. Mick był poruszony. Tess zawsze przesyłała mu w piosenkach jakieś znaczące treści. Tak, żeby słyszeli ją wszyscy ludzie w Chicago, mówiła po prostu:

– To jest mężczyzna, którego kocham.

Publiczność wynagrodziła jej śpiew gromkimi brawami. Mick stał wśród tłumu, klaszcząc najgłośniejsze ze wszystkich.

Kłaniała się nisko i patrzyła na niego. W momencie gdy wszedł do środka, prawie zapomniała tekstu piosenki. Nigdy wcześniej to się jej nie zdarzyło. Nigdy.

Co za nieobliczalny irlandzki wariat! Cóż robił tutaj w Chicago?

Ukloniła się po raz ostatni, po czym skierowała w tył sceny. Usłyszała za sobą małe poruszenie i odwróciła głowę, aby zobaczyć wskakującego na scenę Micka.

– Co ty wyprawiasz?

Zamiast odpowiedzieć, pociągnął ją w swoje ramiona i pocałował tak zdecydowanie, tak namiętnie, że prawie uniósł ją w górę.

Publiczność zareagowała aplauzem.

– Do diabła, Micku Flanniganie. – Wydarła się z jego objęcia. – Co sobie wyobrażasz, niefrasobliwie powracając do mojego życia?

– Zamierzam ożenić się z tobą. – Usłyszała jego głęboki irlandzki śmiech.
– Planuję zostać twoim czwartym i ostatnim mężem.

Zbiegła ze sceny, ciągnąc go za rękę. Przemknęli się przez wąski korytarz do małej garderoby. Było w niej czuć obecność Tess; jedwabie i pióra leżały rozrzucone tu i ówdzie, a w powietrzu unosił się jaśminowy zapach.

Tess gwałtownie zatrzęsła drzwi, aż zatrzęśły się ściany. Odwróciła się, patrząc mu prosto w twarz, z rękami wspartymi o biodra.

– Pożegnałam się z tobą w Biloxi – krzyknęła.

– Nie. Ja się z tobą pożegnałem. A później zmieniłem decyzję.

Podszedł do niej. Stała za oparciem krzesła.

– Nie zbliżaj się ani na krok.

– Dlaczego? Boisz się, że zauważę, jak bardzo mnie kochasz?

– Już cię nie kocham.

– Jeszcze przed chwilą mówiłaś co innego. – To była piosenka. Śpiewałam dla publiczności.

– Wierz mi, Tess. Byłem wzruszony.

Odsunął na bok krzesło i wziął ją w ramiona.

– Byłem głupcem, Tess, kochanie. Jesteś wszystkim, czego pragnę i czego zawsze pragnąłem. Jesteś złotem na szczycie mojej tęczy... i wróciłem, aby cię odzyskać.

– Na jak długo tym razem, Mick? Na dwa dni? Dwa tygodnie? Może dwa miesiące, jeśli cię nie przynagli chęć podróżowania? – Próbowała go odepchnąć.

– Nie, dziękuję ci. Wolę żyć bez rozdzierania sobie serca.

– Czy kochasz mnie, Tess? – Złapał ją za dłonie i przyciągnął, tuląc do swej piersi.

– Nie chodzi o miłość, Flannigan. Chodzi o prawdę. A prawda jest taka, że nigdy więcej nie pozwolę na to, żebyś mnie zranił.

– Och, Tess. Już nigdy cię nie zranię. Nigdy.

Otoczył jej usta swoimi wargami i była jak bezradna ćma wlatująca prosto w jego płomień. Kolana Tess stały się miękkie, a serce zaczęło topnieć.

Nie uwalniając jej ze swych objęć ani też od pocałunku, Mick cofnął się do drzwi i przekręcił zasuwę.

– Nie – odezwała się wyciszonym bliskością jego piersi głosem. – Nie chcę.

Podniósł głowę na ułamek sekundy i uśmiechnął się.

– Pragniesz mnie. Powiedz, że mnie pragniesz, a dam ci spokój.

– Nie pragnę cię. Wyjdź. – Jeszcze w trakcie wymawiania tych słów jej dłonie zaczęły gorączkowo odpinać guziki koszuli Micka. Flannigan wrócił i musiała go mieć, jeden ostatni raz. – Idź sobie – szepnęła, przesuwając teraz dłonie na klamrę jego paska. – Idź ścigać kolejne tęcze.

Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w jej twarz, kiedy go rozbierała;

prawie oślepił ją rozjaśnionym spojrzeniem. Nagle wybuchnął.

– Mój Boże, Tess. Wszystkie te zmarnowane lata. Pociągnął ją w kierunku obwieszonoego jedwabiem szezlongu. Zostawiali za sobą ślady: pantofle z cekinami na błękitnych dżinsach, jeden z jego butów wystający spod rąbka sukienki, drugi – wplątany w jej jedwabne majtki.

Delikatny francuski antyk zaskrzypiał, kiedy Flannigan przyklęknął jednym kolanem na aksamitnych poduszkach i ułożył Tess na stosie jedwabnych koszul. W jej tle rozkwitała czerwień, błękit, złoto i purpura. Wyglądała niczym egzotyczny kwiat o różnokolorowych płatkach. Sięgnął bezpośrednio po nektar.

Wpatrzony głęboko w oczy Tess, ześliznął się w znajome ustronie.

– Flannigan... Flannigan... Nie myśl sobie, że to coś zmienia – powiedziała powoli, ledwo łapiąc oddech.

– To zmienia wszystko. Teraz jesteś moja. Na zawsze. – Nie.

– Tak. Na zawsze.

Francuski antyk kołysał się i postękiwał, a kolorowy jedwab unosił się w różne strony. Ich śliskie od potu ciała płonęły w gorączce namiętności. Irlandzkie słowa miłości zlewały się z muzyką jego imienia. Ciała i serca były ze sobą splecione.

Odbywali długą, upojną podróż, a gdy dotarli do celu, Flannigan położył się na poduszkach obok Tess.

– Jesteś moja, Tess. Moja. Cała moja – powtarzał, odgarniając z jej czoła wilgotne od potu włosy.

– Już dawno ze mnie zrezygnowałaś.

– Pragnę cię coraz bardziej.

– Niestety, bez skutku.

– Czy mam spróbować jeszcze raz?

Z ciemnymi, oplatającymi czoło włosami i złośliwym uśmiechem wyglądał jak połączenie różnych postaci – małego chłopca, nowo narodzonego szczeniaka i samego diabła. Tess z trudem mogła mu się oprzeć, ale postanowiła zebrać w sobie wszystkie siły.

Wydostała się z jego objęcia i natychmiast doznała uczucia straty. Nie chciała jednak tego okazać. Nie miała odwagi wyrazić, jak bardzo za nim tęskniła. Odgarnąwszy do tyłu włosy, stanęła przed nim, naga i stanowcza.

– Nigdy nie daję swoim byłym mężom drugiej szansy. – Pochyliła się z wdziękiem i podniosła jedną ze swych jedwabnych koszul. Była czerwona, w kolorze jej ognistych włosów. Włożyła ją, po czym usiadła przy toalecie i zaczęła szczotkować włosy.

– Nie mogę powiedzieć, że nie podobało mi się to nasze ponowne spotkanie, Flannigan. – Szarpnęła bezlitośnie włosy, nie zważając na opór, który stawiały szczotce.

– Zauważyłem to, Tess, kochanie – zaśmiał się. – Zawsze byłaś dobra w

dorywczych miłosnych igraszkach – zachichotał Miała ochotę rzucić w niego szczotką. Jednak nadal zajmowała się rozczesywaniem włosów.

– Następnym razem zadzwonię, jak będziesz tu przejazdem, Flannigan. Mogę być zajęta jakimś krótkoterminowym kochankiem.

– Już nie będziesz miała kochanków, Tess. Tylko mnie. Odwróciła się, wymachując szczotką w jego kierunku.

– Jak śmiesz przychodzić i wydawać mi rozkazy? Nie masz prawa.

– Mam prawo do wszystkiego. Kocham cię.

– Powtarzasz to od dziesięciu lat. Nie jestem na tyle głupia, żeby ci wciąż wierzyć.

Wstał z szezlongu i podszedł do niej stanowczym krokiem, niczym Hannibal kroczący przez Alpy. Chwycił ją za ramiona i odchylił tak, że musiała spojrzeć w jego rozgorączkowaną twarz.

– Jeszcze mi uwierzysz, Tess. Zwilżyła wargi językiem.

– Nie – wyszeptwała.

– Nie bój się, kochanie. – Czule musnął jej twarz palcem. – Tym razem cię nie skrzywdzę. Bóg mi świadkiem, że cię nie opuszczę.

Przymknęła oczy. Chciała w to wierzyć. Pragnęła w to wierzyć. Palce łagodnie wędrowały po jej twarzy. Zaczął nucić „Irlandzką kołysankę”.

– Przestań – szeptała. – Och... proszę, przestań.

– Kochasz mnie, Tess. Odczytuję to z twojej twarzy. – Nie.

– Tak. – Kciukiem pieścił obrzeża warg, aż wreszcie wdarł się nim w rozchylone usta.

Tess poczuła, że słabnie jej wola. Był zbyt blisko. Zwodził ją ciepłem swego ciała, rozpraszał dotykiem. O Boże, tak go pragnęła. Chciała wierzyć każdemu wypowiedzianemu przez niego kłamstwu.

Ale nie mogła. Nie wolno jej było. Chciała sobie dodać odwagi i ugryzła go w palec. Skrzywił się z bólu i cofnął rękę. Potem zachichotał.

– Czy chcesz się mnie pozbyć, zadając ból?

– Mam nadzieję, że cię solidnie zabolalo. – Odwróciła się w stronę lustra. Znalazła w nim jego odbicie – diabelsko zuchwałe i jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Możesz być tego pewna. – Przysunął się bliżej, położył ręce na ramionach Tess i pochylił się nad głową, śmiejąc się do niej z lustra. – Możesz odciskać na mnie ślady swoich zębów, a ja i tak nie odejdę – zachichotał złośliwie. – Prawdę mówiąc, znam u ciebie kilka dobrych miejsc, w których sam bym chciał zanurzyć zęby.

Sama miała na to ochotę. Zanosilo się więc na duży kłopot Szczególnie, jeśli pozostaną na dłużej. O Boże, jak ona to znieś, pragnąc go i jednocześnie wiedząc, że znowu ją opuści.

– Nawet nie zapytałeś o Caseya – odezwała się nagle. Flannigan cofnął się,

wyciągnął z kieszeni cygaro, potarł zapalną o but i oparł się o krawędź toaletki. Patrzył na nią poprzez obłoki dymu.

– Jak on się miewa? – zapytał w końcu.

– Bardzo dobrze. Zawsze pogodny, zawsze pełen optymizmu.

– Jest dla ciebie dobry?

– Oboje się sobą opiekujemy. W dużym stopniu zastępuje mi ojca, którego tak mi brakowało, gdy dorastałam. Wzajemnie się zaadoptowaliśmy. – Spojrzała na niego przez zasłonę dymu. – Zawsze przychodzi na mój pierwszy koncert i siada na specjalnie zarezerwowanym miejscu. Później taksówką wraca do domu – do mojego mieszkania.

Mówiąc to, przyglądała się badawczo jego twarzy. Była napięta i zadumana. Nie spuszczał z niej wzroku. Musiała umknąć od tego intensywnego spojrzenia. Odwróciła się od niego i zaczęła się pudrować.

– Ciotka Bertha zamieszkała teraz na stałe w Tupelo i nie ma się co dziwić, skoro Margaret Leigh i Andrew oczekują pierwszego dziecka. Zostanie wkrótce babcią. – Rzuciła puderniczkę na toaletę. – Jeżeli chodzi o mnie, mam Caseya i O’Toole. Tworzymy rodzinę, cała nasza trójka.

– Czy sugerujesz, że nie znajdzie się w niej miejsce dla jeszcze jednej osoby?

– Może pewnego dnia, kto wie? Nie lubię być za długo bez mężczyzny. – Wstała, patrząc jak przyjął jej ostatni docinek.

Widziała ogarniającą go złość. Oparła się rękami o biodra i uśmiechnęła do niego. – Ale ty nim nie będziesz.

Wyciągniętą gwałtownie ręką chwycił za jej talię i brutalnie posadził pomiędzy swoimi, szeroko rozchylonymi nogami. Poczuli się jak wciągnięta do środka rozbuchanego ogniem pieca. Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na niego wyzywająco.

– Te taktyki zastraszenia na mnie nie działają, Flannigan.

– Zawsze, gdy wypowiadasz w ten sposób moje imię, wiem, że chcesz się ze mną kochać, Tess.

Miał rację, ale niech ją piekło pochłonie, jeśli mu ją przyzna.

– Twoje ego jest tak duże jak twój...

– Tak duże jak moje co, Tess? Śmiało. Dokończ. – Zaśmiał się.

– Tak duże jak twoja nadęta twarz. A teraz wyjdź, nim się naprawdę zdenerwuję.

Jej oczy pociemniały i przyciągnął ją z powrotem. Z ustami przy szyi wyszeptał:

– Nie przyjmuję rozkazów, Tess. – Całował szyję, aż poczuł, jak zadrżała. Wówczas równie delikatnie położył jej głowę na swoim ramieniu i zanurzył dłoń w ognistych włosach. Patrzył, jak błyszczą w świetle pomiędzy palcami.

– Przez lata tęskniłem między innymi za twymi włosami. Za ich wyglądem,

zapachem.

Pochyliwszy się wtulił w nie twarz i głęboko wciągnął powietrze.

– Nie zamierzam oddalać się od zapachu twoich włosów, Tess.

Odchylił się, biorąc w ręce jej twarz. Patrzył prosto w oczy.

– Skończyłem uganiać się za tęczami, Tess. Uwierz mi.

– Czy potrafię?

– Co mówi ci serce?

– Nie słucham więcej mego serca. Już trzy razy wpędziło mnie w kłopoty.

Nie mogę sobie pozwolić na czwartą pomyłkę.

– To nie będzie pomyłka. Obiecuję.

– Obiecywałeś dziesięć lat temu.

– Teraz jestem starszy. Wiem, czego pragnę.

Czuła pokusę. Nigdy wcześniej Flannigan nie wyglądał i nie przemawiał tak szczerze. Niemal mu uwierzyła. Była prawie przekonana o tym, że mogli zostawić za sobą całą przeszłość i zacząć wszystko od nowa. Narastały w niej, z jednakową siłą, pożądanie i lęk i toczyły ze sobą wielką walkę. Zwyciężył lęk.

Wstała, wymykając się z jego objęcia. Oparła się o krzesło.

– Wyjdź, Flannigan. I nigdy więcej nie wracaj.

– Wyjdę, Tess. Ale wrócę. Obiecuję.

Wyszedł równie zuchwale, jak się przedtem pojawił. Ruch powietrza, który spowodował, zakołysał świecidełkami i ogonami piór. Nawet za zamkniętymi drzwiami słyszała głośny stukot jego butów, kiedy oddalał się korytarzem.

– Niech go piekło pochłonie. – Złapała puderniczkę i rzucała nią w lustro. – Precz z nim. Precz z nim. Precz z nim. – Jedną ręką zmiotła z toaletki wszystkie kosmetyki. Z trzaskiem spadły na podłogę.

Uklękała pomiędzy rozsypanymi szczątkami pojemniczków, szminek i kredek. Pokój wyglądał jak prawdziwe pobojuwisko.

Oczy powędrowały ku obitemu aksamitem szezlongowi: spłonila się na myśl, jak łatwo uległa Flanniganowi. Potrząsnęła pięścią w kierunku leżących na podłodze jedwabów.

– To się już nie powtórzy – przyrzekła. – Obiecuję. To się już nigdy nie powtórzy.

ROZDZIAŁ 11

Flannigan wyciągnął się wygodnie na sofie w mieszkaniu Tess. Naprzeciwko na fotelu siedział Casey i drapał po grzbiecie O'Toole'a. Zarówno kot, jak i stary człowiek wyglądali na bardzo zadowolonych.

– Sądziłem, że wrócisz – powiedział Casey.

– Ja nie. Nigdy nie planowałem wrócić do Tess na stałe.

– Wtedy w parku, kiedy podsłuchiwałem waszą rozmowę, pomyślałem sobie: oto wspaniała para kochanków, którym by się przydała interwencja rozsądnej osoby.

– I postanowiłeś sam zadziałać?

– Tak. I myślę, że mi to nieźle wyszło. Nie sądzisz?

– Owszem, z twojego punktu widzenia. Ja jeszcze muszę przekonać Tess, że muszę stać się częścią tej rodziny.

– To nie będzie trudne, jak mi się wydaje. – Casey przechylił głowę nasłuchując. – Słyszę jej kroki. – Spuścił O'Toole'a na podłogę i wstał z fotela. – Lepiej będzie dla mnie, starego człowieka, smacznie spać, gdy zaczną się fajerwerki. I Flannigan... chcę mieć dużo wnuków. – Puścił do niego oko, po czym skierował się do swojej sypialni. Za nim podążył O'Toole.

Flannigan wyłączył lampkę i wyciągnął na sofie długie nogi. Wsparty o poduszki, obserwował wejściowe drzwi. Tess nie od razu go zauważyła. Lubił na nią patrzeć, gdy go nie widziała. Ciągle miała rumieńce na policzkach, włosy w nieładzie. Znowu gwałtownie jej zapragnął.

Rzuciła błyszczący szal w kierunku wieszaka, lecz nie trafiła i zsunął się na drewnianą podłogę. Pochyliła się, zdjęła jeden pantofel z cekinami, a potem przeszła przez ciemny pokój – krzywo przechylona na jednym obcasie. Dotarła do fortepianu i usiadła przy instrumencie.

Nucąc cicho jakąś melodię, zaczęła uderzać w klawisze. Pojedyncze akordy ułożyły się w piosenkę. Pochylona nad fortepianem śpiewała: „To musiałeś być ty”.

Flannigan siedział w ciemności jak zahipnotyzowany. Jej głos był niczym aksamit, niczym róże i światło księżyca. Wiedział na pewno, że śpiewa tylko dla niego, mimo że nie była świadoma jego obecności.

Przymknął oczy i poddał się kojącemu działaniu jej słodkiego głosu. „Jestem w domu – mówił sobie. – Wreszcie jestem w domu”.

Ucichła ostatnia nuta piosenki. Siedzieli oboje w ciemności, Tess nad klawiaturą, a Flannigan nieustannie w nią wpatrzony. Wreszcie westchnęła i odwróciła głowę.

Flannigan delikatnie zaklaskał.

– Brawo, Tess. Jesteś wspaniała.

– Flannigan? – Wstała z krzesła i podeszła do niego. – Czy to ty, Flannigan?

– Powiedziałem, że cię już nigdy nie opuszczę, Tess. – Podniósł się z sofy i stanął przed nią. – Zostanę przy tobie.

Wsparała się rękami o biodra.

– Gdzie jest Casey?

– Poszedł spać. Chyba już słychać jego chrapanie.

– Powinien był cię wyrzucić. Zostawiłeś nas oboje w Biloxi.

– Już nigdy cię nie zostawię... Żadnego z was dwojga. Pokonał dzielącą ich przestrzeń i wziął ją w ramiona.

– Chcę z tobą spędzić resztę życia. Chcę, żebyśmy mieli dużo dzieci, kotów i psów. Chcę, żebyśmy roześmiani siedzieli obok siebie przy kominku i trzymali się za ręce. Chcę, żebyśmy przeżyli razem długie lata. – Wtulił twarz w jej włosy. – Chcę przy tobie umrzeć i być przy tobie pochowanym.

Chcę u twego boku, ciągle cię kochając, wyruszyć w ostatnią, pośmiertną podróż. – Ustami muskał jej czoło i włosy. – Tess, kochanie. Tak cię kocham.

Łzy zalśniły w jej oczach, ale powstrzymała je, zaciskając mocno powieki. Przez moment pozwoliła się ponieść marzeniom, lecz po chwili odepchnęła od siebie Micka.

– Zapewne nie masz gdzie przenocować?

– Nie – odpowiedział.

– Jakie to do ciebie podobne, Flannigan. Zakładasz, że możesz tylko stanąć przede mną, a zaproszę cię do swojego łóżka. – Włączyła lampkę i zaczęła zrzucać z sofy poduszki na podłogę. – Oto twoje łóżko. Możesz się tutaj przespać.

Uśmiechnął się triumfalnie na myśl o wywalczonej sofie.

– Tylko tę noc. Jutro wyjeżdżasz. – Zaczął gwizdać. – Nie żartuję, Flannigan. Jutro oddalisz się... na zawsze.

To powiedziawszy, zostawiła go samego w pokoju, poszła do swojej sypialni i zatrzasnęła drzwi.

Jakim prawem znów wdzierał się w jej życie? Dlaczego zakładał, że po tych wszystkich latach znów rzuci mu się w ramiona? Pozłacany cekinami szlafrok zsunął się na dywan. Przesunęła go nogą na bok. Naga i roztrzęsiona poszła pod prysznic. Zamknęła za sobą na zasuwę drzwi od łazienki. Z Flanniganem nigdy nic nie wiadomo. Nie byłaby zaskoczona, gdyby podważył zamek i władował się pod prysznic. Ostatnim razem wszedł w butach.

Oparła się o ścianę. Nogi stały się miękkie i słabe, gdy przypomniała sobie, jak przyszedł do niej podczas pobytu w Biloxi. Nie czuła nawet spływających w dół jej ciała strumieni wody.

– Niech cię piekło pochłonie, Flannigan. Musiałeś wracać? Oparła głowę o kafelki. Były zimne i martwe, tak jak jej życie. Zacisnęła powieki, powstrzymując łzy. Nie będzie teraz płakała. Nie kiedy był tutaj. Będzie płakała jutro, po jego

odjeździe.

Szybko skończyła kąpiel i weszła do swego pustego łóżka. Usłyszała szelest w sąsiednim pokoju. Flannigan na pewno położył się na sofie, otulił tors pościelą i wyciągnął na wierzch muskularne nogi. Nigdy nie lubił trzymać nóg pod przykryciem, nawet zimą. Pomyślała sobie, że to pewnie dlatego, żeby być w każdej chwili gotowym do drogi.

Powiedział, że skończył ze swymi wożaczami. Czy mówił prawdę? Czy to możliwe, by po tylu latach Flannigan chciał się wreszcie ustabilizować?

– To nie mój problem – powiedziała półgłosem i przewróciła się na drugi bok.

Mówił, że odnalazł to, czego pragnął. Pragnął mieć rodzinę i dzieci, zwierzaki i domek z kominkiem.

Usiadła na łóżku i zapaliła lampkę. Wsparta o podglówek rozejrzała się po sypialni. Była przepelniona rekwizytami z jej zawodowego życia. Szafa wypchana błyszczącymi kostiumami, wyłożone na toaletce nuty, żółte róże, które przystali jej wielbiciele. Ich płatki zaczynały już więdnąć i przybierać brązowy kolor.

Odnosiła sukcesy. Była podziwiana i rozpieszczana. I cholernie samotna.

Podniosła się z łóżka i zrobiła kilka kroków. Kochała śpiewanie, kochała swój zawód, a Casey pomógł wypełnić jej pustkę. Ale najszcześniejszy okres w swoim życiu miała dziesięć lat temu, kiedy była razem z Mickiem, kiedy żyli w mieszkanku na piętrze i śmiali się z tego, które z nich zdobędzie wystarczająco dużo pieniędzy, by opłacić rachunki za światło.

Przyspieszyła kroku i wreszcie ruszyła biegiem w kierunku drzwi sąsiedniej sypialni. Otworzyła je gwałtownie i odczekała chwilę, zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Mick leżał wyciągnięty na sofie, dokładnie tak, jak sobie go wyobrażała.

Uśmiechnięta podeszła do łóżka. Pochyliła się nad nim i wsunęła rękę pod pościel.

– Hmm. Bez ubrania. Co za wygoda.

– Tess? – Usiadł i ziewając przeczesał dłonią zmierzwione włosy. – Tess? To ty?

– A kogo oczekiwałaś! Królowej Anglii?

Wsunęła się pod pościel i delikatnie ugryzła go w prawą nogę. Wziął ją w swoje ramiona.

– No jasne, miło jednak widzieć cię znowu w moim łóżku, Tess, kochanie – zachichotał i przytulił twarz do jej szyi.

– Nie miej żadnych nadziei. To tylko próbna jazda.

– W takim razie niech będzie udana.

Położył się, umieszczając Tess na swoich biodrach. Ruszyli z gwałtowną siłą letniej burzy. A kiedy już ucichła, leżeli wsparci na poduszkach, trzymając się

siebie kurczowo, jak gdyby właśnie znaleźli jedyną kamizelkę ratunkową na tonącym statku.

– Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz, Tess, kochanie? – Nie.

– Nie? – Odsunął się, by w ciemności dojrzeć jej twarz. – Wchodzisz do mego łóżka, kochasz się ze mną namiętnie, a później mówisz „nie”?

– Nie zgadzam się na małżeństwo. Ale myślę o romansie.

– O kolejnych próbnych jazdach?

– Można by to tak nazwać.

– A jeśli ja się nie zgodzę? Jeśli pragnę cię widzieć wyłącznie w roli żony?

– Jak chcesz, Flannigan.

– A gdzie ci się marzy ten romans?

– A gdzie tobie marzy się ten domek z psami, kotami i dziećmi?

– Co powiesz na Texas?

– Z bławatkami?

– I ze szkółką latania.

Usiadła i sięgnęła ręką po szlafrok.

– Zawsze chciałam pojechać do Texasu.

Podniosła się z łóżka. Nawet nie próbował jej zatrzymać. Jeszcze będzie miał sposobność namówić ją na małżeństwo. Teraz nie będzie nalegał. Wszystko w swoim czasie.

Podłożył rękę pod głowę i uśmiechnął się do niej.

– Przypuśćmy, że znajdziemy domek na wsi i ja zajmę się szkółką latania. A co ty będziesz robiła, Tess... oprócz ozdabiania i grzania mi łóżka?

– Zawsze mogę śpiewać. – Żywo gestykulowała, machając w powietrzu rękami. – Kto wie? Mogłabym porzucić swoje dotychczasowe życie i zająć się czymś skromniejszym, udzielając lekcji muzyki w saloniku wiejskiego domku w Texasie.

– Sam nauczyłbym się czegoś od ciebie, Tess, kochanie. Jeszcze przez chwilę pokręciła się przy sofie, po czym postanowiła wrócić do swojego łóżka.

– Dobranoc, Flannigan.

– Dobranoc, Tess.

Tess stała przy oknie, patrząc przed siebie. Czegoś oczekiwała. Ścieżką zbliżał się mężczyzna. Jego postać była widoczna na tle zachodzącego słońca. Miał szerokie ramiona; pogwizdując maszerował lekkim krokiem. Flannigan. Ostatnio często gwizdał. Właściwie to od dwóch tygodni, od czasu, kiedy wyjechali z Chicago i przenieśli się do Texasu, biorąc ze sobą Caseya i O'Toole'a.

Kiedy Flannigan zbliżał się do drzwi, Tess ogarnęła wielka radość, ale musiała ciągle pamiętać, że są tylko w niezobowiązującym związku. Niczego nie obiecywała i nie chciała obiecywać. Żadnych rozczarowań, żadnych małżeńskich

przysiężeń. Tak to widziała. Co ciekawe, Flannigan niczego od niej nie wymagał.

Otworzyły się drzwi. Wszedł do środka, przynosząc ze sobą ciepło letniego wieczora. Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami. Złapał ją w objęcia i zakręcił w powietrzu.

– Czy miałaś przyjemny dzień, Tess, kochanie?

– O tak. Byli u mnie pierwsi uczniowie. Elena Rae i Sukie Mae Glenn.

– I co, potrafią śpiewać? – Nie wypuszczał jej z objęcia. Poczula mały zawrót głowy, ale on nie tracił równowagi.

– Uszy puchną, jak się ich słucha. Ale zobaczysz, jaką dam im szkołę. – Przytulił twarz do jej szyi, wciąż obracając się dookoła. – Mick, puść mnie. Kręci mi się w głowie.

– Proszę bardzo.

Usiadł w bujanym fotelu i posadził ją sobie na kolanach. Zanurzyła mu dłoń we włosach i uśmiechnęła się, zaglądając prosto w jego oczy.

– A jak tobie minął dzień, Micku Flanniganie?

– Staję się najślawniejszym nauczycielem latania w całym Texasie.

– Jakim sposobem?

– Ponieważ sam burmistrz tego miasteczka jest moim uczniem. Takim sposobem.

– Trzeba to uczcić. – O mało nie ześliznęła się z jego kolan, w ostatniej chwili przytrzymując się oparcia fotela.

– Tess? – Mick złapał ją za rękę. – Nic ci się nie stało?

– Za dużo obrotów. – Wzięła dwa głębokie oddechy i uśmiechnęła się do niego. – Chyba się starzeję.

– W takim razie wyjdź za mnie, zanim się jeszcze bardziej postarzejesz.

Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Texasu wspomniawszy o małżeństwie.

– Znasz moje stanowisko w tej sprawie, Mick.

– A ty znasz moje.

Ich spojrzenia zwały się w przeczuciu nadciągającej burzy. Byłaby to ich pierwsza sprzeczka od bardzo długiego czasu.

– Znowu odjedziesz – odezwała się. – Jak zawsze. Zobaczyła, że gotuje się w nim krew. Oczy zaiskrzyły się; zacisnęła zęby. Jednakże szybko ochłonęła.

Wyciągnął dłoń i delikatnie przesunął ją po policzku Tess.

– Nie myśl, że cię kiedykolwiek zostawię, Tess, kochanie. – Palce dosięgły jej ust. – Nigdy nie będę cię miał dosyć. – Pochylił niżej głowę. – I nigdy nie będę cię próbował zmienić. – Jego usta były tak blisko, że czuła ciepły oddech na policzku. – Kocham cię... taką, jaką jesteś. Zawsze cię kochałem i zawsze cię będę kochał. Zmarnowałem dużo czasu, zanim to zrozumiałem.

Przymknęła oczy i zamyśliła się. Nagle wziął ją na ręce i poszedł w kierunku pokoju.

– Za chwilę Casey wróci z O’Toole’em ze spaceru – powiedziała.
Flannigan zatrzasnął za nimi drzwi sypialni.
– Casey potrafi uszanować zamknięte drzwi. Drogę do łóżka zaścieliły ich porzucone ubrania.

Dni stały się krótsze, a powietrze przesycone było zapachem jesieni. W domku nad jeziorem Ray, niedaleko Dallas, Casey razem z O’Toole’em siedział przed telewizorem, oglądając swój ulubiony teleturniej, a Tess stała przy oknie, wpatrując się w spowitą mrokiem ścieżkę.

Flannigan wciąż nie nadchodził. Nigdy się tak nie spóźniał. Powoli zaczęła wpadać w panikę. Może wyruszył w kolejną podróż, tym razem na południe, zostawiając całą ich trójkę własnemu losowi.

– Nie – jęknęła, chwytając się za serce.

– Czy coś mówiłaś? – Casey odwrócił głowę w jej stronę.

– Nuciłam sobie. – Tess odeszła od okna, nerwowo nucąc jakąś jazzową melodię. „O mój Boże, nie teraz. Flannigan nie mógłby teraz odejść.”

Wejściowe drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wszedł Flannigan, roześmiany, z rękami obciążonymi ciężarem.

– Taki piękny wieczór. Chodź tutaj i pocałuj mnie, Tess, kochanie. Nie mogę dotrzeć do ciebie z tym ładunkiem.

Odetchnęła z ulgą. Pochyliła się nad stosem młotków, desek, kołków i śrub, całując Flannigana na powitanie.

– Co to jest? – zapytała.

– Moje nowe hobby. – Zrzucił ciężar na środek podłogi. – Stolarstwo. – Pogwizdując pochylił się nad stertą.

– Stolarstwo? Wygląda mi na to, że zamierzasz zbudować jakąś imponującą świątynię.

– Nie. Będę robił kołyskę dla Jenny.

Zbladła i zacisnęła palce na oparciu bujanego fotela. Ale Flannigan jakby tego nie zauważył. Gwizdząc przebierał w stosie narzędzi.

Poniósł uśmiechniętą twarz.

– Jak sądzisz, czy życzyłaby sobie, aby z przodu wyrzeźbić róże?

– Kto? – wyszeptała Tess.

– Jenny – odpowiedział po prostu, jak gdyby jeszcze wczoraj ustalili imię pierwszej córki.

– Czy nie za dużo sobie wyobrażasz?

– Nie. Będę ojcem. – Flannigan pochylił się nad stertą drewna, z którego miała powstać kołyska i ponownie zaczął gwizdać.

Dłonie Tess zacisnęły się w pięści, podeszła do niego.

– A z kim chcesz mieć to dziecko, Flannigan? Podniósł się i objął jej ramiona.

– Z tobą, kochanie.

– Nigdy ci nie obiecałam, że za ciebie wyjdę, a co dopiero mówić o rodzeniu ci dzieci.

Stała z nim oko w oko. Nie cofnął się ani na krok. Przeczuwając burzę, Casey wziął O'Toole'a i wyszedł po cichu tylnymi drzwiami.

– Och, Tess. – Flannigan przysunął się bliżej i musnął ostami jej wargi.

– Nie. – Odwróciła głowę. – Nie zamydlaj mi oczu. Objął jej twarz.

– Jak długo chciałaś czekać, aby mi o tym powiedzieć, kochanie?

– O czym?

– Czy myślałaś, że można to ukryć? – Co?

– Och, mój uparciuchu. – Flannigan przysunął się bliżej, głaszcząc jej policzek. – Sam zauważyłem zmiany w twoim wyglądzie. – Położył jedną dłoń na jej brzuchu. – Wiem, że nosisz w swoim łonie moje dziecko.

Tess zmięknęła pod dotykiem jego dłoni, otulającej miejsce, w którym nosiła tak cenny skarb. Już parę tygodni temu zorientowała się, że jest w ciąży. Każdego dnia obawiała się, że we Flanniganie odezwie się jego cygańska dusza i opuści ich dom. I każdego dnia po jego powrocie odmawiała dziękczynną modlitwę.

A teraz budował kołyskę – dla Jenny. Miała ochotę porzucić niepokój. Chciała zatrzymać tę chwilę, która wydawała się snem. Od dawna wiedziała, że Flannigan jest dla niej wszystkim – jego namiętność, poczucie humoru, delikatność, skłonność do zadumy, nawet tęsknota za przygodą, którą czasami mogła odczytać z jego oczu.

Dziesięć lat temu wyruszyli wspólnie w długą podróż, później każde z nich pojechało w swoją stronę, a teraz znów podążali w tym samym kierunku, tym samym pociągiem. Chciała, aby ta podróż trwała wiecznie, ale również pragnęła, aby miała ona swój jasno określony cel.

– Żyjemy w nowoczesnych czasach, Flannigan. Mężczyzna wcale nie jest zobligowany zenić się z matką jego dziecka.

– Zobligowany? – Zacisnął dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją tak gwałtownie, że aż odchyliła się do tyłu. – Powiedziałaś zobligowany? – Jego oczy były pełne gniewu.

– Tak. Kobieta może dokonać wyboru.

– Nie myśl sobie, że pozwoliłbym ci odejść.

– Ze względu na Jenny?

– Ze względu na ciebie. – Pochylił się nisko. Ich usta prawie się stykały. – Do tej pory czekałem, Tess... czekałem, aż nabierzesz rozsądku...

– Aż nabiorę rozsądku!

– ...i wyjdiesz za mnie. – Przysunął się jeszcze bliżej. Teraz już prawie dotykał ustami jej warg. – Czekałem, aż się przekonasz, że nigdy cię nie opuszczę, że będę cię zawsze kochał, bez względu na wszystko. – Wziął ją na rękę. – Dłużej nie będę czekał, Tess.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała.

Nie odpowiedział. Zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

– Flannigan, zostaw mnie.

Zlekceważył jej prośbę. Skierował się do sypialni.

Popatrzyła najpierw na niego, później w stronę łóżka.

– Nie możemy zawsze dochodzić do porozumienia tylko w ten sposób.

Położył ją na łóżku, po czym zdarł z siebie koszulę. Guziki rozsypały się po podłodze.

– Kto powiedział, że dochodzimy teraz do porozumienia? – Usiadł na brzegu łóżka i zsunął z nóg buty. Następnie uwolnił się od obcisłych dżinsów. Nagie ciało Flannigana tworzyło piękny widok.

– Mylisz się, jeżeli sądzisz, że ulegnę pokusie twego ciała, Flannigan – mówiąc to, wyciągnęła ku niemu ramiona.

– Kto powiedział, że chcę cię zdobyć? – Jego ręka wsunęła się pod spódnicę i zdarła skromne, jedwabne bikini. Płonęły mu oczy. Uniósł ku górze jej biodra, by pchnąć swym sztyletem. Kiedy już odnalazł swój cel i był w niej głęboko zanurzony, wsparł się na łokciu i spojrzał głęboko w oczy.

– Biorę cię w swoją niewolę, kochanie.

– Flannigan.

Zaczął się poruszać. Cała ziemia zakręciła się jej przed oczami.

– Zostanę tutaj, w tej sypialni, dopóki nie powiesz „tak”.

– Flannigan... Flannigan...

– Czy to znaczy „tak”?

– Jeśli zgodzę się już teraz, to czy nie odejdziesz ode mnie?

– Nie. Nigdy cię nie opuszczę. – Jego ruchy stały się gwałtowne i zaborcze.

– Nigdy.

– A więc tak, Flannigan. – Oplotła wokół niego swoje ramiona i przyciągnęła jeszcze bliżej. – Tak.

Skierował ku niej swój anielski uśmiech.

– Niemniej jednak przetrzymam cię w swojej niewoli,

EPILOG

Tess i Flannigan ustanowili zwyczaj, że narodziny każdego dziecka będą czczone wielkim powitalnym przyjęciem.

Małeńki Casey Flannigan leżał w skonstruowanym przez tatę łóżeczku i obserwował tłum ludzi, który zebrał się, aby uczcić jego przyjście na świat. Znał już ich wszystkich po imieniu, ponieważ był najbystrzejszym chłopcem w całym Texasie. Wierzył w to, bo tak mu mówił tata. Był również najładniejszy. W to także wierzył, bo tak mówiła mama.

Jednym z gości był Johnny Kalinopolis – wysoki, siwy mężczyzna, stojący obok kominka. Rozmawiał z Lovey i Jimem Hawkinsami oraz z małą ciemnowłosą dziewczynką o imieniu Babs. Casey pomyślał, że kiedy dorośnie, poślubi Babs. W przyszłości chciał być światowym człowiekiem, który pokocha starszą od siebie kobietę.

Mały Casey miał dużo kuzynów: Andy i Maggie, bliźniaczki, następnie Joey i małą Elaine. Mała Elaine cały czas wypuszczała mydlane bańki. Casey miał nadzieję, że go kiedyś nauczy.

Wszyscy kuzyni i kuzynki byli dziećmi ciotki Margaret Leigh i wujka Andrew McGilla. Ciotka Margaret Leigh była sympatyczną siostrą jego mamy, ale najbardziej kochał wujka Andrew. Pachniał skórą i jodłowym drzewem i obiecał dać mu na szóste urodziny szczeniaka. Chłopiec miał nadzieję, że ten czas minie bardzo szybko.

Na fotelu bujanym obok jego łóżeczka siedziała stara kobieta, zwana przez wszystkich ciotką Berthą. Mówiła, że jest jego babcią. Miał co do tego wątpliwości, ale nie sprzeciwiał się, skoro ta rola ją uszczęśliwiała. Jego prawdziwi dziadkowie, Casey i Natasza, siedzieli na kanapie pod oknem i trzymali się za ręce. Natasza zawsze miała na sobie dużo pobrzękujących ozdóbek, natomiast głos Casey'a brzmiał bardzo dziwnie, niczym muzyka. Mieszkali w małej chatce za białym domem małego Casey'a. Tata powiedział mu, że Casey i Natasza byli wyjątkową parą ludzi, którzy poznali się i zakochali w sobie, kiedy urodziła się najstarsza siostra małego Casey'a.

Mały Casey miał trzy siostry, ale najbardziej kochał najstarszą. Choć Micki i Susan były całkiem fajnymi, choć zadziornymi, ciemnowłosymi siostrami, to jednak wolał Jenny. Jenny miała niebieskie oczy, które przypominały niebo i ładne, mieniące się w słońcu kasztanowe włosy. I zawsze śpiewała.

Mały Casey lubił, kiedy Jenny pochylała się nad jego łóżeczkiem i śpiewała mu kołysanki. Miała prawie tak ładny głos jak mama.

Mały Casey obrócił głowę, by spojrzeć na swoją mamę, Tess. Stała w progu, osłaniając twarz od słońca i patrząc w niebo. Wyobrażał sobie, że kiedy będą wspólnie wychodzili z psem na spacer, to każdy będzie mu zazdrościł tak

pięknej mamy.

Nagle mały Casey usłyszał dobiegający z zewnątrz huk samolotu. Mama wyszła przed dom. Chciał widzieć ją przez okno i aż stęknął z wysiłku, przekręcając na bok głowę. Z wyciągniętymi rękami biegła przez chabrowe pole.

Z kabiny samolotu wysiadł duży, silny tata małego Caseya. Zdjął kask i zaczął biec. Tess i Flannigan spotkali się na środku chabrowego pola. Flannigan podniósł Tess wysoko w powietrze i trzymał ją tak przez chwilę. Wyglądali, jakby tańczyli.

Po chwili Flannigan postawił Tess na ziemi i pochylił się nad nią. Całowali się. Mały Casey wiedział, o co chodzi, bo zawsze tak robili.

Wyglądało to na fajną zabawę. Nie mógł się doczekać, kiedy dorośnie, by spróbować w niej swych sił.